GODZIENNA DEPRESJA „UŚMIECHNIĘTEJ POLSKI"

„TA KAMPANIA ZMIENI WSZYSTKO" – MÓWI MIŁOSZ LODOWSKI

DZIELNI BOJOWCY Z PPS NA WOJNIE Z CARATEM

SIECI

MAREK BUDZISZ O EWOLUCJI DRONOWEJ WOJNY I ARMII

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

17 (647) 2025
22–27 kwietnia 2025

CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KŁOPOTY NARCYZA

KAMPANIA RAFAŁA TRZASKOWSKIEGO SIĘ SYPIE, ALE CO WAŻNIEJSZE, ROZPADA SIĘ SAM KANDYDAT. POLACY SIĘ ŚMIEJĄ I PYTAJĄ, CZY JEST W NIM COKOLWIEK PRAWDZIWEGO

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 28 IV 2025 r.

eprasa.pl e8ec1033af

polsat box

Czas na nowość, czas na skyshowtime

Dokup do pakietu TV od 10 zł /mies.

Pobierz ulotkę

Dotyczy planu Standard. Wymaga zawarcia umowy na min. 24 mies. na Pakiet M Sport, L lub Bogaty od 70 zł/mies., od 25. mies. od 80 zł/mies.

SkyShowtime – kanały i serwis z Pakietem M Sport, L lub Bogatym łącznie od 80 zł/mies., a od 25. mies. od 90 zł/mies. Dostawcą serwisu SkyShowtime jest SkyShowtime Limited. Więcej o SkyShowtime na sklep.polsatbox.pl/skyshowtime. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. © 2025 SkyShowtime Limited. All Rights Reserved; © 2025 Paramount Animation, A division of Paramount Pictures Corporation. All Rights Reserved; © 2025 Carnival Film & Television Limited.

eprasa.pl e8ec1033af

Czas odeprzeć ten atak

Opresja i zniszczenie – te dwa słowa najlepiej opisują stan państwa za rządów Donalda Tuska. Dotyczy to nie tylko gospodarki, rozwoju, praworządności czy mediów. Chodzi o wielopoziomową operację dekonstrukcji społecznej. Od czasów komuny nie było tak potężnego ataku na polską, katolicką i narodową tożsamość. Grunt przygotowywano przez lata, teraz realizowany jest plan wykonawczy. Dla komunistów głównym wrogiem zawsze był Kościół. Tak samo jest dziś. Nie ma świętości, której by nie próbowano splugawić i zniszczyć.

Ta walka, ukryta w rozmaitych formach działań, stała się wyjątkowo brutalna i podła. Sączenie kłamliwej propagandy w mediach, atakowanie kapłanów, obrzucanie bezpodstawnymi oszczerstwami, tworzenie atmosfery wrogości, usuwanie religii ze szkół, prześladowanie katolickich organizacji podejmujących inicjatywy społeczne, kulturalne i obywatelskie – wszystko to ma wywołać zbiorową niechęć. Liberalno-lewicowe media realizują ten plan od lat. Nie wahały się nawet, by uderzyć w największego z Polaków, św. Jana Pawła II, posługując się ubeckimi materiałami. Plan się nie powiódł, ale atak trwa.

Największe ciosy są wymierzane w kapłanów bezkompromisowych, których ogień wiary, zapał w niesieniu prawdy i odwaga w nazywaniu rzeczy po imieniu rodzą realne owoce nawrócenia i jednoczenia ludzi. Jest wśród nich ks. abp Marek Jędraszewski – szlachetny, mężny, Boży człowiek, oddany swej posłudze tak wiernie, że nie zatrzymują jej nawet najbardziej brutalne ciosy. A tych jest coraz więcej. Od lat przoduje w tym „Tygodnik Powszechny". W tej walce nie ma zdrowych zasad ani nawet minimum dobrego obyczaju. Jest tępa agresja. Z taką samą nienawiścią biczowany jest przez mainstream o. Tadeusz Rydzyk, którego „rozliczenie" Donald Tusk wpisał do swego programu wyborczego. Ileż już było gróźb o odebraniu koncesji Radiu Maryja i telewizji Trwam. Na początek zabrano się jednak za niszczenie Muzeum Pamięć i Tożsamość.

Żyjemy w rzeczywistości „opiłowywania katolików". Jawne nawoływania do ataku na kościoły, a nawet ich fizyczne niszczenie w państwie Tuska pozostają absolutnie bezkarne, co potwierdzają kolejne wyroki sądów. Można zagrzewać do walki z Kościołem na ulicach jak Marta Lempart; można udawać podrzynanie gardła abp. Jędraszewskiemu jak drag queen Marek M.; można za publiczne pieniądze produkować kłamliwe materiały o „imperium" o. Rydzyka i nie ponieść za to wszystko żadnej odpowiedzialności! Nietykalni są jedynie ludzie władzy, gwiazdy liberalno-lewicowego mainstreamu, o których nie wolno napisać złego słowa.

Nie brak też prześladowań ze strony państwa. Rząd Tuska przyjął wręcz doktrynę, według której każda współpraca państwa z Kościołem jest przestępstwem. Uderza więc na oślep w inicjatywy służące Polakom, polskiej tożsamości, pamięci narodowej, a nawet pomocy ludziom słabym i pokrzywdzonym. Politycy opozycji i współpracujący z nimi urzędnicy spędzają miesiące w aresztach za działania na rzecz państwa i obywateli. Rozliczenia prowadzą ci, których należałoby zdrowo rozliczyć w pierwszej kolejności.

Do czego to wszystko prowadzi? Dobrze znamy bolszewickie eksperymenty. Wiemy, jak łatwo rozniecić ogień nienawiści, rozhuśtać emocje, uruchomić szaleńców. Ataki na kościoły i kapliczki, profanacje i akty agresji już dziś są naszą codziennością. Jak wyglądają ostatnie miesiące w konkretach? Dwóch kapłanów zostało bestialsko zamordowanych w swoich domach – ks. Grzegorz Dymek z Kłobucka i ks. Lech Lachowicz ze Szczytna. Blisko 50 proc. badanych księży doświadczyło agresji, prawie 42 proc. szyderstw, gróźb i wyzwisk, a niemal 34 proc. hejtu w internecie. Aż 80 proc. księży chodzących publicznie w sutannie lub koloratce ma poczucie braku bezpieczeństwa. A atmosfera gęstnieje. Wystarczy prześledzić, w jaki sposób w mediach są prowadzone rozmowy o usuwaniu religii ze szkół, likwidacji funduszu kościelnego, rozdziale Kościoła od państwa.

Na kim się odbije ta agresja? Kto straci, jeśli zdeptany zostanie autorytet Kościoła i z godności odarci zostaną ludzie, którzy wskazują prawdę i potrafią wokół niej zjednoczyć wspólnotę? Celem jest uderzenie w system wartości, zasłonięcie punktu odniesienia, rozbicie tożsamości, wywołanie społecznego chaosu. Tę operację ćwiczono wiele razy. Znamy to z historii, wiemy, jakie będą dalsze kroki. Dlatego najwyższa pora na stanowczy sprzeciw.

Naród, który z dumą świętuje 1000-lecie Korony Polskiej, nie może dać się wpuszczać w te neobolszewickie pułapki. Nie po to przeszliśmy zabory, wojny i uciski, żebyśmy teraz nie zdołali sobie poradzić z patodemokracją. Mamy głos, mamy moc, mamy wciąż jeszcze żywą wspólnotę. Warszawski marsz Chrobrego pokazał, jak piękną i silną. Czas przejść do czynów.

Marzena Nykiel

Reklama | 22/0325/F

SIECI spis treści

36 Woda, czyli sprawa strategiczna
Maciej Walaszczyk

46 Patron internetu i millenialsów
Grzegorz Górny

57 Marilyn swoich czasów
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 NUREK NA KOZETCE
Krzysztof Feusette

9 OŻEŻ TRWA MAĆ!
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 ZBROJNE RAMIĘ OLIGARCHICZNEGO ŁADU
Bronisław Wildstein

13 NIE ZAPRZEPAŚĆMY TEGO!
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 WALIZKA JANKA ŚPIEWAKA
Michał Korsun

16 NASZA WIECZNA PRZEPYCHANKA
Jan Pietrzak

16 MEDIA NA SMYCZY
Arkadiusz Mularczyk

17 WIELKANOC W BRUKSELI, CZYLI ZMARTWYCHWSTANIE ROZSĄDKU?
Daniel Obajtek

18 OSZUKANI I KAMIENIEM POTRAKTOWANI
Samuel Pereira

19 POD CZYJĄ OKUPACJĄ?
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

22 RAFAŁ SIĘ ROZPADA
Marek Pyza

25 OSTATNI PRAWDZIWY CZŁOWIEK
Stanisław Janecki

28 TO NAJCIEKAWSZA KAMPANIA PO 1989 r.
Dorota Łosiewicz rozmawia z Miłoszem Lodowskim

KRAJ

32 DEPRESJA USMIECHNIĘTEJ POLSKI
Konrad Kołodziejski

36 WODA, CZYLI SPRAWA STRATEGICZNA
Maciej Walaszczyk

OPINIE

40 PO NAS CHOĆBY PSIECKO
Dariusz Matuszak

ŚWIAT

43 REWOLUCJA, KTÓRA DOKONUJE SIĘ NA NASZYCH OCZACH
Marek Budzisz

46 PATRON INTERNETU I MILLENIALSÓW
Grzegorz Górny

48 TRUMP NIE WIE, CO ROBIĆ
Jan Rokita

HISTORIA

51 TYSIĄCLETNIA PRZYJAŹŃ
János Latorcai

54 PANNA KOZŁOWSKA I CZTEREJ PREMIERZY W AKCJI
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 MARILYN SWOICH CZASÓW
Jolanta Gajda-Zadworna

60 SATANIZM, RELAKS, CHRZEŚCIJAŃSTWO
Robert Tekieli

62 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

64 POLA CZEKA NA DECYZJĘ URZĘDNIKÓW
Maciej Wośko

PODRÓŻE

68 MOJE SZLAKI: PAWEŁ GAIK
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 NASZA TOLERANCJA
Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

72 ZMARTWYCHWSTANIE
Aleksander Nalaskowski

73 WŁADYSŁAW KOMAR, CZYLI RAZ A DOBRZE!
Ryszard Czarnecki

74 W PARKU PRZECIW ALGORYTMOM
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 28/0325/F

eprasa.pl e8ec1033af

Narodowy Bank Polski informuje:

Niezależny bank centralny to fundament stabilnej gospodarki

Niezależność banku centralnego jest filarem współczesnej gospodarki rynkowej, a także warunkiem zapewnienia stabilności makroekonomicznej, w tym stabilności cen.

prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, 10 grudnia 2024 r., Warszawa

Pobierz lub zamów w wersji drukowanej bezpłatną publikację, w której dowiesz się więcej o zadaniach NBP.

Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej

nbp.pl

eprasa.pl e8ec1033af

Sygnalista nadaje

Droga Noc – tak pisowskie osoby hejterskie próbują nam obrzydzić radość z laickiego, oddzielonego od Kościoła, inkluzywnego święta wiosny. Hej, pisowskie osoby hejterskie, może i wszystko jest droższe, ale za to pensje są niższe. A poza tym najważniejsze, że PiS nie rządzi!

Tryumfy ***Rafała Trzaskowskiego*** zstąpiły z ratusza warszawskiego. Niezapomniana debata w jakimś małym mieście między Warszawą a Krakowem. Fajnie wyszło, choć drogo, ale część zapłaci telewizja w likwidacji, a sztab Rafała resztę. Co prawda różni tacy straszą, że to niezgodne z prawem i że będą kary. Dla kogo? Dla demokratów walczących? Śmiech na sali. Nie po to jest przywracana praworządność, aby jakieś tam sądy i jakaś tam PKW rozliczała tych, których nie wolno rozliczać. Rozliczać to my, ale nie nas!

Jedyna słaba rzecz, że wbiło się tam kilku niezaproszonych gości, którzy ukradli Rafałowi show. Szkoda, bo wszystko było przygotowane. Rafał jak gladiator, pogromca rekinów i postrach węgorzy miał wdeptać w ziemię tego Nawrockiego z Gdańska. Przykra sprawa, nie lekceważymy jej, ale bokser z Gdańska ustał. A nawet pyskował.

Pyskowali też inni, choć nie takie były ustalenia z nimi. Rafałowi zrobiło się przykro. Tak bardzo, że aż miał oczy przekrwione. Jak wiadomo to od ciężkiej pracy i nieprzespanych nocy, a nie od jakichś chemikaliów. Pamiętajcie, że te opowieści o białym proszku przyjmowanym przez nos rozpowiadane przez byłego współpracownika to kłamstwa i pomówienia. Nie pozwalajcie, aby ktoś je powtarzał, bo Rafał jasno powiedział, że to nieprawda.

Jeśli chodzi o rozliczenie debaty w Końskich, to zasadniczo strach jest. Zawsze staramy się mieć kwit, ale tym razem będzie ciężko. Bo na razie to demokracja walcząca rozlicza, ale są osoby strachliwe, które boją się tego, że jednak nie będzie ona trwała tysiąc lat. Więc zostanie rozliczona.

Raz, raz, brawo! Raz, raz, brawo! Uśmiechnijcie się kochani! Dajcie czadu, bo was nie słychać! Dajcie czadu, żeby kampania Rafała szła jeszcze bardziej wyśmienicie. Tak dobrze, że na razie chyba można się wstrzymać z jakimiś spektakularnymi zatrzymaniami i aresztami wydobywczymi. Były takie pomysły, aby premier zarządził, żeby niezależna prokuratura kogoś zapuszkowała po dwóch debatach, które organizowały prawackie szczujnie, ale których Rafał słusznie nie zaszczycił. Bo to były pseudodebaty.

Te szczujnie będą zamykane, więc Rafał nie będzie tam chodził. Ale odnotowaliśmy tych, którzy poszli. A szczególnie rotamarszałka Hołownię. Był i miział się z prawakami, a nawet odcinał od rządu. Będzie za to rozliczony. ***Magdalena Biejat*** też zostanie rozliczona. Wprawdzie okolicznością łagodzącą jest to, że posłusznie nie poszła do prawackich szczujni, ale numer z tęczową flagą nie może pozostać bez kary. Była zbrodnia przeciw Rafałowi, będzie więc kara!

Uśmiechnijcie się, brygado, co jesteście tacy smutni? Co uciecze, to się nie upiecze! Rozliczyć trzeba też niejakiego Zgorzelskiego, wicemarszałka z ZSL czy innego PSL (nie każdy rozróżnia te sojusznicze stronnictwa). Otóż niejaki Zgorzelski nazwał „ustawką" tę wspaniałą inicjatywę, którą sztab Rafała zorganizował z TVP w likwidacji w Końskich. Dziwna wypowiedź. Przecież wicemarszałek Zgo-

eprasa.pl e8ec1033af

rzelski bardzo dobrze zna się z Pawłem Płuską, który jest ważną postacią w świecie telewizyjnych likwidatorów. Może więc zapytać i dowiedzieć się osobiście, kto finansował, kto organizował i inne takie rzeczy, którymi bardzo będzie się interesowała prokuratura po zmianie władzy.

Warto dodać, że nie ma naszej zgody na oskarżanie wicemarszałka Zgorzelskiego o to, że jesienią 2023 r. to on załatwił pracę w TVP panu Płusce. Miał mu ją zaoferować jeszcze przed przejęciem TVP przez likwidatorów z uśmiechniętej Polski. To prostu skandal, że źli i nieodpowiedzialni ludzie bezkarnie rozpowiadają takie pomówienia. Co na to organy ścigania?

À propos innych wafli (innych niż Prince Polo). ***Grzesiek Napieralski***, niezapomniany kandydat na prezydenta sprzed lat, a dzisiaj skromny poseł KO, padł ofiarą podobnych pomówień. Oszczercy rozpowiadają, że i on oferował stanowiska w jeszcze nieprzejętej TVP. Wtedy, gdy demokraci walczący dopiero formowali rząd uśmiechniętej Polski. Te pomówienia są szczególnie haniebne, bo znamy wysokie standardy, które cechują pana posła. A także jego przyjaciół, szczególnie Gorgosza, likwidatora neo-TVP, a kiedyś asystenta Napieralskiego. Zatem wszystkie sugestie, aluzje i insynuacje uważamy za całkowicie bezpodstawne.

Punkt dla mec. Giertycha. Ładnie się zachował jego kolega, niejaki Braun, na debacie w prawackiej szczujni o nazwie Republika. Wziął w obronę dobre imię jedynego właściwego kandydata, czyli Rafała, nakazując wyniesienie ohydnej kartonowej karykatury. A jeszcze ważniejsze, że ta brodata osoba o nazwisku Braun (nie mylić z brodatą osobą o nazwisku Zandberg) kierowała krytykę we właściwą stronę. Za każdym razem przywalał temu Nawrockiemu z Gdańska, dzięki czemu jego stryj Juliusz nie musi się wstydzić za swojego bratanka. Uśmiechnięta Polska to zapamięta!

Nieodpowiedzialnie zachował się burmistrz tej dziury Końskie, bo powiedział publicznie, że w sprawie wynajęcia hali sportowej dzwoniła do niego kielecka baronessa KO Okła-Drewnowicz. No i mówiła, że wynajem będzie na potrzeby wewnętrznego spotkania KO. A na dodatek burmistrz powiedział, że fakturę za wynajem wystawiła TVP w likwidacji. Potem jeszcze pojawił się kolega z boiska premiera o dziwnym nazwisku Moebus i on miał wystawić fakturę. Łatwo się pogubić z tym kwitem, a to powoduje, że niektóre osoby czują już zimne, metaliczne mrowienia na nadgarstkach. A nawet na kostkach.

Tu może nie być żartów. Właściwie to cała machina państwowa jest gotowa, aby uratować Ten Kraj, gdyby się okazało, że ludzie nie dorośli do demokracji i zagłosowaliby na kogoś innego niż Rafał. Po to są sądy, europejskie trybunały, uchwały Sejmu i wpisy internetowe premiera, aby nie dopuścić do władzy jakichś osiłków z IPN.

Jednak jest jedno „ale". W bratniej Rumunii tamtejsza demokracja walcząca odstrzeliła niedemokratycznego kandydata – niejakiego Georgescu – na którego chciała głosować większość ludności. Pojawił się problem, bo ta sama zacofana ludność zapragnęła wybrać innego nieodpowiedniego kandydata o nazwisku Simion. Praworządny sąd był już blisko tego, aby odstrzelić także jego. Zgodnie z najlepszymi europejskimi standardami, takimi jak np. we Francji. I zdarzyło się nieszczęście: telefon z Waszyngtonu, że nie uznają wyborów za demokratyczne, jeśli Simion nie będzie mógł startować. Rumuńska demokracja walcząca ustąpiła. Czy tak samo będzie z naszą demokracją walczącą?

Jednak wierzymy w zwycięstwo Rafała. Nie tylko nad owijającymi się wokół szyi węgorzami i pierzchającymi przed nim rekinami. Wprawdzie Polacy nie dorośli do niego. Jest dla nich zbyt inteligentny, jak słusznie zauważyła osoba dziennikarska z TVP w likwidacji. Na dodatek słucha jazzu, a nie disco polo. Ale są sposoby na zwycięstwo!

Jest nim hasło repolonizacji, które ogłosił ***premier Tusk***. Brzmi paskudnie, jakby to mówił jakiś Kaczyński czy inny Morawiecki, ale wiemy, że to jest nie dla nas. To dla tych zaściankowych ciemnogrodzian, którzy nie słuchają jazzu. Oni to łykną, a my i tak wiemy, że gdy nasz premier mówi „repolonizacja", to myśli „regermanizacja". A przecież wszyscy jesteśmy unijczykami. Nieważne czy pochodzenia polskiego, czy niemieckiego, czy wielokulturowego. Byle do 1 czerwca, bo niedługo potem Parada Równości. Kochani, widzimy się na niej – wreszcie pod tęczową lub błękitną flagą.

Najlepszym dowodem tego, o czym wspomniano wyżej, była wizyta kanclerza Scholza u naszego cesarza Europy, czyli premiera Tuska. Z tej historycznej wizyty zostaną piękne zdjęcia. Kanclerzowi musiało być miło, gdy widział te jakże sympatyczne gesty premiera. Cały uśmiechnięty Ten Kraj, panie kanclerzu, kłania się panu w pas. A także rączki całuje i do stóp pada.

PS Ta okropna nazwa, czyli Końskie, zostanie urzędowo zmieniona na bardziej neutralną. Jest już wniosek posła Giertycha.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Ludmyla Skwarczyńska

eprasa.pl e8ec1033af

Nurek na kozetce

Krzysztof Feusette

– Imię?
– Bonżur. To znaczy Dupiarz. Przepraszam, czasami mam dosyć. Rafał.
– To imię czy pseudonim?
– Tytuł książki.
– O czym?
– O mnie. To znaczy ja nie lubię opowiadać o sobie... to znaczy nie rozumiem ludzi, którzy, słuchajcie...
– Słucham?
– Ale czego?
– Powiedział pan: „Słuchajcie". Ile osób pan widzi w tym pomieszczeniu?
– No dwie.
– Bardzo dobrze. A do ilu pan mówi?
– Do wszystkich. To znaczy do jednej. No tak, powinienem powiedzieć „słuchaj"... Natomiast pani nie powinna mi teraz wkładać szprychy w kija. To znaczy, kija w koło. Książka jest o mnie, ponieważ nie rozumiem ludzi, którzy lubią mówić o sobie. Że tam znają jakieś języki albo ile mają wzrostu...
– A ile pan ma?
– Serio?
– Czemu pan myśli, że to żart?
– Bo mi nikt nie wierzy! No to mam... A ma pani miarkę? To sto osiemdziesiąt kilka.
– Kilka?
– No kilka. Teraz nie pamiętam.
– Miewa pan problemy z pamięcią?
– Oczywiście. Jak każdy. Trzeba myśleć o przyszłości. Może ogóreczka?
– Nie dziękuję, nie piję w pracy. No dobrze, dopełnimy formalności, bo tutaj faktura, jak widzę, będzie konkretna. Panie Rafale, czy pamięta pan swoje nazwisko?
– Tchórzkowski. Tfu, Czaskoski... Czajkowski. Od Czajki? Nie, od „Jeziora łabędziego". Stąd łabędzi śpiew...
– Wszystko w porządku?
– No dobra, powiem...
– Oczywiście wiem, jak się pan nazywa, mam telewizor. Na żywo jakiś pan większy...
– Dziękuję. Cała Polska naprzód!
–...w pasie.
– Bez przesady, pompkę zrobię. Jak mnie obiektyw nie peszy.
– A czemu „Tchórzkowski"?
– No przecież pani wie.
– Owszem, ale chciałabym to usłyszeć od pana.
– Bo nie poszedłem na debaty.
– Dlaczego?
– Bo... bo pani mówiła, że nie ma czasu, bo jeszcze musi przygotować Donalda przed briefingiem o repolonizacji. Jeszcze pani mówiła: „Muszę go przygotować, bo jak się rozpędzi, to jeszcze sam się zrepolonizuje...".
– Wszystko pan pomieszał. Pana miałam przygotować do drugiej debaty, bo na pierwszą, jak pan powiedział, nie pójdzie, choćby go przypiekali żelazem. A trzecia debata już była?
– Była.
– I co?
– I karton. To znaczy nie mogłem, bo już mi się przelało.
– Czy często pan tchórzy?
– Z rekinami nie. Normalnie jeden się o mnie ocierał, a ja nic. No ale jak zaczęły rozszarpywać rybę, to mi się włączyła wyobraźnia, że one jednak nie mówią po francusku. A potem węgorz zakręcił mi się na szyi, ale go zjadłem. To znaczy nie jego, ale jak tylko widzę w rybnym węgorza, to go natychmiast „ciach" nożem. Na wszelki wypadek.
– Czy to się często zdarza?
– Rekiny? A skąd. Raz byłem w Egipcie, to myślę, zrobię sobie papiery na nurka, bo wiadomo, jaka jest polityka. Małgosia nie chciała, „ktoś musi dziecko przed pierwszą komunią ostrzec", powiedziała, „jak ci życie niemiłe, to sobie schodź, na ile metrów chcesz...".
– I zszedł pan?
– Wtedy nie. Ale zaraz obok była przychodnia, myślę: „Pójdę, zapytam, czy jakby co, to mają odpowiednie przeszkolenie...".
– Ale jakby co?
– No jakby węgorz dusił albo rekiny się ocierały. Niestety nikogo nie było.
– Bał się pan?
– Trochę. Bo jak wracałem, było już ciemno, a ja lubię sam organizować sobie spotkania. Wie pani, jak jest, nawet wieczorem ktoś może rozpoznać.
– W Egipcie?
– A co? W Warszawie ciągle się to zdarza. Czasami człowiek chciałby poczytać książkę w tramwaju albo udzielić wywiadu, albo sprawdzić, czy na Wilanowie nie trzeba poszerzyć przystanków jak kilka lat temu, kiedy w ramach patriotyzmu gospodarczego kupiliśmy koreańskie tabory, żeby pasowały do chińskich autobusów – a tu mu się ładuje jakaś telewizja!
– Nie chcę pana zniechęcać, ale startując na urząd prezydenta, musi się pan liczyć...
– Nic nie muszę. Okna w Belwederze pookleja się taśmami, dziennikarze będą przyjeżdżać, jak Nitras ich zawoła, a poza tym będę dużo jeździł.
– Na rekiny?
– Na narty. Żebrowski, mój serdeczny przyjaciel, powiedział, że jeżdżę prawie wyczynowo. Zresztą, czego on nie mówił...
– A co jeszcze?
– Na przykład, ale od razu mówię, że nie wiem, czy tak jest naprawdę, że moja książka to jest jak Mickiewicz, Wyspiański i w zasadzie cała polska klasyka. Tam jest masa fantastycznych informacji. Wiedziała pni o tym, że miałem zagrać główną rolę w „Akademii Pana Kleksa"?
– Ale w tej nowej? Kleksa?
– Nie, w starej. A co się pani tak dopytuje? I dlaczego się pani nie uśmiecha? No, uśmiechnij się, brygado! Brygido, bara-bara!
– De Barbaro.
– Uśmiechnij się! Baśka, coś taka ponura? Przecież zaraz debata!
– Proszę zejść z żyrandola, bo się pan pokaleczy!
– Takiego wała, jak Polska cała na Rafała! Co uciecze, to się nie upiecze! I proszę stąd wyjść! To jest pokój prezydencki!

eprasa.pl e8ec1033af

WIEŻA BAB

Ożeż trwa mać!

Rządu nic nie łączy. Nikt z nikim i w niczym się tam nie zgadza

Stało się! Wreszcie się dowiedzieliśmy, po co powstał rząd Donalda Tuska! Mamy wizję przyszłości i rozwoju Polski, na którą czekamy od półtora roku. Sprowadza się ona do trzech słów: „Rząd trwa mać"!

Tę wizję ujawnił w rozmowie z Radiem ZET minister nauki i szkolnictwa wyższego Marcin Kulasek, który zdradził słowa premiera. „Wczoraj na posiedzeniu rządu premier ustosunkował się do przyszłości koalicji w kontekście kampanii. Pan premier powiedział, żeby pamiętać, że jesteśmy koalicją, koalicja twa i trwa mać i żeby się nie zagalopować nigdy wśród trzech kandydatów koalicji, żeby się tak pokłócić, że później pewne rzeczy ciężko będzie robić wspólnie".

Donald Tusk chociaż raz usłyszał głos Polaków, których przez większość czasu ignoruje. A ci, zwłaszcza idąc do sklepu i widząc ceny, łapią się za głowę i mówią: „Ożeż trwa mać!". Gdy przychodzi rachunek za prąd: „Ożeż trwa mać!", gdy dzieci wracają z domu i twierdzą, że nie muszą się uczyć, bo minister tak powiedziała: „Ożeż trwa mać!" itp. Niezadowolenie z rządu widać w badaniach. W tym przeprowadzonym przez pracownię Opinia24 na zlecenie radia RMF FM prawie 60 proc. Polaków wyraziło swoje niezadowolenie z pracy rządu Donalda Tuska. Z kolei z sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej" wynika, że blisko 60 proc. naszych rodaków uważa, że ich sytuacja materialna pogorszyła się w ostatnim roku.

Ostrzeżeń premiera nie wziął chyba na poważnie marszałek Szymon Hołownia, który od początku kampanii udaje, że nie ma nic wspólnego z rządem Tuska. Ot, przechodził z tragarzami i go wciągnęli, a potem związali, zakneblowali i każą mu głosować, ale z koalicją się nie utożsamia, a Tuska prawie nie widuje i w ogóle nie zna człowieka. I Hołownia galopuje, wbrew pomrukom ostrzeżenia wydobywającym się z kancelarii premiera: „Nie oczekujmy, że będziemy sobie teraz nawzajem siadać na kolana. Sprawy rządowe załatwiamy i dowozimy. Odpowiadamy za rząd, zbieramy się w nim, mamy projekty, które nas łączą, i chcemy, żeby zostały zrealizowane. Natomiast wizje prezydentury mamy różne i będziemy się o to spierać. To, że pan premier z właściwą sobie ojcowską troską zwraca uwagę nam, skromnym, żebyśmy się nie zagalopowali, jest absolutnie trafne. Nie możemy się zagalopować, ale z drugiej strony, to jest kampania, a pan premier też wielokrotnie brał udział w kampaniach. Z tego, co wiem, i takie odgłosy dochodzą z wczorajszego posiedzenia rządu, pan premier jest wręcz zbudowany tym, w jaki sposób kampania się odbywa, jak poważnie ją wszyscy traktują i zależy mu – i mówię to bez żadnego przekąsu – na tym, żeby rząd i koalicja wyszły z tego bez szwanku. Niezależnie od tego, kto będzie prezydentem, a jak powiedziałem, zamierzam doprowadzić do tego, że nie będzie nim zastępca pana premiera" – powiedział Szymon Hołownia na swojej konferencji. „Prrr, szalony!" – chciałoby się powiedzieć. Przecież jak tak dalej pójdzie, premier zacznie kopać paprotki.

A idzie źle. Rządu nic nie łączy, bo politycy lewicy apelują do prezydenta, by zawetował rządową ustawę obniżającą składkę zdrowotną, w rządzie nie ma zgody co do polityki mieszkaniowej, w resorcie rolnictwa nie ma zgody co do walki z pryszczycą itd. Nikt z nikim i w niczym się tam nie zgadza. Poza tym premier raczej nie może być zadowolony z przebiegu kampanii, bo jego zastępca leci w sondażach na łeb na szyję i nie widać końca tej katastrofy. Jest tak źle, że szef rządu przyznał, iż był przeciwny pomysłowi debaty. Czyli musi być fatalnie, bo gdyby było dobrze, to Tusk by powiedział, że sam ją wymyślił. A jeszcze do tego marszałek Sejmu z obozu władzy zapowiada, że zrobi wszystko, by Trzaskowski nie wygrał wyborów. Jak dalej będzie tak galopował, to go zrotują na Włodzimierza Czarzastego szybciej, niż zapisano w umowie koalicyjnej, a ministrów Hołowni wyrotują z rządu. Grunt, że jest wizja: „Rząd trwa mać!". A teraz każdy może sobie pod nosem mruknąć, co o tym myśli.

Dorota Łosiewicz

USA

Cła i Hollywood

W weekend otwarcia film „Minecraft" zarobił w Chinach 15 mln dol. Ten sukces kasowy może jednak okazać się ostatnim, przynajmniej na jakiś czas, a wszystko przez wojnę celną między Stanami Zjednoczonymi a Pekinem.

Chiny to drugi co do wielkości rynek filmowy na świecie. Jednak po nałożeniu przez Donalda Trumpa 145-proc. ceł na to państwo, produkcje z Hollywood nie zarobią tu zbyt wiele, bo Chińska Administracja Filmowa ograniczyła im dostęp do rynku. Dotąd amerykańskie filmy zarabiały w Chinach ok. 3 mld dol. rocznie, ale w ub.r. kwota ta spadła do 1,2 mld dol. Bo choć wypuszczono tu 42 amerykańskie produkcje, to preferencje chińskich widzów uległy wyraźnej zmianie i zaczęli oni doceniać ojczyste produkcje.

Zdaniem politologa Stanleya Rosena rosnąca popularność rodzimej kinematografii stanowi w Chinach kwestię patriotyczną i ekonomiczną. Pekin mocno wspiera własną produkcję, a amerykańską ogranicza, celowo przymykając oko na powszechny dostęp do pirackich kopii w internecie. Od kilku lat departament propagandy partii komunistycznej wymuszał na amerykańskich producentach modyfikacje fabuły, aby wspierać na ekranie chińskie produkty lub uwzględniać wymogi cenzury. Niektóre filmy całkiem zaś blokowano. W latach 2020–2022 nie grano np. żadnych filmów Marvela i choć nie podano oficjalnych powodów, jasne było, że chodziło o nachalną promocję tęczowej ideologii.

Hollywood ma kłopoty również w Ameryce. Najnowsza, politycznie poprawna wersja królewny Śnieżki okazała się dla Disneya kosztowną klapą. Ostatecznie wytwórnia podjęła decyzję o wycofaniu się z prowadzenia wojen kulturowych. Okazało się bowiem, że forsowanie polityki DEI (różnorodności, równości i integracji) powoduje odpływ widzów i prowadzi do utraty sensu pracy wśród twórców. Dowodzi tego również spektakularna dymisja Jen Salke ze stanowiska szefowej Amazon/MGM Studios. Fanatyczna propagatorka równości położyła na łopatki kilka kosztownych produkcji, w tym nową wersję „Władcy pierścieni. Pierścienie władzy", którą odrzuciło 65 proc. widzów, generując setki milionów strat.

Liberalne media twierdzą, że hollywoodzkie hity pełniły w Chinach formę amerykańskiej soft power, a polityka celna Trumpa doprowadzi do ograniczenia zachodnich wpływów kulturowych. Zdaje się jednak, że prezydent wyrządza jedynie przysługę amerykańskiemu przemysłowi filmowemu, który potrzebował porządnego wstrząsu, aby wyjść z ideologicznej zapaści.

Maciej Walaszczyk

Fot. Chizhevskaya Ekaterina/Shutterstock.com

O krok od bomby

Amerykańsko-irańskie rozmowy w sprawie programu nuklearnego Teheranu, które rozpoczęły się w miniony weekend w Omanie, przyniosły powiew optymizmu. Zdaniem obserwatorów oddala się perspektywa wojskowego uderzenia na Iran, a amerykański negocjator Steve Witkoff spotkał się nawet na krótko twarzą w twarz z szefem irańskiej dyplomacji Abbasem Araghchi, mimo że wcześniej tego rodzaju opcja nie wchodziła w grę.

Sytuacja stawała się napięta, bo zdaniem międzynarodowych ekspertów Iran potrzebuje jedynie kilku tygodni, aby zbudować swój pierwszy ładunek jądrowy. Analizy waszyngtońskiego think tanku Institute for Science International Security wskazują, że w razie podjęcia decyzji o przyspieszeniu prac Teheran, wykorzystując zgromadzone zapasy wzbogaconego materiału rozszczepialnego, może w ciągu tygodnia zbudować „surową" bombę atomową, a po miesiącu dysponować 6–9 podobnymi. Tym mianem określa się prymitywny ładunek jądrowy posiadający moc wybuchu porównywalną do tego, który zniszczył Hiroszimę. Zdaniem specjalistów, w jednej z dwóch irańskich instalacji możliwe jest wzbogacenie uranu do poziomu 90 proc., co umożliwia zbudowanie tego rodzaju bomby. Na razie Iran nie posiada zdolności do jej miniaturyzacji, a to jest niezbędnym warunkiem zbudowania głowicy jądrowej przenoszonej za pomocą rakiet. Skonstruowanie mechanizmu inicjującego wybuch również nastręcza wielu problemów. Nie zmienia to jednak faktu, że prymitywna bomba umieszczona w ładowni statku handlowego lub samochodu ciężarowego mogłaby z powodzeniem posłużyć do przeprowadzenia ataku terrorystycznego.

W minionym miesiącu Donald Trump wysłał list do władz Iranu, w którym wezwał, aby w ciągu 60 dni zrewidowały swoją politykę nuklearną i podpisały ze Stanami Zjednoczonymi porozumienie o rezygnacji z broni jądrowej. Dalsze próby wyprodukowania bomby mogą bowiem sprowokować amerykańskie uderzenie na irańską infrastrukturę nuklearną.

W ostatnim czasie Amerykanie przerzucili do bazy Diego Garcia na Oceanie Indyjskim bombowce strategiczne B-2, co ma uprawdopodobnić scenariusz ewentualnego ataku. Dobry początek rozmów z Teheranem oddala perspektywę bezpośredniego starcia, czego orędownikiem jest premier Izraela, jednak nie usuwa tego ryzyka w zupełności.

Marek Budzisz

Iran

Wielka Brytania

Wolność słowa na celowniku

Jak donosi „The Sunday Times", w 2023 r. brytyjska policja dokonała ponad 12 tys. aresztowań za obraźliwe wiadomości przesyłane przez internet, najczęściej wpisy w mediach społecznościowych. Wspomniane treści miały wywoływać u odbiorców niepokój, dyskomfort lub cierpienie. Oznacza to, że organy ścigania na Wyspach Brytyjskich zatrzymywały z tego powodu ponad 30 osób dziennie. Rzeczywiste dane powinny być jeszcze wyższe, gdyż opublikowane statystyki pochodzą z 77 proc. jednostek policji.

Jak zauważa gazeta, choć liczba aresztowań rośnie, to maleje zarazem liczba wyroków skazujących. W 2023 r. wydano ich zaledwie 1119, co oznacza, że mniej niż 10 proc. aresztowań miało realne podstawy prawne. Jest to świadectwem ewidentnej nadgorliwości policji zbyt skwapliwie reagującej na donosy osób, które poczuły się czymś urażone. Przykładem takiej przesadnej interwencji jest przypadek rodziców z Hertfordshire, którzy wysyłali „zbyt wiele e-maili" do szkoły i komentowali tę sytuację w ramach grupy stworzonej na komunikatorze WhatsApp. To wystarczyło, by do ich domu wkroczyło sześciu funkcjonariuszy policji, którzy aresztowali małżonków i przez osiem godzin przetrzymywali ich w celi. Podobnych historii jest znacznie więcej.

Działania represyjne wynikają z ustawy przewidującej przeciwdziałanie treściom „rażąco obraźliwym". Problem polega na tym, że nie ma jasności, co może być dla kogoś obraźliwe. Niektóre osoby i środowiska wykorzystują więc obowiązujące prawo do uciszania krytyków i uniemożliwiania merytorycznej dyskusji. Część organizacji pozarządowych ostrzega, że wolność słowa zostaje postawiona pod znakiem zapytania. Nawet jeśli większość aresztowań nie znajduje finału w sądzie, to i tak widmo zatrzymania przez policję może działać paraliżująco na internautów. Tak powstaje mechanizm autocenzury, który podważa demokratyczną kulturę publicznej debaty. Nie mówiąc już o tym, że zamiast ścigać prawdziwych przestępców, policjanci nękają uczciwych obywateli.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x2

Rosja

Gazowa ekspansja Kremla

Kreml w dalszym ciągu zamierza czerpać główne zyski z wydobycia i eksportu gazu ziemnego oraz ropy naftowej – wynika z nowej długofalowej strategii energetycznej Rosji.

Moskwa zakłada, że najważniejszym źródłem dochodu ma być sprzedaż gazu ziemnego. Jak pisze agencja Bloomberg, planuje się duży wzrost rocznej produkcji tego paliwa. Strategia przewiduje wydobycie 853 mld m^3 do końca dekady, co stanowi wzrost o ponad jedną trzecią w stosunku do 2023 r. Produkcja w 2050 r. ma zaś przekroczyć 1 bln m^3.

Większość tej produkcji ma stanowić gaz skroplony LNG, co oznacza dużą zmianę w stosunku do poprzednich lat, gdy podstawą rosyjskiego eksportu były dostawy przesyłane rurociągami. Bo choć Moskwa zakłada, że do 2036 r. wyeksportuje 197 miliardów m^3 gazu rurociągami, to i tak – jeżeli w ogóle uda się osiągnąć ten cel – nie pobije swojego rekordu z 2018 r., gdy tylko do Europy pompowano rocznie 180 mld m^3 paliwa.

W tej chwili jest to nierealne, ponieważ po wybuchu wojny na Ukrainie Rosja straciła prawie wszystkich nabywców w Europie. Mając do dyspozycji tylko jedną trasę rurociągu do Unii Europejskiej i będąc w impasie w rozmowach na temat drugiej nitki gazociągu Siła Syberii do Chin, Gazprom nie ma szans, aby powrócić do roli największego dostawcy gazu przesyłanego rurociągami.

Co innego LNG. Rosja, która produkuje gaz skroplony na Sachalinie i Półwyspie Jamalskim, zamierza zwiększyć jego wydobycie, uruchamiając w tej dekadzie cztery kolejne zakłady. Planuje również rozbudowę terminalu Arctic LNG 2 położonego nad Zatoką Obską w Arktyce i zakłada całkowitą wydajność na poziomie 105 mln t rocznie do 2030 r. Na razie te ambitne plany są blokowane przez zachodnie sankcje, ale najwyraźniej Moskwa uważa, że wkrótce restrykcje zostaną zniesione albo uda się je obejść.

Nieco mniej okazałe są projekty dotyczące ropy naftowej. Rosyjska strategia energetyczna przewiduje bowiem, że produkcja i eksport ropy naftowej nie zmienią się w ciągu najbliższych 25 lat. To konsekwencja rosnącej konkurencji na rynku oraz spadającego popytu na ten surowiec. Dodatkowym utrudnieniem jest także stopniowe wyczerpywanie się wysokiej jakości rezerw węglowodorów w Rosji i wysokie koszty otwarcia nowych, mniej dostępnych złóż. Rosja, która posiada dzisiaj 10 proc. udziału w rynku naftowym, zamierza skupić się na jak najdłuższym utrzymaniu pozycji głównego dostawcy ropy do Chin i Indii.

Eksport surowców ma być – jak do tej pory – siłą napędową Rosji. Zmienia się jednak kierunek eksportu paliw. Teraz to nie Europa, ale przede wszystkim Azja ma być najważniejszym źródłem rosyjskich dochodów.

Konrad Kołodziejski

Fot. VladSV/Shutterstock.com

eprasa.pl e8ec1033af

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zbrojne ramię oligarchicznego ładu

Uchylenie koncesji dla Republiki i wPolsce24 należy widzieć w szerokim kontekście. Sędzia Barbara Kołodziejczak-Osetek potwierdziła, że decyzja KRRiTV, która koncesje przyznaje, jest uznaniowa, ale ogłosiła także, iż powinna być bardziej uzasadniona. Ponieważ każdą decyzję można bardziej uzasadnić, każdą można zakwestionować.

KRRiTV podkreślała, że obie stacje działają na rzecz pluralizmu medialnego. A to on jest solą w oku establishmentu. Wprawdzie telewizje te stanowią zdecydowaną mniejszość na tle jednolitego opiniotwórczego frontu w Polsce i Europie, ale jak mówił Grzegorz Schetyna, rządzący dążą do „domknięcia systemu".

Dlatego ponad miesiąc temu nie została przedłużona we Francji licencja dla telewizji C8, która wyłamywała się ze zgodnego chóru, i dlatego cofnięte zostały koncesje dla Republiki i wPolsce24.

Oligarchiczne imperium kontratakuje, a jego zbrojnym ramieniem jest wymiar „sprawiedliwości", który ma z nią coraz mniej wspólnego. Unieważnienie wyborów w Rumunii, pozbawienie Marine Le Pen biernych praw wyborczych czy próba odebrania licencji opozycyjnym telewizjom to element tej samej strategii. Aby sprawnie ją wdrożyć, korpus sędziowski musi być zdyscyplinowany i nie dopuszczać odmiennych postaw. Nic dziwnego więc, że instancje unijne pośpieszyły na pomoc establishmentowi prawniczemu w Polsce, który gwałcąc konstytucję i normy cywilizacji zachodniej, usiłuje wyeliminować sędziów mianowanych przez prezydenta Dudę, czyli blisko jedną trzecią wszystkich sądzących.

Generalny rzecznik TSUE ogłosił ostatnio, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego „nie spełnia wymogów sądu", a sądy krajowe są zobowiązane pominąć jej orzeczenia. Werdykt taki stanowi radykalne wykroczenie poza zapisane w traktatach uprawnienia tego ciała, z czym mamy do czynienia już od 2019 r., kiedy Trybunał ten zaczął podważać reformy sadownictwa w Polsce. W różnych krajach UE funkcjonują rozmaite procedury mianowania sędziów, a udział w nich polityków, np. w Niemczech, zdecydowanie wykracza poza to, co zakłada polska reforma z 2017 r., ale TSUE się tym nie przejmuje. W tym samym czasie, kiedy ogłosił on, że niedopuszczalne jest w Polsce zwiększenie udziału parlamentu w desygnowaniu członków KRS, za zgodne z europejskim prawem uznał mianowanie przez premiera sędziów na Malcie. TSUE lekceważy konkretne zapisy w traktatach, natomiast odwołuje się zwykle do ogólnikowego 2 art. Traktatu o UE: „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego" – i jak widać stosuje go zupełnie dowolnie.

Gdyby potraktować poważnie rzecznika TSUE, oznaczałoby to, że rozstrzygnięcia tego ciała działają z mocą wsteczną, a ostatnie wybory w Polsce są nieważne. Jednak nikt, zwłaszcza jego sprzymierzeńcy, nie oczekują od niego i reprezentowanej przez niego instytucji, tak jak gremiów kierowniczych UE, elementarnej bodaj konsekwencji czy trzymania się logiki. W Polsce minister Bodnar raz akceptuje orzeczenia Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, a raz nie. Tak samo podchodzi do innych sądów. A prawnicze „elity" biją brawo.

W marcu wymieniony już rzecznik TSUE ogłosił, że wyroki polskiego Trybunału Konstytucyjnego uznającego konstytucję za najwyższe prawo w Polsce „stanowią bezprecedensową rebelię i poważnie naruszają pierwszeństwo, autonomię i skuteczność prawa Unii".

W rzeczywistości stanowisko podobne ogłosiły organy konstytucyjne Niemiec, Francji, Hiszpanii i Rumunii, ale wówczas TSUE nie uznał tego za „rebelię". Zresztą także polski TK w 2005 r. pod przewodnictwem Marka Safjana (obecnego sędziego TSUE) rozstrzygnął, że „Konstytucja pozostaje – z racji swej szczególnej mocy – prawem najwyższym RP w stosunku do wszystkich wiążących Rzeczpospolitą Polską umów międzynarodowych". Potwierdził to w 2011 r., kiedy jego prezesem był Andrzej Rzepliński. Ponieważ jednak należeli oni do europejskiego towarzysko-politycznego układu, ich orzeczenia nie wywołały protestów w UE.

Europejczycy przyzwyczajeni, że wymiar sprawiedliwości jest gwarantem ich wolności i porządku politycznego, nie dostrzegają, że w obecnym kształcie stał się on zaprzeczeniem sprawiedliwości i zbrojnym ramieniem europejskiej oligarchii. Jego stan domaga się gruntownej reformy.

W Polsce zacząć by trzeba od rozwiązania stowarzyszeń takich jak Iustitia czy Themis. Konstytucja zakazuje sędziom przynależności do partii politycznych, związków zawodowych, a także „prowadzić działalności niedającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów". A działalność taką uprawiają wymienione organizacje.

Należałoby pociągnąć do odpowiedzialności sędziów, którzy uderzają w konstytucję i fundament prawa usiłując podważyć status innych sędziów. Władza prawa powinna wreszcie zastąpić rządy prawników.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e8ec1033af

Nie zaprzepaśćmy tego!

Marta Kaczyńska-Zielińska

Przykłady Rumunii i Francji, gdzie blokuje się możliwość kandydowania na urząd prezydenta osobom „niepożądanym politycznie" przez unijne elity, odzwierciedlają niepokojącą tendencję w Europie polegającą na nadużywaniu władzy państwowej w celu ograniczenia praw obywateli do udziału w procesie wyborczym stanowiącym istotę demokracji.

Katastrofalna w skutkach dla europejskich narodów polityka imigracyjna, niszcząca cywilizację zachodnią ideologia gender, Zielony Ład sprzyjający jedynie wąskiej grupie interesów i skazujący Europejczyków na ubóstwo sprawiają, że poparcie społeczne dla lewicowo-centrowych elit rządzących UE spada.

W ostatnim czasie unijny establishment przegrał we Włoszech, Holandii, Szwecji i stara się narzucić narrację o „prawicowych ekstremistach", którzy „zagrażają demokracji" i w związku z tym należało ich wykluczyć z demokratycznych procedur.

Bruksela nie miała żadnych skrupułów co do ingerencji w wybory parlamentarne na Węgrzech i w Polsce, blokując środki z funduszu KPO. Obecny układ geopolityczny sprawia jednak, że powstrzymanie autorytarnych lub nawet totalitarnych zapędów unijnych elit będzie możliwe, o ile w najbliższych wyborach prezydenckich naród polski opowie się przeciwko dominacji Brukseli (*de facto* Berlina i Paryża), głosując na Karola Nawrockiego, którego cała dotychczasowa droga życiowa wskazuje na to, że jest on zdeterminowany i konsekwentny w staniu na straży polskich interesów.

Donald Trump nie szczędzi gorzkich słów pod adresem Unii Europejskiej. W czasie swojej poprzedniej kadencji publicznie obnażył hipokryzję Niemiec, które nie kwapiły się do finansowania NATO, ale z entuzjazmem budowały ze zbrodniczą Rosją kolejną nitkę gazociągu Nord Stream, który stał się perpetuum mobile dla wojny na Ukrainie. W oczach Trumpa UE działała jak mafijna organizacja protekcjonistyczna, która zalewała Stany Zjednoczone eksportem, nakładając jednocześnie surowe kary na amerykańskich producentów. Co intrygujące, podobnie zdecydowanej postawy Unia nie prezentowała wobec zalewających ją swoimi towarami Chin. Prezydent USA chce równych szans z Europą na płaszczyźnie handlu i większej liczby miejsc pracy dla amerykańskich pracowników. Trump jest przeciwnikiem globalizmu, ponadnarodowych rządów i socjalizmu, a wszystkie te wartości są, jak wiadomo, głęboko zakorzenione w obecnej UE. Amerykański przywódca zdaje sobie sprawę, że Unia znajduje się w stanie upadku i podziela pogląd partii konserwatywnych o zagrożeniu dla suwerenności państw narodowych w Europie oraz zbyt dużej koncentracji władzy w rękach Brukseli.

W połowie kwietnia br. Sąd Najwyższy w Londynie jednogłośnie orzekł, że definicja prawna kobiety obowiązująca w angielskich przepisach odnosi się wyłącznie do płci biologicznej. Tym samym podważył stanowisko rządu Szkocji, który w uchwalonych przepisach do definicji kobiety włączył osoby transpłciowe z certyfikatem uzgodnienia płci.

Niepoprawna politycznie Wielka Brytania kilka lat temu powiedziała „nie" dyktatowi aroganckich Niemiec i Francji, a w ostatnich dniach widać, że odrzuca relatywizm stojący u podstaw ideologii gender i woke.

We Francji odnotowuje się coraz większą liczbę chrztów wśród osób dorosłych. Ostatnio internet obiegły fotografie chrześcijańskiego zgromadzenia modlitewnego, na których widać tysiące ludzi.

Zorganizowany z inicjatywy europosła Patryka Jakiego marsz z okazji 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego i 500-lecia hołdu pruskiego przyciągnął na Trakt Królewski w Warszawie ok. 100 tys. ludzi, a 1165 par zatańczyło poloneza na Krakowskim Przedmieściu.

Coraz większą popularnością cieszą się niezależne media konserwatywne.

W nas, Polakach, niewątpliwie istnieje potrzeba pielęgnacji naszej tradycji, historii i co za tym idzie – naszej tożsamości bazującej na umiłowaniu wolności, wartościach chrześcijańskich i patriotyzmie. Chcemy i jesteśmy w stanie sami o sobie decydować. Nie zaprzepaśćmy tego. Idźmy na wybory, głosujmy za Polską!

REKLAMA

01/0425/F

eprasa.pl e8ec1033af

Walizka Janka Śpiewaka

socjologa, publicysty, działacza społecznego, współtwórcy Stowarzyszenia Miasto Jest Nasze

Moje spacery po Warszawie to takie małe podróże, ale dostaję białej gorączki, gdy widzę niegospodarność. Tym, co mnie szczególnie irytuje, są pustostany, których mamy 10 tys. Część z nich to pustostany usługowe, utytłane w graffiti. Czarną perłą w koronie tej skandalicznej nieudolności Rafała Trzaskowskiego jest pustostan w samym centrum przy skrzyżowaniu Nowego Światu i Al. Jerozolimskich. To miejski lokal, z którego wysokimi czynszami wykurzono Empik, a teraz, zamiast kipieć kulturą i być wizytówką Warszawy, wygląda jak rudera z trzeciego świata. Życie w stolicy jest niezmiernie drogie, czynsze są bardzo wysokie, a zakup mieszkania dla wielu pozostaje nierealnym marzeniem i efektem tego jest m.in. 2,5 tys. wakatów w policji. Tę dziurę w stołecznym bezpieczeństwie łata się, sprowadzając na jeden, dwa dni policjantów z innych gmin, co nie zmienia faktu, że brakuje nam funkcjonariuszy. Jeszcze raz przypomnę – w czasie, gdy mamy 10 tys. pustych lokali. Jaki prywatny właściciel pozwoliłby sobie na to, żeby trzymać w takim mieście jak Warszawa niezarabiające na siebie mieszkania? Gołym okiem widać, że stolica nie ma gospodarza.

KASZKIET

Chociaż mnie i mojego ojca dużo dzieliło, przejąłem od niego absolutną fascynację socjologią i kaszkietami. Mam ich całą kolekcję, m.in. w klimacie peaky blinders, współczesne, lniane na lato, bawełniane i wełniane. Dla mnie kaszkiet to taki warszawski prasko-czerniakowski statement.

GAŁGAN

Czuję się trochę mącicielem i urwisem, który burzy spokój elitom.

Fot. Adam Nurkiewicz, Michał Korsun, Shutterstock

eprasa.pl e8ec1033af

ZEGARKI

Bardzo lubię stare, ręcznie nakręcane zegarki, które są dla mnie symbolem ponadczasowej elegancji. Całkiem niedrogie modele można upolować na Allegro.

SPACERY

Lubię chodzić, bo uważam to za najzdrowszą aktywność sportową. Dzięki spacerom nie tylko dbam o formę, lecz także zwiedzam. Do spacerów dobieram bardzo wygodne obuwie i jakąś kawę/herbatę do termokubka, bo ich ceny w kawiarniach w Polsce oszalały. Fakt, że kawa kosztuje u nas 5 euro, jest po prostu niebywały.

JOLANTA BRZESKA

Jest niezmiernie ważne, by pamiętać o morderstwie Jolanty Brzeskiej, działaczki zaangażowanej w obronę eksmitowanych lokatorów, i aferze reprywatyzacyjnej, która miała miejsce w stolicy za rządów Gronkiewicz-Waltz. Sprawa tej działaczki do dziś nie została wyjaśniona, a prokuratura zrobiła wszystko, żeby nie wykryć sprawców, prowadząc śledztwo najpierw pod kątem samobójstwa! Jolanta Brzeska pozostaje symbolem walki z niesprawiedliwością, a także wielkim wyrzutem III RP.

„NIE PARKUJ JAK ŁOŚ"

Do furii doprowadza mnie nielegalne parkowanie, zwłaszcza gdy utrudnia przejście pieszym. Zawsze myślę o ludziach „słabych", którzy poruszając się po mieście, mają problem z przemieszczaniem się: kobiety z dziećmi, niepełnosprawnych na wózkach, osoby o kulach czy emeryci. Gdy widzę zastawiony chodnik, umieszczam taką naklejkę na szybie.

„PATOPAŃSTWO"

Cały czas jestem w trasie z książką, która stanowi podsumowanie mojej pięcioletniej działalności naukowo-publicystycznej. Polska jest państwem silnym dla słabych i bezsilnym wobec silnych. Władze potrafią być bardzo skuteczne, gdy trzeba załatwić jakiś interes elitom, a zarazem zaskakująco bezradne, gdy chodzi o dobro publiczne. To nie jest przypadek, że państwo tak wygląda – po prostu tak jest skonstruowane i wszystkie anomalie, które nas otaczają, są tego efektem.

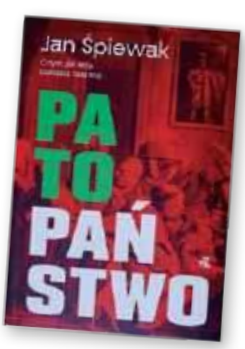

NASI BRACIA MNIEJSI

Kocham zwierzęta i od ośmiu lat staram się nie jeść mięsa. Uważam, że to, co ludzie fundują zwierzętom, jest po prostu straszne. Jestem psiarzem, a Kajtek ze zdjęcia sam do mnie przyszedł. Praktycznie jest kopią mojego poprzedniego pieska, którego adoptowałem, gdy był już wiekowy.

APARAT

Bardzo lubię fotografować, ale gdy robię zdjęcia telefonem, to potem ich nie oglądam, część z nich przepada wśród milionów innych. A gdy fotografia od razu pojawia się w fizycznej formie polaroidowej, naklejam ją na lodówkę albo wręczam jako prezent pamiątkę.

„WIADOMOŚCI Z KOŃCA ŚWIATA"

Co dwa tygodnie nagrywam z moją przyjaciółką Zosią podcast „Wiadomości z Końca Świata". Koncentrujemy się na sprawach społecznych, systemowych i unikamy partyjniactwa. Nierzadko poruszamy tematy ze świata.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl e8ec1033af

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nasza wieczna przepychanka

Jan Pietrzak

W odległej epoce zwanej prylem napisałem utworek „Przepychane tango". Dotyczyło ono ówczesnej, jak ją określano, gospodarki niedoborów. Nazywano ją również gospodarką nakazowo-rozdzielczą. Ustrój komunistyczny to był jeden wielki niedobór nakazany przez Moskwę i rozdzielny przez lokalny aktyw. Ludzie doprowadzeni do skrajnej sytuacji musieli się nieustannie przepychać, żeby cokolwiek załatwić. Szkołę dla dziecka, malucha dla żony, wczasy dla teściów... Podaż wszelkich dóbr była zbyt mała, popyt na wszystko zbyt duży. Nieco namolnie wyjaśniam obecnej młodzieży dokuczliwą potrzebę przepychania się wśród tłumu podobnych biedaków w celu osiągnięcia luksusowego dobra, np. sokowirówki „szerszeń", kanapy ze Swarzędza typu Ludwik IV.

Minęły lata burzliwych przemian, hurt z detalem, produkcja i dystrybucja, zbyt z odbytem zostały sprywatyzowane, czyli oddane Niemcom. Towarzysze Miller z Kwaśniewskim zapisali nas do Unii Euro. Nastał wolny rynek, w gmachu KC ruszyła giełda, zasłużeni sekretarze przerobili się na wspólników Skarbu Państwa, rosły szybkie fortuny. Skończył się tłok w kolejkach, lecz po jakimś czasie nieoczekiwanie zrobił się tłok na naszych granicach. Najpierw w 2021 r. od strony Białorusi, teraz od strony Niemiec wpychają się do Polski tabuny nieznanych nam nieproszonych gości. Znowu mamy tłok. Znowu „przepocone panie, przepici panowie, przepychają siebie, przepychają sobie", jak śpiewałem w poprzednim ustroju.

Oczywiście tłok tłokowi nierówny, sytuacja kontekstowa jest kompletnie odmienna. Ale smród podobny, efekt psychologiczny ten sam... Tłok z dwóch stron wywołuje stan zagrożenia, brak „luzu". Rodzi się agresja i fruwają brzydkie wyrazy. A przecież po pokojowym obaleniu imperium zła w 1980 r. pod bramą Stoczni Gdańskiej marzyły nam się lata spokojnej pracy nad odbudową Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, legendarnej krainy dostatku, wspólnego dążenia do szlachetnych celów. Dzięki Janowi Pawłowi II i Solidarności uwierzyliśmy, że jest to możliwe.

Niestety, niestety... o polskich możliwościach przekonani są również nasi notoryczni sąsiedzi. A oni, jak wiadomo, nie życzą sobie polskich możliwości rozwojowych! Mniej więcej od 300 lat. W poprzednim wieku musieliśmy stoczyć z nimi dwie wielkie wojny, żeby przetrwać biologicznie. Bardzo lubią się wpychać na nasze ziemie, do naszych wsi i miast w celu uzupełnienia swoich niedoborów. Czynią przy tym szczególny rodzaj zamętu, natłok obłudy.

Mocno się przeliczyliśmy, licząc po 1989 r. na dobrosąsiedzkie relacje z tymi sąsiadami. Za dużo w nich złej woli i kłamstwa. Ogłoszona właśnie repolonizacja gospodarki miałaby sens, gdyby ją zacząć od repolonizacji projektodawcy.

Media na smyczy

Ostatnia sytuacja z debatami prezydenckimi w Końskich to coś więcej niż tylko incydent polityczny. To soczewka, w której skupia się obraz nowej rzeczywistości budowanej przez władzę Donalda Tuska – rzeczywistości, w której system zamyka się jak skorupa: nie tylko klasyczny trójpodział władzy zostaje sprowadzony do dekoracji, lecz także czwarta władza, media, zostaje skutecznie ujarzmiona.

W teorii mamy demokrację, wybory, pluralizm. W praktyce przekaz medialny pod pełną kontrolą rządu, z kartelami medialnymi ciągnącymi jeden wózek, a TVP w likwidacji staje się cieniem samej siebie. Tusk chce wrócić do czasów 2007–2015, które dobrze pamiętamy jako pełny monopol informacyjny. Niby „demokratyczna różnorodność", a tak naprawdę jedna narracja, jeden przekaz, jeden front. To już nie jest debata — to reżyserowany spektakl.

Debata „Trzaskowskiego z TVP" była właśnie taką medialną ustawką. Przerzucanie odpowiedzialności między sztabem a rzekomo niezależną telewizją o to, kto był organizatorem, to żenujący skutek uboczny tego, co się dzieje w Polsce Tuska. Złamano bowiem konstytucyjne zasady równości szans kandydatów. Całość odbyła się z jawnym pogwałceniem przepisów dotyczących finansowania kampanii wyborczych. Władza nie tylko przejęła instytucje, lecz także stworzyła własny ring z własnym sędzią i regułami, by uniknąć realnej konfrontacji.

Na tym tle prawdziwą misję publicznej telewizji przejęły media, które skutecznie walczą o prawo do informacji i przeciwstawiają się hegemonii: Republika, TV Trwam i wPolsce24. To one pokazały, że można zorganizować debatę z zachowaniem elementarnej uczciwości – bez wykluczania, manipulacji, uciekania od konfrontacji. A skoro mowa o uciekaniu: cała Polska widziała, kto naprawdę stchórzył. Trzaskowski nie miał odwagi uczestniczyć w rozmowie na równych zasadach.

Końskie nie były przypadkiem. Były symbolem. Pokazały, że dziś to nie kandydaci mają równy dostęp do debaty, tylko ci, którym pozwoli system. I że domknięcie systemu nie odbywa się w huku i zgiełku, ale za pomocą uśmiechniętych twarzy w telewizorach, które mówią ci, że „przywracają demokrację".

Arkadiusz Mularczyk

01/0425/FZAL

eprasa.pl e8ec1033af

Wielkanoc w Brukseli, czyli zmartwychwstanie rozsądku?

Daniel Obajtek

Dla jednych Wielkanoc to czas zadumy i nadziei. Dla innych ostatnia chwila oddechu przed kolejną porcją decyzji eurokratów serwujących nam „zielone jaja z niespodzianką". Aż się chce zapytać: czy w tym roku ktoś w Komisji Europejskiej odważy się odrodzić jako realista?

Unia Europejska przeżywała właśnie swój własny Wielki Tydzień – pełen cierpienia i upadków. Jednak zamiast refleksji i opamiętania ma kolejne pomysły na „ratowanie planety" kosztem europejskiego przemysłu, portfeli obywateli i zdrowego rozsądku. Ostatnie propozycje Clean Industrial Deal czy rzekomy „plan wsparcia dla motoryzacji" to nie ratunek, tylko plaster na złamany kręgosłup gospodarki.

Motoryzacja? Przesunięcie limitu emisji dla samochodów spalinowych o trzy lata to mniej więcej taka ulga, jak decyzja kata, że wykona swój obowiązek nie jutro, ale za trzy dni. Zakaz sprzedaży aut spalinowych od 2035 r. wciąż wisi nad branżą, fabryki po cichu się zamykają, a związkowcy już szukają schronienia – może pod jakimś panelem słonecznym? Na horyzoncie nie ma ratunku, bo przecież nikt nie słucha przemysłu. Zamiast realnego planu mamy magiczne zaklęcia o „zielonej transformacji z ludzką twarzą". Cóż, Lenin też miał kiedyś taką wersję.

Tymczasem europejskie gospodarki kaszlą, chrząkają i siadają na wózku inwalidzkim, a Bruksela próbuje im wcisnąć nowe buty do biegania. Oczywiście ekologiczne. Może i modne, ale niestety rozmiar zupełnie nie ten. Zamiast planu odbudowy konkurencyjności konferencje, deklaracje, komunikaty prasowe. A wszystko to z niezachwianą wiarą, że jak się tylko mocno uwierzy, fabryki baterii, mikroczipów i zielonej stali powstaną same z siebie.

Jest jednak promień nadziei. Jak Wielkanoc przypomina nam o tym, że nawet po najbardziej mrocznym czasie przychodzi poranek, tak i my możemy mieć nadzieję na odrodzenie... rozsądku. Jednak i tu potrzeba prawdziwego cudu. Bo jak dotąd jedyne, co w Brukseli skutecznie się rozmnaża, to regulacje, zakazy i powołania do nowych agencji. Dobrze chociaż, że jeszcze nie wymyślili Europejskiego Komitetu ds. Prawidłowego Malowania Jajek.

Jednak nie tracę ducha. Bo wiem, że Europa potrzebuje nie kolejnej tablicy informacyjnej o „zielonym wsparciu", tylko prawdziwego restartu – opartego na produkcji, inwestycjach, technologii i wolnym rynku. Oby przyszłe miesiące przyniosły więcej refleksji i mniej unijnej twórczości legislacyjnej.

Fot. Archiwum autora

REKLAMA

SALTUS UBEZPIECZENIA
saltus.pl

Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

SALTUS - Mój DOM
UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ I DOMÓW JEDNORODZINNYCH

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

ubezpiecz to, co się liczy!

TOWARZYSTWO UBEZPIECZONYCH

eprasa.pl e8ec1033af

Oszukani i kamieniem potraktowani

Samuel Pereira

Ukłon premiera Donalda Tuska w stronę odchodzącego kanclerza Niemiec już stał się symbolem. Potwierdził nim słowa Karola Nawrockiego, który w trakcie ostatniej debaty prezydenckiej określił relacje rządu z Niemcami mianem „odwróconego hołdu pruskiego". Obrońcy Tuska zwracali uwagę, że chwilę po jego ukłonie gest podziękowania wykonał również Olaf Scholz. Trudno się dziwić, kanclerz ma za co dziękować. Choćby za zrzeczenie się roszczeń finansowych od Niemiec, co rząd Tuska potraktował priorytetowo, rezygnując z nich już w trakcie pierwszego spotkania szefów naszych państw, a następnie potwierdził przy okazji przyjazdu kanclerza Scholza do Polski w 2024 r.

Ktoś zapyta, skąd oburzenie, skoro Polacy postawili na taką, a nie inną koalicję i to ich głos doprowadził do powrotu Tuska do władzy. To prawda, ale faktem jest również to, że w sprawie odszkodowania finansowego od Niemiec za zbrodnie i zniszczenia II wojny światowej Polacy zostali oszukani. „Jeżeli takie działania zostaną podjęte na arenie międzynarodowej, to oczywiście będziemy je kontynuować. Co więcej, mogę zapewnić, że na pewno bardziej skutecznie, w sposób normalny, aniżeli robi to obecny rząd, bo tam nie ma dyplomacji" – to jasna deklaracja jednego z liderów PO, Borysa Budki, z września 2022 r. Taka była linia rządzącej dziś partii przed wyborami z 2023 r., a po okazało się, że zamiast wzmocnić wysiłki zmierzające do uzyskania zadośćuczynienia od Niemiec, mieliśmy dla zachodniego sąsiada wielki i całkowicie „bezpłatny" prezent. Całkowicie nieuprawniony, a potraktowany co najmniej z politowaniem. Nie zyskaliśmy finansowo, straciliśmy honor, a jak się okazuje – również szacunek.

Stosunek do polskich ofiar niemieckich zbrodni najdobitniej wyraża dziś kamień, który pojawił się naprzeciwko Bundestagu jako... prowizoryczny pomnik dla ofiar niemieckiej okupacji w naszym kraju.

Czas Kamili Urzędowskiej i Hugona Tarresa

Są młodzi, zdolni i właśnie dostali aktorską szansę, która sprawia, że mówi się o nich we wszystkich mediach

Kamila Urzędowska – niezapomniana Jagna z malarskiej, animowanej wersji „Chłopów" w reżyserii DK i Hugh Welchmanów – wcieli się w rolę Izabeli Łęckiej w nowej ekranizacji powieści Bolesława Prusa. Na filmowym (i serialowym, bo powstanie też odcinkowa wersja produkcji) planie „Lalki" spotka się m.in. z Marcinem Dorocińskim jako Wokulskim.

O nowym aktorskim zadaniu mówi: „Z ogromną radością przygotowuję się do roli Izabeli Łęckiej – postaci wyjątkowej, złożonej i bliskiej sercom wielu miłośników polskiej literatury. To dla mnie nie tylko zawodowe wyzwanie, lecz także fascynująca podróż w głąb ludzkich emocji, marzeń i dylematów, które tak pięknie sportretował Bolesław Prus w »Lalce«. Praca nad tą rolą to dla mnie okazja, by oddać hołd klasyce, a jednocześnie tchnąć w Izabelę współczesną wrażliwość, która pozwoli nam wszystkim na nowo spojrzeć na jej historię".

Hugo Tarres od kilkunastu dni jest znany nie tylko fanom młodzieżowego kina. Głośnym echem odbiła się jego rola w pożegnalnym spektaklu Jana Englerta w Teatrze Narodowym. Jak podkreślają wszystkie możliwe media, jako Hamlet 21-letni Tarres jest nie tylko najmłodszym polskim duńskim księciem, lecz także stworzył kreację sceniczną wartą obejrzenia.

W materiale opublikowanym na stronie TN tak mówi o bohaterze: „Nie bez powodu ta sztuka grana jest od czterystu lat... Jest w Hamlecie bardzo dużo cech, które znajdziemy też u współczesnej młodzieży. Hamlet odpowiada sobie na pytania w sposób, który i tej młodzieży jest bliski".

Mimo że Hugo Tarres studiuje jeszcze na warszawskiej Akademii Teatralnej (na trzecim roku), ma już na koncie znaczące występy na scenie, estradzie i ekranie. Jako student pierwszego roku zagrał Merkucja w spektaklu „Romeo i Julia" wyreżyserowanym w Teatrze Muzycznym Capitol we Wrocławiu przez Jana Klatę, następcę Jana Englerta na stanowisku dyrektora TN.

Klata mówił wtedy o Hugonie: „Bardzo rzadko zdarza się ktoś tak młody, a z taką obecnością sceniczną i niezwykłą umiejętnością pracy nad tekstem, bardzo trudnym, Szekspirowskim".

Dziś Tarres tak charakteryzuje Hamleta i siebie: „Sam do końca nie wie, kim jest i nie w pełni zdaje sobie sprawę, w jakiej sytuacji się znajduje, ale mogę powiedzieć, że Hamlet jest bardzo bliski mnie. Wulkanicznie energetyczny, chętny do działania, zainspirowany".

Urodzony w Warszawie w polsko-hiszpańskiej rodzinie Hugo Tarres był znany młodym widzom z głównej roli w dwóch częściach kinowego filmu „Piepr*yć Mickiewicza".

Oprac. ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Weronika Kosińska, GigantFilms, Marta Ankiersztejn

eprasa.pl e8ec1033af

TRENDY I OWĘDY

Pod czyją okupacją?

Komuna stała kłamstwem, bo byliśmy pod okupacją sowiecką i obwiązywała jedynie słuszna wersja wydarzeń. Obecnie też dopuszczana jest jedynie słuszna wersja wydarzeń, więc zasadne staje się pytanie, pod czyją okupacją jesteśmy obecnie. Działanie wolnych mediów jest traktowane jak drugi obieg w PRL. Trudno się pozbyć dojmującego przekonania, że komunistyczne kłamstwo było zwykłą amatorszczyzną. Ordynarnie pilnowała go propaganda wspierana przez pepesze stacjonujących u nas wojsk radzieckich. Okazało się, że nie potrzeba wojsk, a mechanizm uświęcający zakłamanie działa perfekcyjnie.

Ryszard Makowski

Od zarania III RP strzeżono jak oka w głowie, by prawda nie mąciła ludziom w głowach. Co więcej, ktoś wpadł na genialny pomysł, że wystarczy wyodrębnić ze społeczeństwa tych obywateli, którzy uwierzą w każdą bujdę i przekonać ich, że są wiodącą intelektualną siłą narodu. Do tego było niezbędne zawłaszczenie mediów. Pierwszy wysokonakładowy prawicowy tygodnik powstał w 2011 r. (sic!). „UważamRZe" zostało szybko zniszczone nocą przy śmietniku. TVP Jacka Kurskiego odżegnywano od czci i wiary tylko dlatego, że skutecznie stawiała opór zmasowanej manipulacji mediów III RP.

W 2023 r. rząd Donalda Tuska odbijał media publiczne z pomocą „silnych panów". Gdy wyrzuceni z TVP dziennikarze zasilili telewizję Republika i wPolsce24, okazało się, że te stacje, pozbawione dotacji i z ograniczonym dostępem do reklam, odniosły ogromny sukces. Do tego nie można dopuścić i trzeba wyeliminować z rynku te media. Bez odpowiedzi na pytanie, kto za tym stoi, cały czas będziemy udawali, że mamy wolność słowa.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR X 2, ŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA, RYSUNEK MICHAŁ KORSUN, SHUTTERSTOCK/ PIXEL-SHOT, STEFAN BALAZ, MELNIKOV DMITRIY

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl e8ec1033af

Raymond Nader: inżynier, mistyk i świadek cudów św. Szarbela odwiedzi Polskę

Raymond Nader, maronicki chrześcijanin z Libanu, inżynier, fizyk nuklearny, mąż i ojciec czworga dzieci, jest znany jako mistyk i założyciel Rodziny św. Szarbela – wspólnoty szerzącej duchowość tego niezwykłego libańskiego świętego. Nader gościł już w Polsce i odwiedzi nasz kraj ponownie w kwietniu br. Podczas tej wizyty spotka się z mieszkańcami południowego Podlasia – Siedlec, Białej Podlaskiej, Kodnia

Nader urodził się w 1961 r. Ukończył uniwersytet jezuicki w Libanie. Podczas wojny domowej w tym kraju (1975–1990) wstąpił do chrześcijańskiej frakcji wojskowej, służył jako oficer i był dowódcą szkoły oficerskiej. Po zakończeniu wojny powrócił do życia cywilnego, studiował i pracował jako dyrektor generalny szwedzkiej firmy w Bejrucie.

„Przed rozpoczęciem studiów byłem żołnierzem, walczyłem na wojnie. Zdecydowałem o rozpoczęciu studiów, by zrozumieć istotę istnienia świata. Uzyskałem dyplom z inżynierii elektromechanicznej. Po studiach wyjechałem z Libanu do Wielkiej Brytanii, by tam specjalizować się w fizyce jądrowej" – mówi o swoim życiu Nader.

Po powrocie do ojczyzny Nader zgłębiał swoje życie duchowe. W nocy 10 listopada 1994 r. modlił się na zimnie pod gołym niebem przed pustelnią św. Szarbela. Doświadczył wówczas niezwykłego zjawiska – odczuł intensywne ciepło i silny, niewytłumaczalny wiatr, który nie zdołał zgasić zapalonych świec. W tym mistycznym uniesieniu stracił poczucie czasu i przestrzeni. Gdy powrócił do rzeczywistości, na jego ramieniu pojawił się tajemniczy ślad przypominający pięć palców jakby wypalonych na skórze. Znak ten okazał się niewytłumaczalny z medycznego punktu widzenia i powracał przy kolejnych duchowych doświadczeniach Raymonda.

Od tamtej pory Raymond Nader wygłasza orędzia, które, jak podkreśla, są przesłaniami św. Szarbela dla świata. Każdemu z nich towarzyszy pojawienie się tajemniczego znaku na jego ramieniu. Do 2017 r. odbył ponad 40 takich

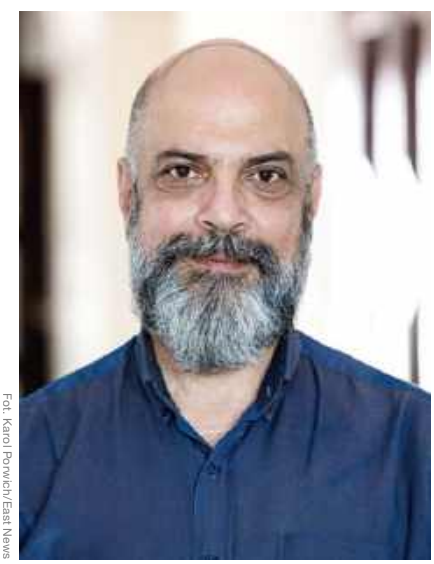

Fot. Karol Porwich/East News

spotkań. Ich treść zawsze była zgodna z nauką Kościoła i pełna pokoju, wezwania do modlitwy, pojednania oraz powrotu do Boga.

„Zimą 1994 r. poszedłem do klasztoru w Annaya położonego na wysokości 1350 m, gdzie św. Szarbel spędził ponad 20 lat na rozmowie z Bogiem. Kiedy modliłem się i czytałem Pismo Święte przy zapalonych świecach, nagle poczułem przez kilka minut bardzo ciepły, porywczy wiatr. Mimo silnego wiatru, nie zgasły one. Nie wiedziałem, co się dzieje dokoła, zrobiło się bardzo gorąco – opowiada historię swoich mistycznych doznań. „Nic nie słyszałem, nie czułem swojego ciała. Czułem, że ktoś był koło mnie, zaczął ze mną rozmawiać. Pytałem, czy śnię, usłyszałem, że nie, że to się dzieje naprawdę! Ta rozmowa odbywała się bez głosu, tylko za pomocą poruszania wargami ust. Gdy pytałem, kim jesteś, poczułem wielki pokój w sobie i miłość. Usłyszałem: »Ja jestem«" – mówił Libańczyk.

W swoich świadectwach Nader podkreśla, że zależy mu przede wszystkim na tym, aby przez postać św. Szarbela ludzie odnaleźli Boga żywego – bliskiego, kochającego i działającego w codzienności. „To nie o mnie chodzi, tylko o Boga i o to, co on chce nam powiedzieć przez św. Szarbela" – podkreśla. Podczas spotkań dzieli się świadectwem, a także modli się wspólnie z uczestnikami, przekazując charyzmatyczną obecność, która od lat towarzyszy jego misji.

wPolsce24

Wyjątkowa rozmowa z Raymondem Naderem już 25 kwietnia na antenie telewizji wPolsce24

Św. Szarbel Makhlouf
(1828–1898)
– libański maronicki mnich i pustelnik. Przez 23 lata żył w odosobnieniu w pustelni w Annaya, czerpiąc siły z modlitwy, postu i milczenia. Po śmierci zasłynął licznymi cudami uzdrowień i nawróceń. Jego ciało przez wiele lat nie ulegało rozkładowi. Kanonizowany w 1977 r. przez papieża Pawła VI. Uznawany za orędownika pokoju, jedności i duchowego uzdrowienia.

Fot. wikipedia

eprasa.pl e8ec1033af

Fot. Dawid K Photography/Shutterstock.com

Fot. DyzIO/Shutterstock.com

Fundacja Stefczyka wspiera XXVII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej w Pelplinie

Przez sztukę do ducha

FUNDACJA STEFCZYKA

Są takie inicjatywy kulturalne, które, choć nie zawsze przebijają się na pierwsze strony gazet, odgrywają ogromną rolę w budowaniu kulturowej tożsamości, promowaniu sztuki najwyższej próby i tworzeniu przestrzeni do duchowego przeżycia. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej w Katedrze w Pelplinie bez wątpienia do takich należy. Fundacja Stefczyka z dumą i zaangażowaniem wspiera to wyjątkowe wydarzenie, które od lat umacnia swoją pozycję jako jedno z najważniejszych w Europie w swojej kategorii

W 2025 r. odbędzie się już XXVII edycja festiwalu, który w sezonie letnim przyciągnie do Pelplina oraz 11 innych miejscowości województwa pomorskiego i kujawsko-pomorskiego (w sumie aż 12 lokalizacji na terenie 4 diecezji) miłośników muzyki organowej i kameralnej z całego świata. W programie jest ponad 20 koncertów z udziałem ok. 35 artystów z Polski, Europy, Ameryki Północnej i Południowej, Azji oraz Oceanii. Równolegle odbędzie się XXVII edycja Mariackich Wieczorów Kameralnych w Koronowie, tworząc wyjątkową muzyczną mozaikę regionu.

Organizatorem festiwalu jest Fundacja Promocji Sztuki im. Gabriela Fauré, która od ponad dwóch dekad nieprzerwanie dba o najwyższy poziom artystyczny wydarzenia. Dzięki swojemu zasięgowi, liczbie uczestników i unikalnej formule koncertów w zabytkowych przestrzeniach sakralnych festiwal stał się zjawiskiem nie tylko artystycznym, lecz także społecznym – fenomenem, który łączy pokolenia, kultury i duchowości.

„W moich oczach i dla moich uszu organy są królem instrumentów”
– Wolfgang Amadeusz Mozart

Jako instytucja, która nieustannie poszukuje wartościowych i ambitnych inicjatyw, Fundacja Stefczyka od lat z przekonaniem wspiera festiwal w Pelplinie.

– To zaangażowanie nie wynika wyłącznie z chęci promocji kultury wysokiej, lecz także z poczucia odpowiedzialności za pielęgnowanie tych wydarzeń, które realnie wpływają na życie lokalnych społeczności, dając im dostęp do muzyki o najwyższej klasie. Wierzymy, że warto wspierać to, co dobre, mądre i piękne – nawet jeśli nie zawsze jest to głośne medialnie – mówi Marzena Grabowicz, dyrektor Fundacji Stefczyka.

Nie można mówić o muzyce organowej, nie wspominając o jej wyjątkowym miejscu w chrześcijańskim dziedzictwie kulturowym Europy. Organy od wieków obecne w świątyniach stanowią nie tylko instrument liturgiczny, lec także symbol głębokiego duchowego doświadczenia zakorzenionego w europejskiej tradycji muzycznej. Dzieła takich mistrzów jak Bach, Buxtehude czy Franck od lat rozbrzmiewają w katedrach i kościołach, kształtując wrażliwość muzyczną kolejnych pokoleń. Festiwale takie jak ten w Pelplinie przyczyniają się do zachowania tego bezcennego dziedzictwa, jednocześnie otwierając je na nowe interpretacje i współczesnych odbiorców.

„Brzmienie organów napełnia umysły niejako niebiańską radością i potężnie podnosi ku wyżynom, do Boga”
– papież Pius XII

Z radością obserwujemy, że dzięki wspólnym wysiłkom i zaangażowaniu wielu osób festiwal w Pelplinie może się rozwijać i inspirować. Fundacja Stefczyka z dumą współtworzy to wydarzenie nie tylko jako mecenas kultury, lecz także jako partner idei, która z pokorą i pasją buduje mosty między przeszłością a teraźniejszością.

Artykuł sponsorowany | 02/0325/F/ZAL

eprasa.pl e8ec1033af

Rafał się rozp

MAREK PYZA

Kandydata nie da się już się wymienić. Gdyby to było możliwe, Donald Tusk zapewne rozważyłby taki ruch. Bo Rafałowi Trzaskowskiemu właśnie sypie się kampania. A to oznacza, że trzeba będzie wyjątkowo pilnować uczciwości samego głosowania

Gdy zamykamy to wydanie „Sieci", jeszcze nie wiadomo, jakie będą sondażowe efekty występu Karola Nawrockiego w Kanale Zero. Ta trzyipółgodzinna rozmowa na każdy z tematów, który się pojawia wokół tego kandydata, z pytaniami od widzów, przeprowadzona na dużym luzie, zdaje się przełomowa. W szerokim odbiorze Nawrocki zdarł z siebie wszystkie łaty, które przypinano mu od miesięcy. Program Stanowskiego pokazał, jak fałszywy wizerunek prezesa IPN budował medialny mainstream.

W ciągu pierwszych 12 godzin od emisji wywiad miał 1,3 mln wyświetleń, a media społecznościowe zalały jego fragmenty, w których Nawrocki jest po prostu kozakiem – w najlepszym tego słowa znaczeniu. Jego słowa: „Jestem jedynym kandydatem, który może pokonać Rafała Trzaskowskiego w drugiej turze" były o lata świetlne dalej w wiarygodności od oryginalnej frazy, robotycznie powtarzanej przez Sławomira Mentzena w czasie ubiegłotygodniowej debaty.

Jaka będzie odpowiedź sztabu Trzaskowskiego? Czy prezydent Warszawy również przyjdzie do Stanowskiego? Czy i tu zdezerteruje?

eprasa.pl e8ec1033af

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

ada

ZAŁAMANIE

Do długiej listy ucieczek Trzaskowskiego trzeba dopisać Oleśnicę. Kandydat miał się tam spotkać z mieszkańcami 17 kwietnia, jednak przełożył spotkanie o osiem dni, gdy w tamtejszym szpitalu pojawił się Grzegorz Braun interweniujący w sprawie skandalicznego zabicia dziewięciomiesięcznego dziecka w łonie matki. Sztab Trzaskowskiego miał się obawiać, że ta sprawa zdominuje spotkanie, z czym kandydat sobie nie poradzi.

Zamiast tego ekipa warszawskiego samorządowca chwali się wywiadem, którego udzielił stacji Fox News. Ale pomija przy tym, że Trzaskowski znów zaprzeczył samemu sobie, wyrażając zrozumienie dla ceł nałożonych przez Trumpa. Przypomnijmy, że na wiecach w Polsce je krytykuje. Zdarzyła mu się też kolejna wpadka, gdy mówił o konieczności wzmocnienia „NATO oraz Sojuszu Północnoatlantyckiego". Ale raczej nie przebije się ona do masowej wyobraźni tak jak jazda „telekomunikacją miejską", którą zaskoczył na organizowanej przez siebie debacie.

W każdym razie występ w konserwatywnej amerykańskiej telewizji nie przyniesie Trzaskowskiemu odbicia. Wydaje się, że on sam już wie, iż scenariusz topniejącego do końca poparcia i drugiej prezydenckiej porażki jest coraz bardziej realny.

Czy to dlatego puszczają mu nerwy? Czy to stąd wrzaski na wiecach, dziwne, nadmiernie emocjonalne wypowiedzi, chwile bełkotu (zdaje się, że w konwencji, kabaretowej, lecz nie zabrzmiało to dobrze) na scenie? To tylko parę elementów pokazujących jakieś tąpnięcie emocjonalne Rafała Trzaskowskiego, skorelowane z tąpnięciem w sondażach.

Nic dziwnego, że pojawiają się pytania o stan zdrowia Trzaskowskiego. A niekiedy nawet sugestie, że takie zachowania mogą być wywoływane środkami psychoaktywnymi. Niektórzy na poważnie postulują badanie kandydatów testami narkotykowymi.

Kiedyś pojawiały się już podobne domysły. W 2018 r. Michał Dzięba, były działacz PO i współpracownik Trzaskowskiego, opowiadał o ich wspólnym zażywaniu narkotyków. Sprawa trafiła do sądu i zakończyła się ugodą, w wyniku której Dzięba przepraszał.

To ślepa uliczka. Z tego typu oskarżeń niewiele wynika, a formę kandydata każdy łatwo może ocenić samodzielnie. Kandydat Tuska jest daleko od wizerunku miłego, spokojnego, budzącego zaufanie gościa. W ostatnich tygodniach sprawia wrażenie steranego, obrażonego narcyza, sfrustrowanego tym, że w tym wyścigu ma jakichś przeciwników, że ktokolwiek śmie zadawać mu jakieś niewygodne pytania.

Kandydat Tuska jest daleko od wizerunku miłego, spokojnego, budzącego zaufanie gościa. W ostatnich tygodniach sprawia wrażenie steranego, obrażonego narcyza, sfrustrowanego tym, że w tym wyścigu ma jakichś przeciwników, że ktokolwiek śmie zadawać mu jakieś niewygodne pytania

UCIEKINIER

Nałóżmy na to fakt, że gdy w Końskich pozostali kandydaci spierali się ze sobą na rynku w bezprecedensowym kampanijnym spektaklu transmitowanym w telewizjach wPolsce24, Republika oraz Trwam, by po chwili przeciskać się przez ochronę Trzaskowskiego w hali i dołączyć do programu dosłownie w ostatniej chwili, kandydat Platformy w ciszy i spokoju przygotowywał się do telewizyjnego starcia zamknięty w pokoju z psychologiem. Nie ze sztabowcami, PR-owcami, politycznymi sekundantami przypominającymi o ważnych kwestiach merytorycznych, lecz z psychologiem!

Nagła zmiana zaplanowanego wcześniej scenariusza, precyzyjnie wyreżyserowanej pułapki zastawionej na Karola Nawrockiego, rozbiła Trzaskowskiego do tego stopnia, że potrzebował pomocy psychologa. Nie doda mu to siły do wizerunku.

Podobnie jak to, co się stało chwilę później, czyli fatalny występ w dyskusji z konkurentami – strapiona, zmęczona twarz, zniecierpliwienie, niewytrzymanie ostrzału rywali, no i kapitulacja wobec wistu Nawrockiego, a później Magdaleny Biejat z tęczową flagą.

eprasa.pl e8ec1033af

Trzy dni później Trzaskowski stchórzył i nie przyszedł na debatę w Republice, pokazywaną również przez telewizję wPolsce24. Wykorzystał to Marek Jakubiak, zastępując nieobecnego jego kartonową figurą. Wtedy błąd zaczął zamieniać się w koszmar i kolejne memy.

Gdy nazajutrz reporterka wPolsce24 po jednym z wieców Trzaskowskiego próbowała go pytać o tę nieobecność, towarzyszący mu w tym kampanijnym biegu katorżnika młody poseł zaczął wrzeszczeć do mikrofonu: „Polska cała na Rafała", by Rafał, udając że nie widzi dziennikarki, czmychnął do samochodu.

Nie sposób zrozumieć, dlaczego Trzaskowski tak konsekwentnie utrwala swój obraz tchórza niezdolnego do stawienia czoła innym warunkom niż wymarzone. Tak widzą go już chyba wszyscy spoza bańki własnego elektoratu. A to oznacza wielkie kłopoty 18 maja i 1 czerwca.

ZAPLECZE TEŻ WYMIĘKA

Zaglądające Trzaskowskiemu w oczy widmo porażki nie jest tylko publicystyczną tezą, ale wynika z najnowszych badań. Uchodząca za najskuteczniej przewidującą wyniki wyborów Ogólnopolska Grupa Badawcza podała, że notowania kandydata KO spadły o ponad 3 punkty procentowe, a jego przewaga nad Nawrockim wynosi już tylko 6 pp. (35,5 do 29,5). Trzeci w stawce Sławomir Mentzen jest daleko w tyle z 20-proc. poparciem.

Ale jeszcze gorsza dla Trzaskowskiego jest prognoza OGB dotycząca drugiej tury. Wynika z niej, że czeka nas remis. Na razie z delikatnym wskazaniem na prezydenta stolicy, ale różnica (1,4 pp.) jest na poziomie błędu statystycznego.

Dodatkowo w badaniach ujawniają się wyraźne przepływy sympatii wyborców Mentzena przed drugą turą. O ile w styczniu spośród deklarujących poparcie dla kandydata Konfederacji 28 proc. chciało w dogrywce poprzeć wiceprzewodniczącego Platformy, w kwietniu jest ich już o połowę mniej. Teraz te 14 proc. chce 1 czerwca poprzeć prezesa IPN.

> Nie sposób zrozumieć, dlaczego Trzaskowski tak konsekwentnie utrwala swój obraz tchórza niezdolnego do stawienia czoła innym warunkom niż wymarzone. Tak widzą go już chyba wszyscy spoza bańki własnego elektoratu. A to oznacza wielkie kłopoty 18 maja i 1 czerwca

Z tych badań i negatywnych tendencji ujawniających się w kampanii Trzaskowskiego płynie jeszcze jeden wniosek. Skoro w II turze rozstrzygnąć mogą głosy ledwie 250 tys. wyborców (a tak prognozuje PGB), to tym ważniejsza 18 maja będzie rola Ruchu Ochrony Wyborów i patrzenie na wszystkie ręce w każdej komisji. System nie odpuści tak łatwo. Bo choć niedoskonały, pełen niedojdów pracujących na rzecz słabego kandydata, to jest bezwzględny.

A widać, że w Trzaskowskiego przestaje już wierzyć nawet jego zaplecze. Jak większość Polaków uważa, że nieobecność na debatach była błędem (sondaż SW Research dla Onetu), tak nie gryzą się w język nawet politycy PO. To samo powtarza przecież Radosław Sikorski, któremu chyba już się nie chce wspierać w tej kampanii Trzaskowskiego, co tak głośno zapowiadał.

Nie pomagają też tuby propagandowe. Kędzierzawa gwiazda publicystyki u nielegałów z Woronicza ogłasza, że Trzaskowski „reprezentuje klasę inteligencką, nie pasuje do Polaków", a jego rywali nazywa „planktonem" i kandydatami „trzeciej kategorii". Czyżby wobec nadchodzącej klęski puszczały hamulce i jad pogardy mimowolnie znajdował ujście?

Jest jeszcze książka. Można powiedzieć, że to autobiografia. Zaplanowana jako as w rękawie na ostatni miesiąc kampanii. Gdy zacząłem poznawać jej treść, szybko zrozumiałem, dlaczego wydawnictwo Znak przesłało mi egzemplarz recenzencki jak najpóźniej, wbrew standardom już po premierze. To lektura komediowa, której niemal każda strona może być powodem do drwin z jej bohatera, a zachwycać się nią mogą tylko tak mocno zadurzeni w Rafale jak wspomniana pani redaktor z likwidowanej telewizji (okazjonalnie konferansjerka na campusach Trzaskowskiego).

Wszystko, co najciekawsze o tym legendarnym już dziele, opisał dla państwa na kolejnych stronach Stanisław Janecki. Gorąco polecam!

eprasa.pl e8ec1033af

Ostatni prawdziwy człowiek

Wywiad rzeka z Rafałem Trzaskowskim to najbardziej narcystyczna autobiografia w III RP

STANISŁAW JANECKI

Wywiad rzeka „Rafał", czyli rozmowa Donaty Subbotko z Rafałem Trzaskowskim, przedstawia ostatniego prawdziwego człowieka na świecie. Wydanie takiej książki (prawie 500 stron) w najważniejszym momencie kampanii wyborczej jest albo działaniem szaleńca, który chce kompletnie pogrzebać swoje szanse wyborcze, albo mamy proroka, który dla dobra Polski, Europy i świata zejdzie z Olimpu i zgodzi się zostać prezydentem RP.

Jak napisałby Mickiewicz, Rafał Trzaskowski „dzieckiem w kołysce łeb urwał hydrze". Był doskonałym bobasem, przedszkolakiem, uczniem, studentem, synem, jest idealnym kolegą, wykładowcą, mężem, ojcem, zięciem, prezydentem stolicy, ogólnie politykiem. Wszędzie odnosi same sukcesy, gdyż jest wybitny i pozwala innym, żeby dostrzegli tę wybitność. A odnosi sukcesy dlatego, że haruje jak Łysek z pokładu Idy.

Rafał jest osobą pozytywną+, co niektórych nastawia do niego negatywnie, ale nawet Jezus tak miał. Gdyby został prezydentem w 2020 r., Polska byłaby potęgą polityczną, gospodarczą, wojskową, technologiczną, naukową, kulturalną, sportową. A Polaków rozsadzałoby poczucie szczęścia i dumy.

Rafał już wszystko przeżył, a w jego życiorysie splatają się wątki setek biografii innych wielkich postaci. Np. uczniowie z Holandii nauczyli go skręcać papierosy z tytoniu Drum – „skręcić takiego szluga to dopiero był szpan, a łeb tak nie bolał". Rafał mieszkał „na trudnym podwórku i bycie hop do

Fot. FotoDax/Shutterstock.com x4

przodu oraz opowiadanie historii często ratowało z opresji". I ratował go „przyjaciel z ławki, zawsze chętny do bitki Michał Żebrowski, ksywa »Żeber«". Wprawdzie on i znajomi „przebierali się za krasnoludki, polewali walerianą pomnik Dzierżyńskiego", ale nie był prowodyrem, bo był nim „kolega Marcin Meller". Może dlatego, że Rafał przede wszystkim jest intelektualistą, z którym „ojciec rzadko rozmawiał o muzyce, a głównie o historii i literaturze". Ale jeśli już o muzyce, to o „wyższości Strawińskiego nad Rachmaninowem". [Mama] „kochała Norwida, Baczyńskiego, Leśmiana". A potem zlustrowali ją źli ludzie. Ale Rafał poszedł do IPN, żeby „sprawdzić te wszystkie doniesienia o mamie". I z materiałów wynikało, że „komunistyczni funkcjonariusze – ale nie SB, tylko kontrwywiadu – wyciągali od niej tylko ogólne informacje podczas luźnych rozmów. Nigdzie nie ma też śladu, żeby mama kiedykolwiek wzięła jakiekolwiek pieniądze od służb PRL".

REKINY I WĘGORZE DUSICIELE

Rafał garściami czerpał z doświadczeń ciotki, której kolegą był Jan Rodowicz „Anoda". „Nawet po wojnie wyciągnął ją raz na akcję. Myślała, że chodzi o sabotaż, a okazało się, że mają zabić generała Iwana Sierowa" (wyjątkowego sowieckiego bandytę). Mieli rzucić w niego granatem, ale „Sierow był z obstawą i do zamachu w końcu nie doszło".

Ojciec opowiadał Rafałowi o „postaciach nieoczywistych, straceńczych – Traugutcie, Okulickim czy o Kazimierzu Jagiellończyku". Rafał „na drugie ma Kazimierz właśnie dlatego, że ojciec uważał go za najlepszego króla Polski". Jakby tego było mało, „babcia ze strony mamy, Florentyna Arens, była wielbicielką Piłsudskiego, więc i ja zostałem wychowany w kulcie Marszałka". A przez wujka i ciotkę w kulcie „Armii Krajowej, tradycji Kedywu, postaci takich jak August Emil Fieldorf".

Prapradziadek Rafała Trzaskowskiego „na przełomie XVIII i XIX w. był oficerem trzeciego pułku wojsk napoleońskich. Walczył w nich od czasu Księstwa Warszawskiego do marszu na Moskwę i później na Lipsk". Jego syn Antoni walczył i zginął w powstaniu styczniowym. Syn Bronisław „skończył uniwersytet we Lwowie i został jezuitą, potem jednak zrzucił habit i został dyrektorem gimnazjum, tworzył też pierwsze szkoły żeńskie w Galicji". Stryjeczny brat pradziadka Bronisława Karol „dowodził belwederczykami w 1830 roku". I „to podobno on był odpowiedzialny za to, że książę Konstanty uciekł w damskich fatałaszkach".

Rafał to nie pięknoduch, tylko twardy zawodnik. Jeździ na nartach „prawie wyczynowo, a jeśli pływa, to kilometry". Nauczył się windsurfingu, a jak widzi „dużą kałużę, to musi do niej wejść". Zrobił patent nurka i gdy nurkował na Jukatanie, zobaczył „dwadzieścia rekinów wokół siebie, niektóre pływały pół metra obok, ocierały się", ale nie pękł. Przecież „rekiny dwu- czy trzymetrowe nie atakują ludzi, chyba że się pomylą". A kiedyś, jak zszedł „na 30 metrów przy wraku koło chorwackiej wyspy Vis, okręcił mu się koło szyi konger, rodzaj węgorza morskiego". Lecz go „odwinął, ale że był gruby jak ramię, toteż najadł się strachu".

W domu „musiał sprzątać, wyrzucać śmieci, zajmować się psem i czasem wytrzepać dywany". Nieraz stawał „w kolejce po szynkę, kiełbasę, a przed świętami po rodzynki czy pomarańcze". Rodzynki lubił, „więc jako dzieciak nawet zmieniał ubranie, żeby mógł parę razy stawać w jednej kolejce, bo były limity". Rafał ma „dryg do gotowania", choć „do dziś kocha mielonkę z galaretką" z puszki. Na jego podwórku „raz czy dwa dostał łomot, dlatego chodził na podwórko obok, gdzie miał rówieśników, i tam grał w piłę", a także w podchody czy kapsle. A wieczorami w domu czytał książki i „Świat Młodych".

W 1980 r. zagrał w serialu „Nasze podwórko": „Nakręcono tylko pięć odcinków, ale zdjęcia trwały kilka miesięcy". Tuż po tym serialu „wpadł w oko twórcom filmu »Akademia pana Kleksa« i miał tam zagrać główną rolę [Adasia Niezgódkę], ale już nie chciał, rodzice też byli przeciwko". W tym samym czasie miał też przygodę z serialem „Królowa Bona" – miał zagrać małego Zygmunta Augusta, ale „grająca Bonę Aleksandra Śląska powiedziała: »Nie, Rafał jest za gruby do tej roli«". Straszna insynuacja.

Po egzaminach do liceum Rafał poleciał do Australii – do „kumpla Łukasza Bromskiego". A kiedy pracował w biurze Solidarności w Warszawie, „tłumaczył m.in. republikanina Johna Fielda Reichardta". On mu „zorganizował rok nauki w jednym z najlepszych amerykańskich liceów, w Cranbrook-Kingswood High School w Bloomfield Hills", a także „miesiąc stażu w Kongresie USA. Dwa tygodnie pracowałem u republikanina Jima Leacha i dwa tygodnie u demokraty Johna Dingella, najbardziej wpływowego kongresmena w historii Stanów". Syn Johna Dingella Christopher „miał fioła na punkcie broni i zabierał mnie na strzelnicę. Strzelałem wtedy ze wszystkiego, nawet z magnum, urywa rękę".

INTELEKTUALISTA I PRZYJACIEL WSZYSTKICH

Żywiołem Rafała jest bycie intelektualistą, bo sport to za mało. Pasjonuje go historia Bizancjum, filozofia Spinozy, bo „bez niego być może nie byłoby Einsteina ani takiego kierunku rozwoju późniejszej nauki". Wiele mu dała książka „The Swerve", czyli „Zwrot", o rzymskim poecie i filozofie Lukrecjuszu, którego tekst „De rerum natura" łowca manuskryptów „Poggio Bracciolini odnalazł dopiero w XV wieku w klasztorze w Fuldzie, co przyczyniło się do narodzin renesansu włoskiego". Rafał lubi „herezjarchów wszelkiego rodzaju, bo jeśli ktoś jest w stanie przeciwstawić się dominującej myśli, to znaczy, że jest po prostu odważny". A odwagę ceni ponad wszystko.

Dużo czyta o historii Kościoła, gdyż „my, katolicy, mało rozmawiamy o tym, jak Kościół od III do VI wieku niszczył całą spuściznę antyczną i że ona by nie przetrwała, gdyby nie Arabowie". Niezupełnie, bo np. w klasztorach irlandzkich pieczołowicie dbano o tę spuściznę. Rafał ceni filozofa Jeana Baudrillarda, który „dostrzegał, że będziemy żyć w jednej wielkiej symulacji". Pokochał też Sándora Máraia, więc „od razu poszedł jego tropem i sprawdzał, co

eprasa.pl e8ec1033af

napisali jego ulubieni modernistyczni pisarze węgierscy: Dezső Kosztolányi, Gyula Krúdy czy genialny i lekko przerażający morfinista Géza Csáth". No i pokochał Emila Ciorana.

Poza tym zawsze „sprawdza autorów, którzy dostają Nobla, Pulitzera, Bookera". Przeczytał kilka nagrodzonych książek, w tym ostatniego Bookera – „»Kairos« Jenny Erpenbeck o miłości i rozczarowaniu w rozpadającym się NRD". Albo „Dżentelmena w Moskwie" Amora Towlesa. W Platformie czytają właściwie wszyscy, bo np. „Donald Tusk czyta mnóstwo", a „jak się z Tuskiem rozmawia, to czuje się, że zawsze analizuje, ocenia formę rozmówcy. Ma szybki umysł i ciętą ripostę. Erudyta". I Grzegorz Schetyna „jest bardzo oczytany, zwłaszcza jeżeli chodzi o historię, a już Bliski Wschód i II wojnę światową ma w małym palcu". No i „Sławek Nitras czyta nałogowo" (jest więc jasne, o jaki nałóg chodzi). Wszyscy oni nie robią nic innego, tylko czytają. Na pracę nie mają czasu. W swoim gabinecie w ratuszu Rafał ma wiele książek – od Whitmana przez Faulknera po Pynchona i DeLillo. No i Tołstoja, bo „nie ma lepszych dzieł w kanonie literackim niż »Wojna i pokój« i »Anna Karenina«". Z polskich twórców Rafał ukochał Leśmiana i Białoszewskiego, „uwielbia także Tokarczuk, Żulczyka i genialnego Twardocha, który pisze książki, jakie sam zawsze chciał pisać". No i „po latach zostali [z nim] głównie stoicy: Seneka, Marek Aureliusz, ale również Epikur". Do tego dochodzi „fascynacja renesansem, złotym wiekiem Niderlandów, literaturą modernistyczną czy surrealizmem". I na zawsze „Picasso, Sargent, Velázquez, Bronzino". A nad wszystkim unosi się duch ulubionej pieśni Rafała – „Boże, coś Polskę". Nic dziwnego, wszak Rafał jest ochrzczony, „na komunię dostał krzyżyk", u bierzmowania był przed ślubem kościelnym, a „ojciec wymagał, żeby chodził w niedzielę na mszę". Gdy w 2013 r. został ministrem, kończył przysięgę słowami: „Tak mi dopomóż Bóg". W 2015 r. nie było mu to już potrzebne.

Rafał zna wszystkich. Pamięta „Krzyśka Kowalewskiego, Ewę Wiśniewską, Stanisława Brejdyganta, żonę Bogumiła Kobieli – Małgosię, Krysię Cierniak z Januszem Morgensternem, Kalinkę Jędrusik, Janusza Głowackiego... Daniel Olbrychski wpadał i zawsze lubił zagadać do dzieciaków", a Urszula Dudziak przygarnęła go w Nowym Jorku i urządziła prywatny koncert. Siedział na kolanach Władysława Kowalskiego i prowadził auto. Tomasz Lengren opowiadał mu o wampirach, a Marek Piwowski testował swoje niezrealizowane scenariusze. Rodzice znali jeszcze więcej wybitnych osobistości, np. Leopolda Tyrmanda, Marka Hłaskę, Romana Polańskiego, Bogusława Schaeffera i oczywiście Krzysztofa Komedę. U Trzaskowskich bywali „wszyscy jazzmani europejscy, którzy przyjeżdżali do Polski na koncerty czy na festiwal Jazz Jamboree, np. Duńczyk Palle Mikkelborg [trębacz] albo pianista Markus Stockhausen, syn słynnego kompozytora Karlheinza Stockhausena". Była „Basia Kwiatkowska z mężem Karlheinzem Böhmem, synem słynnego austriackiego dyrygenta Karla Böhma". W Piwnicy pod Baranami Rafał też znał wszystkich, „od pana wpuszczającego publiczność przez genialnego oświetleniowca Franka po artystów. [...] Miałem szesnaście lat, a Skrzynecki potrafił zaprosić mnie na wódkę albo rozmawiać ze mną na serio o Polsce".

> Jak napisałby Mickiewicz, Rafał Trzaskowski „dzieckiem w kołysce łeb urwał hydrze". Był doskonałym bobasem, przedszkolakiem, uczniem, studentem, synem, jest idealnym kolegą, wykładowcą, mężem, ojcem, zięciem, prezydentem stolicy, ogólnie politykiem. Wszędzie odnosi same sukcesy

JAK JERZY KILER

Gdy Rafał nasyci się intelektualnie, może popluć na obecną opozycję. A wtedy „Kaczyński to człowiek zupełnie niedzisiejszy, niemający pojęcia, jak nasz kraj się zmienił przez ostatnie 30 czy 40 lat, w dodatku zapewne bardzo nieszczęśliwy, pełen urazów". Andrzej Duda „robi złe rzeczy nie dlatego, że jest złym człowiekiem, ale przez słabość charakteru". Prezydent, który wygrał z Rafałem, „nie ma pomysłów, nie ma predyspozycji, mało kto z nim się liczy, nie ma doświadczenia, nie ma charyzmy, nie ma autorytetu ani w naszym regionie, ani w swoim środowisku, a co dopiero mówić o innych przywódcach na świecie". Mateusz Morawiecki to zaś „człowiek wyzuty z jakichkolwiek emocji, robot – nastawiony na władzę, karmiący się jakimś anachronicznym, niestrawnym endeckim mitem". Gdy w 2020 r. Trzaskowski przegrał, „pan prezydent zaprosił go z żoną do Pałacu, ale Gośka powiedziała: »Po moim trupie«. No to poszedłem sam". Ależ ta Gośka jest zasadnicza, gdy Rafał się waha. Ma też „zmysł techniczny", więc „jak trzeba skręcić szafkę albo naprawić coś w samochodzie, ona popatrzy i od razu wie, że to tak, tamto siak".

Rafał jest wspaniały w tym, że chodzi na targ na Dołku na Ursynowie, gdzie kupuje „pomidory, paprykę, sałatę, szczypior, owoce, jabłka – tylko twarde [jak Jerzy Kiler], na przykład ligole, ziemniaki też twarde– typu A, dynie – najchętniej hokkaido i dynię piżmową. No i grzyby, bo uwielbia". Chodzi do Kiszeczki i jak jest „dobra polędwica, to kupuje, czy rostbef, a jak jest ładny kawałek pierwszej krzyżowej, to bierze krzyżową". Lubi też skoczyć do Hali Mirowskiej.

„Nieskromnie" Rafał powiedział o sobie, że „dokonał prawie wszystkiego, co sobie przed laty założył". Poza prezydenturą Polski, ale tak wybitnemu człowiekowi ona się po prostu należy. Jak twardy szczypior.

eprasa.pl e8ec1033af

To najciekawsza kampania po 1989 r.

O tej kampanii wyborczej kolejne pokolenia będą czytać w podręcznikach marketingu politycznego. Jest ona ostatecznym końcem starych mediów w Polsce. Media budowane bez społeczności i wzajemnej interakcji z plemieniem marketingowym, które istnieje wokół nich, nie mają przyszłości

Z Miłoszem Lodowskim, publicystą, komentatorem, autorem kanału na YouTube „Lodowski: Chłodnym okiem", rozmawia Dorota Łosiewicz

Z sondażu przeprowadzonego po dwóch pierwszych debatach kandydatów na prezydenta RP wynika, że poparcie dla Rafała Trzaskowskiego i Sławomira Mentzena spadło, a wzrosło dla Karola Nawrockiego, Szymona Hołowni i Magdaleny Biejat. Spore przetasowania.

Miłosz Lodowski: Nie podejmuję się komentowania polskich sondaży, bo one wyglądają, jakby pracownie, które je robią, miały dostęp do sił nadprzyrodzonych lub czytały ze zwierzęcych jelit.

W takim razie skomentujmy brak Rafała Trzaskowskiego w dwóch debatach: jednej w Końskich, drugiej w Warszawie. Czy to wpłynie na wynik wyborczy?

Wpłynie i nieobecność na dwóch debatach, i występ jednej. Tu już nie trzeba wróżyć, wystarczy znajomość mechanizmu psychologii reklamy i marketingu. Spójrzmy na różnicę między debatami piątkowymi a poniedziałkową. Ta organizowana przez TVP, czy raczej sztab Rafała Trzaskowskiego (mamy tu tyle nagromadzonych nieprawidłowości wynikających z kodeksu wyborczego, że to materia dla głębokich analiz prawnych), pokazała, jak będzie wyglądało państwo zarządzane przez domknięty system PO z głową państwa w postaci Rafała Trzaskowskiego na czele. A poniedziałkowa, bez udziału PO i skrajnej lewicy – co się dzieje, gdy ich nie ma. Wtedy się okazuje, że można rozmawiać merytorycznie, zachować poziom kultury, znika nienawiść. Po gigantycznym blamażu Trzaskowskiego w piątkowej debacie sztab powinien wyciszyć swojego kandydata, wysłać go na parę dni urlopu, by wypoczął i nabrał dystansu. Kandydat KO jest potwornie zmęczony: fizycznie, psychicznie i motorycznie. Tymczasem został wysłany na bardzo ciężkie wiece, na których było widać, że jego system nerwowy i odpornościowy trzeszczy. Krzyczał, podskakiwał, zachowywał się, jakby stracił kontrolę nad sobą i emocjami. A w poniedziałek na wiecu odsunął od siebie małżonkę, kazał jej stanąć wśród publiczności, potraktował ją jak mebel. To nie był pierwszy raz. Wszystko przy grupie pań z transparentami: „Kobiety za Trzaskowskim". To wyglądało strasznie. Widać, że ten człowiek jest emocjonalnym wrakiem. Nieobecność na poniedziałkowej debacie to utrwalenie trendu. Jedyną szansą na narracyjne przerwanie piątkowej porażki i tego, co nastąpiło w weekend, byłoby stanięcie na nieprzyjaznym gruncie do debaty i próba, przy pomocy przychylnych mediów, ukazania Trzaskowskiego jako męczennika niesprzyjających mediów. To dałoby szansę na narracyjne złapanie oddechu, a nawet zmanipulowania opinii publicznej obrazem pokrzywdzonego kandydata KO. W ten sposób udałoby się przykryć ten dramatyczny ciąg wydarzeń z piątku i dni kolejnych. Tymczasem ciąg blamaży pozostawiono bez odpowiedzi. W ten sposób utrzymano trend katastrofy. Piątkowa debata cały czas będzie erodowała wizerunek Trzaskowskiego, spychając go w śmieszność. Tego się nie da zatrzymać.

Tym bardziej że ośmieszenie spowodowała także debata poniedziałkowa. Internet zalały memy z rekinami, węgorzami itd. Wszystko za sprawą Krzysztofa Stanowskiego, który odczytał fragment książki pt. „Rafał".

No niestety. Tu dochodzi kolejny element. Debata bez fizycznego udziału Trzaskowskiego odbyła się z jego obecnością w formie memu. Był obecny metafizycznie. W jego stronę można było delegować emocje, kierować pytania, pokazać, jak władza traktuje współobywateli oraz współuczestników procesów politycznych. Przecież wszyscy kandydaci zostali zarejestrowani w prawidłowy sposób. Ujawnił się więc brak szacunku

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e8ec1033af

dla demokratycznych mechanizmów państwa, demokratycznych procedur, wolnych mediów. Na wynik wyborczy rzutować będzie także nieobecność Magdaleny Biejat w poniedziałek. To wygląda tak, jakby doszło do interwencji sztabu Trzaskowskiego. Osoba, która w piątek ostentacyjnie odebrała Rafałowi Trzaskowskiemu władzę symboliczną, już nie pojawiła się w poniedziałek. Bo jakie inne okoliczności zaistniały między debatą piątkową, tą na rynku, a poniedziałkową? Żadne. Organizator był ten sam. A Biejat nagle odmówiła stanięcia w szranki. Bez powodu. A przecież ta pierwsza debata na rynku, zorganizowana przez TV Republika, wPolsce24 i Trwam, była bardzo spokojna, merytoryczna, profesjonalna. Zdynamizowała ją runda wzajemnych pytań, która jednocześnie odkryła wiele prawd o kandydatach. Pretendenci sami odkryli swój stan przygotowania, czy też stan nieprzygotowania ci, których nie było.

Mówił pan o kiepskiej formie psychofizycznej kandydata KO, a przecież przygotowywał się ze znaną psycholog.

Z pustego to i Salomon nie naleje. Stan energetyczny Rafała Trzaskowskiego jest fatalny. Jego wyczerpanie postępuje. Tam jest problem z ruchem, z miednicą. Kandydat KO wygląda, jakby bardzo źle czuł się w tej roli i nie był fizycznie przygotowany do tak intensywnego wysiłku. Kampania to praca 21–22 godziny na dobę. Jest bardzo mało czasu na regenerację. Wytrzymanie takiego tempa wymaga kondycji olimpijskiej. Potrzebne jest profesjonalne przygotowanie. Trzaskowski nie odrobił lekcji. Przypomnę tylko, że w poprzednim wyścigu prezydenckim wskoczył na finiszu, zastępując Małgorzatę Kidawę-Błońską. Był świeży w stosunku do reszty kandydatów. W tej kampanii jest starszy o pięć lat. Ewidentnie się nie przygotował. Jego naturalne reakcje, które wychodzą w stanie wysokiego zmęczenia, pokazują, że on nie radzi sobie psychicznie w sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie tak miało być, nie na to był przygotowany. Jak na dłoni widać psychologię dziecka, które nigdy w życiu nie

musiało podjąć żadnej ciężkiej sprawy, nie dostało od życia klapsa, wszystko miało podane na złotej tacy i nie potrafi samodzielnie przepracować trudnych sytuacji. Do tego jego wizerunek jest płaski, pozbawiony człowieczeństwa, wszystko jest do bólu wypolerowane, aż śmieszne. I to eksploduje w takich sytuacjach jak ta, w której Stanowski czytał fragment książki „Rafał". To jest fatalny tekst apologetyczny. Nikt tego dobrze nie zredagował i nie wyłapał, że opowieści o rekinach i węgorzach oraz wiele innych w tej książce są po prostu śmieszne. Ktoś, kto to redagował, nie zna mechanizmów generowania memów czy rozprowadzenia się informacji. I tak wyszedł pyszałek przeglądający się w lustrze i karykatura gotowa. Mamy Pimpusia Sadełko, który nie jest przygotowany do walki. W zachowaniu, reakcjach, traktowaniu małżonki (co znamy nie tylko z wiecu, lecz także ze spotów) wychodzą problemy z męskością. Do tego dochodzi fatalna emisja głosu, który często staje się nieznośnie skrzeczący, i styl mówienia nieprzystający do inteligenckiego domu. Pupilek elit mówi bardzo niestarannie, ma problem z konstruowaniem zdań. Dużo lepiej wypowiada się chłopak, który teoretycznie wyszedł z nizin społecznych, czyli Karol Nawrocki. Rafał Trzaskowski bardzo źle wypada na tle Szymona Hołowni, który przez doświadczenie telewizyjne ma po mistrzowsku wytrenowany aparat mowy.

Skoro nawiązał pan do marszałka Hołowni, pomówmy o nim. Na plus należy mu zapisać obecność na wszystkich debatach, ale jednocześnie druga osoba w państwie odcina się od rządu i koalicji, w której jest od półtora roku.

To sprytny zabieg, którego nie można lekceważyć. Jest podobny do tego, który przeprowadzono przed wyborami parlamentarnymi 2023 r. Na finiszowym etapie kampanii doszło do operacji odbudowania poszczególnych członów dzisiejszej koalicji, tak by stworzyć ofertę programową dla każdej z grup docelowych. A tak naprawdę było to jedno ramię, koalicja, która powstała wcześniej niż oficjalne ukonstytuowanie się rządu. Teraz następuje wycofanie na pozycje przeciwne, by zmaksymalizować efekt służący negocjacjom i targom, a także by zaburzyć proporcję przed drugą turą, żeby trudniej było wyjaśnić przepływy pomiędzy poszczególnymi grupami i zablokować jak największą grupę głosujących w konkretnych siatkach pojęciowych, by potem odpowiednimi narracjami, zachętami czy narzędziami nacisku skierować wyborców we właściwą stronę, czyli w kierunku utrzymania władzy przez obóz rządzący. Proszę zauważyć, że od obozu władzy odcina się nie tylko Szymon Hołownia. Robi to także Magdalena Biejat, która jest wicemarszałkiem Senatu, oraz Rafał Trzaskowski. Wszyscy się wstydzą za Donalda Tuska, a on stanowi bufor ochronny dla kandydatów koalicji i niczym odgromnik bierze na siebie wszystkie ciosy z zewnątrz. I tak wychodzi Hołownia, marszałek Sejmu, który mówi, że on nic nie może, w niczym nie uczestniczy, nie stabilizuje rządu, nie przykłada ręki do jego dalszego trwania. Jego narracja wygląda tak, jakby dopiero wchodził do polityki. A przecież już od dziewięciu lat jest na rynku politycznym. Ciekawy zabieg, który Szymon Hołownia przeprowadza ze swoją medialną sprawnością, tym razem może się okazać nieskuteczny, bo całą operację utrudnia postać Stańczyka, która pojawiła się w tym wyborczym szaleństwie.

> Piątkowa debata cały czas będzie erodowała wizerunek Trzaskowskiego, spychając go w śmieszność. Tego się nie da zatrzymać. Do tego jego stan energetyczny jest fatalny. Jego wyczerpanie postępuje. Tam jest problem z ruchem, z miednicą. Kandydat KO wygląda, jakby nie był fizycznie przygotowany do tak intensywnego wysiłku

I tak przechodzimy do Krzysztofa Stanowskiego.

Który bezlitośnie obnaża polityczne sztuczki stosowane w kampanii. W ten sposób wyznacza plac boju dla pozostałych kandydatów. Stosując populistyczne techniki, ociosuje kandydatów z ich sztuczek, a jednocześnie nikt nie jest w stanie go przebić w populizmie, więc wszyscy się boją jego metod, bo mogą zostać skutecznie obśmiani. Zawęża więc kandydatom pulę środków, którymi mogą oddziaływać na masy.

To bardzo ciekawy eksperyment socjologiczny, czy też socjotechniczy. Stanowski staje i mówi jak dziecko: „Król jest nagi".

Tylko tą metodą można wyłączyć fanatyzm pewnej grupy zakochanej w obozie władzy. W kontekście finalnego wyniku to może być bardzo interesujący zabieg. On przykłada lustro do największych patologii narracyjnych i zmusza kandydatów do bycia sobą. To może mieć gigantyczny skutek demobilizacyjny dla wielu osób, którym śmiechem przebito balon nadęcia. Sporo osób może odzyskać trzeźwość myślenia. Ten zabieg działa na młodych, wykształconych wyborców wielkich miast, czyli grupę, którą kiedyś ukonstytuowano medialnie. Stanowski zmusza do myślenia ludzi, dla których internet jest głównym źródłem wiedzy o świecie. Ta kampania stała się niebywale ciekawa. Kolejne pokolenia będą o niej czytać w podręcznikach marketingu politycznego. Ona jest ostatecznym końcem starych mediów w Polsce. Media budowane bez społeczności i wzajemnej interakcji z plemieniem marketingowym, które istnieje wokół nich, nie mają przyszło-

eprasa.pl e8ec1033af

ści. Zmienił się rynek mediów. Media nowej generacji, do których należy Kanał Zero, i średniej generacji, do której należy Republika i wPolsce24, wyrosły z potrzeby społecznej, z potrzeby konkretnego plemienia politycznego. To mechanizm odwrotny do tego, na podstawie którego powstawały media starego typu przedstawiające produkt i zyskujące poklask lub nie. W nowych mediach mamy produkt, który wyrasta w reakcji na potrzebę społeczną. Media najnowszego typu jak Kanał Zero powstały, zakładając istnienie społeczności jako głównego elementu napędowego budującego wpływ i zasięgi. Gdy spojrzymy na zasięgi debat, to np. ta poniedziałkowa miała zasięgi w mediach naziemnych sięgające 2,2 mln, ale dodatkowy milion, zliczając wszystkie kanały emisji i reemisji. Te zasięgi dorównują wynikom TVP za najlepszych czasów. A przecież mamy jeszcze doogląda nie w czasie późniejszym, fragmenty, które żyją własnym życiem. Na Kanale Zero 2,2 mln osób obejrzało debaty już po nich. Na żywo oglądało to 600 tys. osób. Wywiad z Karolem Nawrockim, który Krzysztof Stanowski zrobił we środę, był najchętniej oglądanym streamem na świecie! To gigantyczny wpływ na emocję społeczną, przeoranie narodowej świadomości na nowym poziomie. Ludzie przestają być anonimowi, a stają się podmiotowi z powodu uczestniczenia w tych mediach. Widzę to nawet na swoim kanale „Lodowski: Chłodnym okiem". Przez pięć tygodni od zera zbudowałem wielką społeczność. Moje codzienne komentarze do kampanii ogląda ponad 100 tys. osób. Programy w tradycyjnych mediach nie mają takich wyników. Wszystkie te emocje nie są wywoływane płatną kampanią. Dlatego tak mnie bawią sondaże, bo one w ogóle nie tykają fenomenu nowych mediów, nie łapią temperatury dyskusji w sieci.

Sławomir Mentzen nie dotarł na pierwsze dwie debaty, bo nie mógł, a w trzeciej wypadł chyba nieco poniżej oczekiwań.

Nie zgadzam się, że nie mógł dotrzeć. A nawet jeśli fizycznie nie miał takich możliwości, to mógł przeprowadzić wokół tego gigantyczną operację komunikacyjną. Mógł zażądać od wojska lub policji przewiezienia go helikopterem na miejsce debaty.

Próbował wynająć helikopter, ale się nie udało.

Próbował na własną rękę. Ze względu na wagę procesu demokratycznego mógł tego żądać od służb państwowych. Skoro państwo zaangażowało się po stronie jednego z kandydatów, to mógł domagać się takiej usługi od rządu. Zrobiłby się jeszcze większy szum i skandal wokół tego kuriozalnego zdarzenia, które miało miejsce w Końskich. Bardzo by wtedy zyskał na popularności. A co do debaty, w której wziął udział, to strategicznie źle ją rozegrał. W pierwszej części blokowały go formalizmy, w drugiej mógł wyrazić swoje poglądy. I początkowo zachowywał się jak robot czy wytwór sztucznej inteligencji. Brakowało świeżości, emocji, pauz, oddechu. To zły zabieg od strony sztuki retorycznej. Ludzie muszą mieć chwilę na przyswojenie informacji, którą otrzymują. Po to są pauzy, elementy gry aktorskiej. Mentzen odzyskał świeżość i luz dopiero przy pytaniu dotyczącym rolnictwa. Potem było coraz lepiej, ale wypowiedź podsumowująca stanowiła całkowite przegięcie. Chciał przekazać tyle treści, że zachowywał się jak katarynka lub karabin maszynowy. Tak się tego nie robi. Nie wykorzystał szansy. Pomiędzy piątkiem a poniedziałkiem była bowiem największa szansa na wypchnięcie Trzaskowskiego z drugiej tury. Gdyby Mentzen w 100 proc. skonsumował swój potencjał i szansę, to w sytuacji gwałtownej erozji „projektu Trzaskowski" mielibyśmy całkowitą zmianę w czołówce. Wyborcy z dużych miast szukają możliwości przerzucenia swojego głosu. Im bardziej rozpada się „projekt Trzaskowski", tym bardziej Mentzen może łowić w przestrzeni PO. Łowi też Hołownia, ale on nie jest w stanie zbudować 20 proc. w 30 dni. Podczas poniedziałkowej debaty zobaczyliśmy jeszcze jeden bardzo ciekawy element życia politycznego w Polsce, którego jeszcze nie widzieliśmy na żywo. Mieliśmy jawne targi polityczne. Sławomir Mentzen powiedział, że za dwa lata chciałby zostać ministrem finansów. To racjonalny i bardzo ciekawy wybieg. A Jakubiak i Stanowski wystawili piłki Karolowi Nawrockiemu i Sławomirowi Mentzenowi, by mogli się wykazać w tematach, które są dla nich ważne i stanowią elementy zbieżności programowej. To też raczej nie był przypadek.

W ten sposób doszliśmy do występu Karola Nawrockiego, którego popiera PiS.

W piątek nastąpiło zamknięcie pewnego etapu kampanii. Pytania do Rafała Trzaskowskiego to był koniec dotychczasowego Karola Nawrockiego. Skończył się etap podgryzania potencjalnego konkurenta. Kandydat z poparciem PiS zyskał na mocy, sile i przekonaniu. W sobotę na Marszu Tysiąclecia Korony Polskiej narodził się nowy Nawrocki, który mówi o wizji, sile. Jest stabilny, statyczny i stateczny. Zaczął mówić jak mąż stanu. Doniośle, poważnie, godnie. Utrwalił ten trend w rozmowie ze Stanowskim. Ludzie przecierali oczy ze zdziwienia, jaki to fajny i normalny człowiek. Ewidentnie się uczy. Nawet pomiędzy debatą piątkową a poniedziałkową nastąpiła duża zmiana. Podczas trzeciej debaty Karol Nawrocki mówił wprost do kamery, wprost do wyborców. Opanował swoją kinetykę i ruchliwość. To jest już inny poziom artykulacji i ekspresji. Kandydat wykonał niebywałą pracę i wciąż się rozwija. Z poczwarki przemienił się w motyla. Po raz pierwszy zachował się też jak rasowy polityk. Odpowiadając Grzegorzowi Braunowi, powiedział dokładnie to, co chciał, nie dał się wyprowadzić na manowce. Jeden kandydat przeżywa kolaps, drugi rozkwit. Krzysztof Stanowski powiedział w swoim podsumowaniu, że widzowie zobaczyli, iż nikt nie nadaje się na prezydenta. To jest nadużycie. Bo zobaczyliśmy coś innego. Wzrósł też Adrian Zandberg, wypadł świetnie, choć w swojej niszowej skali. Dobry był Marek Jakubiak. Właśnie zaczyna się finisz kampanii, przyspieszenie. Będzie bardzo ciekawie. To najciekawsza kampania po 1989 r.

eprasa.pl e8ec1033af

Depresja uśmiechniętej Polski

„Uśmiechnięta Polska" jest w rzeczywistości posępna i odpychająca. Ludzie, którzy uwierzyli Tuskowi, dziś nie zdradzają entuzjazmu z powodu jego rządów. Duża część elektoratu Platformy nie chce się przyznać do tego, że pod nową władzą żyje się jej gorzej niż za PiS

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Doskonale pamiętam pierwsze dni po październikowych wyborach do Sejmu w 2023 r. Pomimo wielkiego „triumfu demokracji", jakim było zdobycie większości parlamentarnej przez koalicję Donalda Tuska, na ulicach Warszawy trudno było zauważyć jakiekolwiek oznaki radości.

Pędzący przed siebie przechodnie, zasępione twarze w metrze, wszyscy dookoła skupieni na sobie i własnych problemach. Jedynym wyjątkiem był Tomasz Lis napotkany przypadkowo w jednej z galerii handlowych. Stał z boku i uśmiechał się głupio. Grymas na jego twarzy nie wywołał jednak żadnej reakcji mijających go ludzi. Wyglądało to jak ponury symbol nadciągających czasów.

PATOLOGICZNA RODZINA

A przecież miało być tak fajnie, tak radośnie. Miała być benzyna po 5,19 zł, a kolejki do lekarza miały zniknąć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wszyscy mieliśmy przestać się kłócić i zacząć się do siebie uśmiechać. Ludzi, którzy uwierzyli Tuskowi i jego koalicyjnym kompanom, były wówczas miliony, dziś jednak niemal nikt z nich nie zdradza entuzjazmu z powodu jego rządów. Nawet w październiku 2023 r. nie było żadnej atmosfery przełomu. Duża część elektoratu PO nie chce się przyznać do tego, że pod nową władzą żyje się jej gorzej niż za PiS.

W ciągu półtora roku rządów Tuska standard życia w Polsce mocno się obniżył i ciągle spada. Wielu ludzi traci grunt pod nogami i w dużym stopniu dotyczy to również tych, którzy 15 października 2023 r. oddali

> Leming jest coraz starszy, coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej sfrustrowany. Boi się – nie bez powodu – że jego życie zrobiło pełen obrót o 360 stopni i wróciło do punktu wyjścia

eprasa.pl e8ec1033af

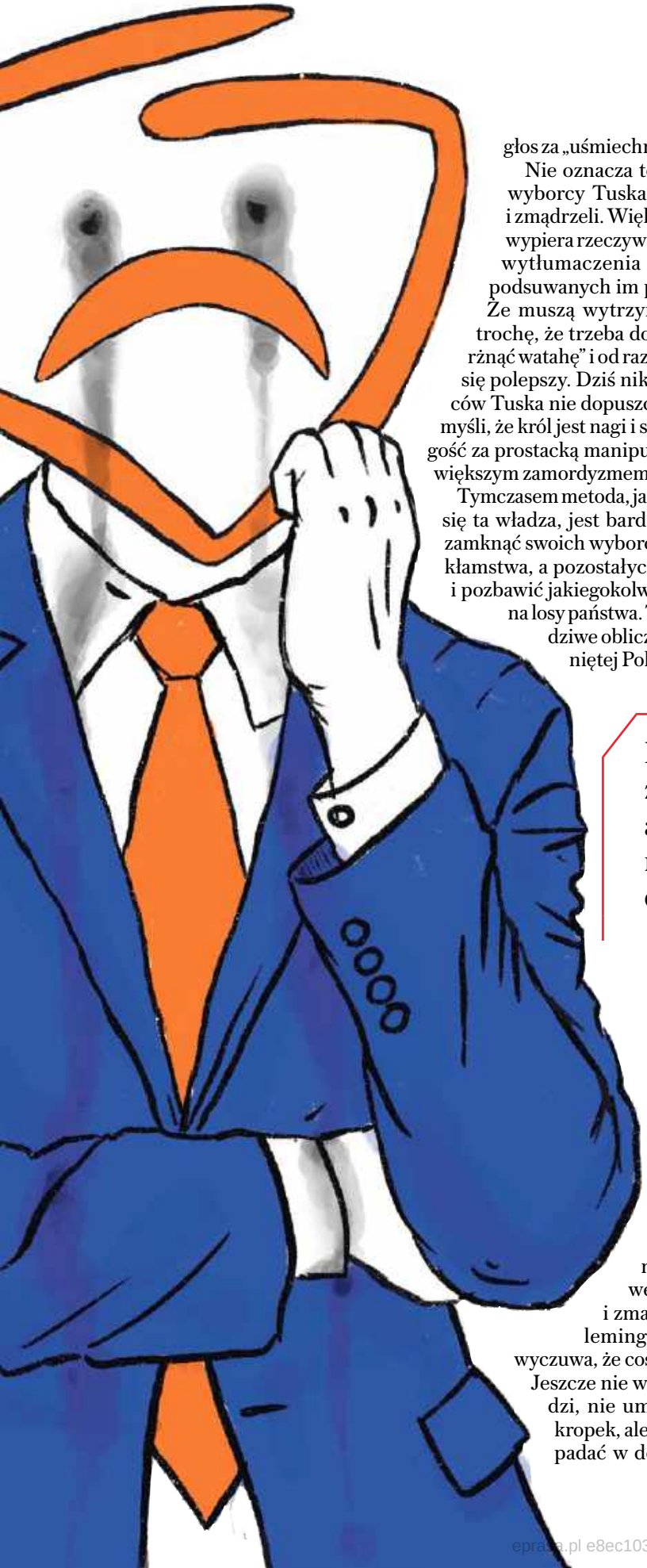

głos za „uśmiechniętą Polską”. Nie oznacza to jednak, że wyborcy Tuska otrzeźwieli i zmądrzeli. Większość z nich wypiera rzeczywistość i szuka wytłumaczenia w bajkach podsuwanych im przez reżim. Że muszą wytrzymać jeszcze trochę, że trzeba do końca „dorżnąć watahę” i od razu wszystkim się polepszy. Dziś nikt z wyznawców Tuska nie dopuszcza do siebie myśli, że król jest nagi i skrywa tę nagość za prostacką manipulacją i coraz większym zamordyzmem.

Tymczasem metoda, jaką posługuje się ta władza, jest bardzo czytelna: zamknąć swoich wyborców w bańce kłamstwa, a pozostałych zastraszyć i pozbawić jakiegokolwiek wpływu na losy państwa. To jest prawdziwe oblicze „uśmiechniętej Polski”.

Jednak w takiej atmosferze nawet ogłupiony i zmanipulowany leming intuicyjnie wyczuwa, że coś jest nie tak. Jeszcze nie wie, o co chodzi, nie umie połączyć kropek, ale zaczyna popadać w depresję i się bać. Przypomina trochę małe dziecko w patologicznej rodzinie, które słyszy, jak ojciec bije matkę i choć niczego nie rozumie, odczuwa lęk.

Są dwa wyjścia z takiej sytuacji: albo patologiczny ojciec zniknie z jego życia i wróci spokój, albo musi upłynąć trochę czasu, aż dziecko dorośnie i zbuntuje się przeciw oprawcy. Na razie nie wiadomo, który z tych scenariuszy wygra. Wiemy natomiast, że Polska pod rządami Tuska przypomina patologiczną rodzinę.

LENA Z „NEWSWEEKA”

„Czasem Lena myśli sobie: dobry kosmosie, daj ludziom trochę wiary w to, że będzie lepiej, bo tu na tej coraz smutniejszej planecie zaczną się dziać straszne rzeczy”. To cytat z „Newsweeka”, który od paru miesięcy dość skrupulatnie relacjonuje ponure nastroje panujące wśród elektoratu Tuska.

> Elektorat obecnej władzy czuje się zawiedziony. Bo zamiast góry pieniędzy, awansów i wakacji na Mauritiusie nadeszły posępne czasy beznadziei, drożyzny i strachu przed przyszłością

Charakterystyczne, że Lena z cytatu niczym wyznawczyni jakiegoś plemiennego kultu modli się do kosmosu, co jest symbolicznym obrazem duchowej pustki i zagubienia, w jakim się znalazła. Znacznie ważniejszy jest jednak jej strach przed przyszłością.

Jak wynika z tekstu (bo nie jest to wprost napisane) Lena to pracownica korporacji, która czuje się sfrustrowana rzeczywistością i nie bardzo rozumie, dlaczego dzisiaj jest tak źle. „Trudno powiedzieć, co konkretnego się zmieniło. Dlaczego od kilku lat wszyscy narzekają, że im ciężko. Bo czynsze wzrosły, raty podskoczyły, wszystko zdrożało” – czytamy w „Newsweeku”. „Wszyscy dali się wkręcić w to, że okej, może dziś jest ciężko, pracujesz za dużo, śpisz za

eprasa.pl e8ec1033af

mało, ale to wszystko w imię pięknego jutra. Tyle że to piękne jutro nie chce nadejść" – dziwi się Lena. „Człowiek zaczyna robić rzeczy, które mają sprawić, żeby takie życie łatwiej było znieść. Więcej pali. Codziennie wieczorem znieczula się winem. Codziennie rano bierze antydepresanty. I garść suplementów, które mają zastąpić normalny posiłek, bo komu by się chciało robić śniadanie, jak ma w głowie lawinę zaległości [...]. Ludzie mają krótszy lont. Poczucie, że społeczeństwo zaraz przestanie istnieć i każdy będzie sam. Już jest sam. Jadę do pracy, stoję w korku i przyglądam się innym. Zacięte miny, wkurzone twarze. A jak jadą we dwoje, to się kłócą. Albo milczą takim okropnym milczeniem" – opisuje otaczający świat Lena, która, jak wynika z dalszej części tekstu, jest modelowym przykładem „uśmiechniętej" Polki.

Jak widać Lena kompletnie niczego nie rozumie, jest zupełnie odklejona od świata. Jednak podświadomie czuje, że wszystko wokół idzie ku gorszemu. Na razie jest gotowa obwiniać za wszystko prawicę (oszczędzę państwu cytatów) i ze zgrozą zaczyna dostrzegać, że wielu jej znajomych zaczyna powtarzać „populistyczne slogany".

Wymowa tekstu „Newsweeka" pod znamiennym tytułem „Klasa średnia musi wybuchnąć" jest czytelna. To sygnał ostrzegawczy dla władzy, że jej elektorat czuje się zawiedziony. Bo zamiast „uśmiechniętej Polski", góry pieniędzy, awansów i wakacji na Mauritiusie nadeszły posępne czasy smutku, beznadziei, drożyzny i strachu przed przyszłością.

FRUSTRACJA NIEWOLNIKA

„Młodzi wykształceni z wielkich miast", jak w liberalnych mediach określa się elektorat Tuska, to pochlebstwo mocno na wyrost. Bo leming nigdy nie był jakoś nadzwyczajnie wykształcony (chyba że studia w wyższej szkole hotelarstwa i marketingu uznamy za dobre wykształcenie) ani nie pochodził z wielkiego miasta (przytłaczająca większość przybyła do miast w poszukiwaniu lepszego życia). Przede wszystkim jednak leming nie jest już młody. Dziś to zwykle człowiek po czterdziestce lub pięćdziesiątce.

Większość tych ludzi skorzystała na przemianach lat 90. oraz integracji z Unią Europejską, które otworzyły przed nimi nowe ścieżki kariery. Bo Polska była z jednej strony zawłaszczana przez obce korporacje, ale z drugiej potrzebowały one pracowników, którzy pomogą im wycisnąć z dziewiczego rynku wszystkie soki. Nowe miejsca pracy dawały wielu młodym ludziom szanse na start, były obietnicą wysokich zarobków i wielkiej kariery. Jednak aby to osiągnąć, trzeba było dołączyć do wyścigu szczurów, przetrwać w nim i zająć dobrą pozycję.

Stworzyła się wówczas w Polsce kultura korporacyjna, której najważniejszą cechą była rozbuchana konsumpcja – kupowano coraz lepsze samochody, coraz droższe apartamenty, wyjeżdżano na egzotyczne wakacje, wysyłano dzieci do prywatnych szkół. Im wszystko było droższe i bardziej spektakularne, tym lepiej świadczyło o czyjejś pozycji. Jednocześnie wyzwalało pogardę wobec każdego, komu wiodło się gorzej.

> Już nawet zmanipulowany wyborca Tuska intuicyjnie wyczuwa, że coś jest nie tak. Jeszcze nie wie, o co chodzi, nie umie połączyć kropek, ale zaczyna popadać w depresję i się bać

Życie pod nieustanną presją sukcesu sprawiło, że wiele korporacyjnych lemingów zadłużało się ponad miarę. Był to czas, gdy ludziom dosłownie wciskano kredyty, często pakując ich w ten sposób w życiową pułapkę. Dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy przybyli z prowincji i startowali w dużych miastach od zera. Oni nie mieli żadnej poduszki finansowej, żadnej możliwości chwilowego zwolnienia tempa. Przegrana oznaczała dla nich życiową katastrofę i konieczność powrotu w rodzinne strony z piętnem nieudacznika. Dlatego harowali od rana do wieczora, aby spłacić zaciągnięte kredyty i utrzymać – a najlepiej poprawić – swój stan posiadania. Stawali się niewolnikami banków, własnej pracy i własnego stylu życia. Jednak racjonalizowali to sobie obietnicą przyszłej nagrody, bo przecież – jak wierzyli – po tylu latach ciężkiej harówki będą mogli w końcu spić śmietankę.

Tyle że lata mijały, a obiecanej śmietanki nie było. Co więcej, leming, który pełen energii i złudnych nadziei rozpoczynał karierę 20–30 lat temu, dziś jest pracownikiem do wymiany. Jest zbyt stary, ma oczekiwania finansowe, domaga się podwyżek. Pół biedy, jeśli zdołał osiągnąć jakąś wyższą pozycję, gorzej – a takich jest większość – jeśli się to nie udało. Dlatego korporacje wymieniają takich ludzi jak on na młodszych, tańszych, pozbawionych zobowiązań i dzięki temu znacznie bardziej elastycznych. Cykl wyzysku rozpoczyna się od nowa.

STRACHY LEMINGA

Większość lemingów przez całe zawodowe życie żyła w złudnym przekonaniu, że w przyszłości może być tylko lepiej, świat posuwa się nieustannie do przodu, a ludzie się bogacą i są bardziej szczęśliwi. To dlatego takim szokiem była dla nich pandemia koronawirusa oraz kryzys, który po niej nastąpił. A zupełnym kataklizmem stała się wojna na Ukrainie i groźba rozlania się konfliktu na Polskę. Przecież nie tak miało być.

„Stary świat się skończył – wzdycha Krzysiek. Rocznik 1985, czterdziestka. – Wszyscy mieli mieć domki pod miastem. Samochody. Work-life balance. Dobry seks. Dobre relacje". To jeszcze jeden cytat z „Newsweeka". Dziś okazuje się, że z tych nadziei pozostało niewiele, choć jak widać, aspiracje przeciętnego leminga nie były zbyt wyrafinowane.

eprasa.pl e8ec1033af

Frustracja wywołana wstrząsami z początku obecnej dekady mocno zaktywizowała politycznie lemingów. Gdy zobaczyli, że ich wyobrażony świat zaczyna się walić w gruzy, chętnie podchwycili przekaz, że to rządy PiS zniszczyły im życie. Dlatego takim tłumem poszli głosować na Tuska i jego koalicyjnych kompanów. To stąd się wzięło pospolite ruszenie na Jagodnie.

Teraz jednak, po półtora roku rządów władzy, którą wtedy wybrali, dostrzegają, że w ich życiu niewiele się zmieniło, a jeśli coś, to tylko na gorsze. Ciągle nie łączą kropek, ale już coś widzą. Oczywiście nie dotyczy to tych, którym się dobrze wiedzie, bo wielkie wstrząsy zwykle omijają najbogatszych.

W liberalnych mediach, niekiedy także w zwykłych rozmowach z wyborcami PO, można usłyszeć mnóstwo relacji, jak jest im ciężko. Że nienawidzą swojej pracy, że chcieliby uciec jak najdalej stąd. O strachu przed wojną, kolejnych podwyżkach oraz o tym, że nie będzie ich stać na spłatę kredytu zaciągniętego na dom.

Jest też widoczne przerażenie leminga, że w każdej chwili może stracić pracę i już nie znaleźć nowej, choć jeszcze kilka lat temu wielu z nich zmieniało zajęcie co dwa, trzy lata „dla higieny". W cytowanym tu obficie „Newsweeku" zapisano mnóstwo stron na ten temat. O pracodawcach, którzy nie chcą zatrudniać ludzi po czterdziestce oraz o tym, że na jedno miejsce w korporacji jest 500–600 zgłoszeń. Są też podpowiedzi sztuczek, do jakich trzeba się posuwać, aby zainteresować pracodawcę. Jedni zapisują się na szkolenia z pisania CV, inni używają sztucznej inteligencji, ktoś reklamował się na Facebooku.

Strach o przyszłość to również strach o dzieci. I nie chodzi tylko o wojnę za naszą wschodnią granicą. Okazuje się, że prywatne szkoły, liczne kursy a nawet zagraniczne studia w dzisiejszej Polsce niczego nie gwarantują. Młodzi ludzie dobrze o tym wiedzą i często nie chcą powtarzać drogi swoich rodziców, bo widzą, że nie doprowadziła ich ona do upragnionego celu. Wielu z nich jest teraz zagubionych i pogrążonych w apatii.

POWRÓT DO PUNKTU WYJŚCIA

Jeszcze jeden – już ostatni – cytat z „Newsweeka". Tym razem bohaterką jest Baśka. „Pięć lat to nie tak długo. A jakby dwa życia. W tym poprzednim Baśka mieszkała w dużym mieszkaniu na Mokotowie. Praktycznie centrum Warszawy, a i tak wszędzie jeździła uberem. Kupowała w lokalnych warzywniakach, piekarenkach, cukierenkach, a wieczorami chodziła na wino do knajpy. Na wakacje jeździła do ciepłych krajów, najchętniej do Włoch. I co roku kupowała czterodniowy karnet na Open'era [...]. Jej syn chodził do prywatnego przedszkola, a od szóstego roku życia uczył się grać na skrzypcach. I na angielski chodził. Dziś Baśka mieszka na Bemowie. Jedzie się drugą linią metra do końca, przesiada w autobus, a potem jeszcze trzeba kawał przejść. Obok jest Biedronka, a parę kroków dalej Lidl. Baśka sprawdza stan konta przed wejściem. W zeszłym roku na wakacje pojechała na Mazury, w tym roku tylko wyśle syna na obóz rowerowy. Open'er? Zapomnij. Co się stało z moimi luksusami? – myśli sobie czasem ironicznie. Zarabia tyle samo co pięć lat temu. Pracuje w tej samej firmie. A życie całkiem się zmieniło".

> Frustracja wywołana wstrząsami z początku obecnej dekady zaktywizowała politycznie lemingów. Gdy ich świat zaczął się walić, chętnie podchwycili przekaz, że to rządy PiS zniszczyły im życie

Leming jest coraz starszy, coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej sfrustrowany. Boi się – nie bez powodu – że jego życie zrobiło pełen obrót o 360 stopni i wróciło do punktu wyjścia. Zamiast spijania śmietanki, słodkiego życia na emeryturze gdzieś na Wyspach Kanaryjskich, czeka go skromny żywot schorowanego emeryta, którego nie będzie stać nie tylko na podróże, lecz także na wygodny dom czy opiekę zdrowotną.

To fatalna perspektywa milionów Polaków. Leming myślał, że będzie z niej wyłączony, teraz jednak do niego dociera, że był w błędzie. I nie może zrozumieć, dlaczego jego ukochany rząd nie jest w stanie temu zapobiec. Nie może też zrozumieć, że oddając władzę Tuskowi, zrobił największy polityczny błąd w swoim życiu.

Na razie „uśmiechnięty Polak" wyładowuje swoją frustrację gdzie indziej. To kierunek, który wskazuje mu Tusk i jego medialni propagandyści. Złorzeczy pisowcom, którzy się „nakradli" oraz „roszczeniowej hołocie", która najpierw odarła go z owoców jego ciężkiej pracy, a dziś buntuje się przeciwko „przywracaniu" porządku w kraju. Wzbudzanie wzajemnej nienawiści to chyba jedyna metoda utrzymania się u władzy, którą opanował Tusk.

Jednak ta nienawiść ma drugie oblicze. W kraju, gdzie nieustannie podgrzewa się wewnętrzną wojnę, trudno o optymizm, stabilizację i nadzieję na bezpieczną przyszłość. Trudno snuć jakieś plany – zarówno te strategiczne, w skali całego państwa, jak i te osobiste. Zamiast nich pojawiają się apatia i poczucie beznadziei. Konsekwencje tego stanu rzeczy dotkną niemal każdego z nas, bez względu na światopogląd i sympatie polityczne. Problem polega na tym, że na razie zdaje sobie z tego sprawę jedynie część społeczeństwa.

Ponure oblicze „uśmiechniętej Polski" tworzą jej rzekomo uśmiechnięci wyznawcy. Bo ci, których Tusk chciałby wyrzucić poza margines społeczeństwa, mimo wszystko zachowują pogodę ducha, co mógł zobaczyć każdy, kto wziął udział w niedawnym marszu z okazji 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego i 500-lecia hołdu pruskiego w Warszawie. „Uśmiechnięta Polska" Tuska jest w rzeczywistości posępna i odpychająca. I nienawidzi uśmiechu.

eprasa.pl e8ec1033af

Woda, czyli sprawa strategiczna

Polska jest trwale zagrożona deficytem wody, a także gwałtownymi powodziami. Potrzebujemy zbiorników, małej retencji oraz zaprzestania betonowania miast. Nie potrzebna jest nam jednak renaturyzacja rzek prowadząca np. do likwidacji zapór wodnych

MACIEJ WALASZCZYK

Trzy lata temu susza, wysokie temperatury i zrzucane do rzeki zanieczyszczenia doprowadziły do masowego śnięcia ryb w Odrze. To zjawisko coraz częściej powtarza się w wielu miejscach w Polsce, jednak sytuacja stała się pretekstem do demagogicznych ataków na ówczesny rząd. Gdy jednak we wrześniu ub.r. w kilku powiatach na południu kraju miała miejsce katastrofalna powódź, ci sami ludzie, a więc rząd Donalda Tuska, ponieśli spektakularną porażkę.

– Zawiodło zarządzanie kryzysowe, prognozowanie, zmiana władzy spowodowała zwolnienie wielu specjalistów z tej dziedziny, nie pomogła także atmosfera strachu. Jak wskazuje raport Biura Bezpieczeństwa Narodowego, nie podejmowano też właściwych decyzji. Priorytetem była obawa o pojawienie się złotej algi w Odrze, przez co wstrzymano zrzut wody ze zbiorników retencyjnych w odpowiednim czasie. Poza tym błędne zapowiedzi o „prognozach nieprzesadnie alarmujących" wywołały demobilizację i spowodowały, że nie podjęto na czas kroków minimalizujących straty, licząc, że tym razem wszystko rozejdzie się po kościach – przypomina w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Sławomir Mazurek, były zastępca prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, a obecnie doradca prezydenta RP.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e8ec1033af

Czy ubiegłorocznej powodzi można było uniknąć? Zdaniem prof. Mariusza Gajdy, znanego hydrotechnika i byłego już szefa Wód Polskich, przy obecnej infrastrukturze, nie tylko w Polsce, nie.

– Niż genueński „Borys" przyniósł ze sobą opady o wysokości do 215 mm w ciągu 24 godzin. Czyli mówiąc obrazowo: ponad 21 wiader wody na każdy metr kwadratowy. Zjawisko to okazało się szczególnie groźne na terenach górskich, gdzie opady natychmiast spływają do koryta rzek, powodując gwałtowne zwiększenie ich stanów i hydrodynamiczne zjawiska związane z prędkością i siłą pędzącej wody – wyjaśnia.

Dodatkowo zwiększająca się urbanizacja, a więc utwardzone drogi, zabudowa, parkingi, place składowe, powodują spotęgowanie gwałtownego odpływu wód. Dziś na szczególną uwagę rządzących zasługują dwa ekstremalne zjawiska: powódź i susza, które ujawniają się w gwałtownych nawałnicach i długich okresach bez opadów.

BEZPIECZEŃSTWO WODNE

Kilka lat temu, gdy prof. Gajda został skierowany do organizacji Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie, mocno wskazywał na strategiczny charakter wody. Podczas zwołanej na wniosek prezydenta Andrzeja Dudy Rady ds. Środowiska, Energii i Zasobów Naturalnych jeszcze raz wskazał na pilną konieczność zapewnienia bezpieczeństwa wodnego na wypadek powodzi, suszy i klęsk ekologicznych.

– Na razie nie grozi nam brak wody pitnej, ona ciągle jest czerpana ze studni głębinowych oraz wód powierzchniowych. Groźniejsze są niestety powodzie, takie jakie widzieliśmy jesienią ub.r. – wyjaśnia znany hydrotechnik. – Rodzi się obawa, że zlikwidowanie Wód Polskich, a takie zapowiedzi pojawiają się ze strony ekspertów zbliżonych do władzy, z Komisji Klimatu i Przestrzeni przy RPO, doprowadzi do odejścia od zarządzania zlewniowego, które umożliwia całościowe podejście do zasobów wodnych i ochrony przeciwpowodziowej. Konsekwencją będzie rozczłonkowanie takiego działania na obszary administracyjne podległe samorządom – podkreśla Sławomir Mazurek.

Wokół ustaw o zaopatrzeniu w wodę i prawu wodnemu na razie toczy się spór. Głównie o to, czy samorządy gminne znów będą decydować o taryfach za dostarczanie wody i odprowadzanie ścieków. Być może zmiany pójdą dalej. Jednak potoki oraz rzeki nie uznają granic administracyjnych gmin, powiatów, województw ani państw. Jak tłumaczy prof. Gajda, to, co się dzieje w górze rzeki, zawsze oddziałuje poniżej. Przykładem jest ostatnia powódź i wielka woda, która pojawiła się na Białej Głuchołaskiej w Głuchołazach, która nie powstała na terytorium Polski, ale w Czechach. Dlatego plany gospodarowania wodą i zarządzania ryzykiem powodziowym są opracowywane dla dorzeczy nie tylko niezależnie od granic administracyjnych, lecz także w układzie transgranicznym.

> Na statystycznego Polaka przypada 1,6 tys. m^3 wody rocznie. Na mieszkańca Grecji – ponad 6 tys. m^3, Chorwacji, która przewodzi w europejskim rankingu wodnym, 28,8 tys. m^3. Tylko w trochę lepszej sytuacji niż Polska są jednak tak duże państwa, jak Francja – 3,1 tys. m^3, Wielka Brytania – 2,6 tys. m^3 czy Niemcy – 2,3 tys. m^3

Specjalista uważa, że mimo błędów popełnionych w pierwszych latach funkcjonowania, formuła zarządzania zlewniowego sprawdza się coraz lepiej – w przeciwieństwie do tej wykorzystującej podział wojewódzki, kiedy w wielu przypadkach infrastruktura przeciwpowodziowa okazywała się niespójna. I podaje przykład: wały na Wiśle wybudowane w okolicach Sandomierza zbudowane przez województwo świętokrzyskie były wyższe, co spowodowało powódź na terenie województwa podkarpackiego w 2010 r.

– Nie chodzi o centralizm, ale spójność – podkreśla.

Jednym z ważnych czynników jest wodna niezależność, jej wyznacznik stanowi zależność od zasilania wodami niesionymi przez rzeki także z zagranicy. Chodzi o proporcję między wielkością własnych zasobów do całości. Wśród krajów całkowicie zależnych od wielkości własnych opadów są np. Etiopia, Dania i Czechy, które pozostają bez dopływu wód spoza swoich granic. A także takie państwa jak Hiszpania, Estonia czy wielkie Chiny, których zewnętrzne dopływy są minimalne.

Do Polski dopływa z zagranicy ok. 11,4 proc. wody. Zbliżone wartości notują Meksyk, Gujana czy RPA.

RENATURYZACJA, CZYLI DROGA DONIKĄD

Pojawiające się od kilku dekad susze nieustannie dają się we znaki nie tylko rolnikom, lecz także nam wszystkim jako konsumentom. W niektórych miejscach w kraju pojawiają się nawet czasowe niedobory wody. O ile w minionym wieku susza występowała mniej więcej co 5–7 lat, o tyle od 2015 r. mamy suszę permanentną, a obszar, który obejmuje, z roku na rok jest niestety coraz większy. Problem polega na tym, że częściej mamy intensywne i krótkotrwałe opady, które wcale nie poprawiają tej sytuacji, a do tego więcej wody paruje, niż spada w postaci deszczu.

Jak podkreśla prof. Gajda, w przypadku niedoboru woda może się stać barierą wzrostu gospodarczego, a przy odpowiedniej polityce motorem rozwoju. To nie tylko konsumpcja i rolnictwo, lecz także energetyka, transport i żegluga śródlądowa, przemysł oraz turystyka i rekreacja. Dlatego tak ważne jest zapewnienie bezpieczeństwa przed ekstremalnymi zjawiskami.

Te wszystkie zadania muszą być powinnością państwa. Ale – jak podkreśla – droga do tego celu wiedzie w zupełnie innym kierunku, niż chcą tego ekolodzy, stawiający sobie za cel renaturyzację. W Polsce należy przede wszystkim budować zbiorniki przeciwpowodziowe, poldery, a także bypassy potoków i rzek. Jak podkreślają specjaliści, realizacja takich

eprasa.pl e8ec1033af

Fot. Shutterstock

inwestycji jest czasochłonna i wykracza poza jedną kadencję wyborczą, co dodatkowo wydłużają komplikacje wynikające z unijnych przepisów. Oczywiście wiąże się z tym niedofinansowanie tych inwestycji, gdyż Unia Europejska nie wspiera budowy zapór wodnych.

Konieczna jest też budowa zbiorników na zanieczyszczenia, w tym wspomagających odsalanie. Jednocześnie pilną sprawą jest też stworzenie wielofunkcyjnych zbiorników na rzekach, tak aby zapewnić alimentację wód, a więc dostarczać rzekom dodatkowe zasilanie z wód gruntowych oraz pochodzących z roztopów i opadów. Przykładem takiej inwestycji mogłoby być przekształcenie suchego zbiornika Racibórz w zbiornik wielofunkcyjny, a więc pełniącego zadania zarówno retencyjne podczas powodzi, jak i alimentacyjne w okresie suszy. Co ciekawe, takich problemów nie ma w dorzeczu Wisły, gdyż w górnych dopływach tej rzeki funkcjonują zbiorniki wielofunkcyjne. Tymczasem w Europie mamy do czynienia z niebezpiecznym trendem renaturyzacji rzek.

– W UE jest silny trend prący ku tzw. renaturyzacji, a więc próba odwrócenia zmian wprowadzonych ręką człowieka i przywrócenie ich do stanu zbliżonego do naturalnego. Trend podszyty ideologią, zgodnie z którą przyroda jest ważniejsza niż potrzeby człowieka i jego bezpieczeństwo – podkreśla Mazurek.

Istnieje grupa zorganizowanych ekologów, którzy postulują likwidację m.in. zapory we Włocławku. Należy do nich minister klimatu i środowiska Urszula Zielińska, która nie tylko krytykowała budowę, lecz także istniejące zapory na rzekach. Protestowała również przeciw budowie suchych zbiorników na terenie ziemi kłodzkiej. Według tego poglądu inwestowanie w zbiorniki zaporowe niszczy przyrodę i jest najgorszym możliwym rozwiązaniem, dlatego należy wspierać naturalną retencję, odtwarzanie mokradeł i przywracanie meandryzacji rzek.

BETONOZA WZMAGA PODTOPIENIA

Ten widok zna pewnie każdy, gdy w czasie ulewy ulice zamieniają się w rwące potoki, woda nie ma szansy uciec na pola, trawniki i do kanalizacji, a przez to wdziera się do domów, garaży, niżej położonych piwnic i pomieszczeń. Zdaniem prof. Gajdy jedną z najważniejszych rzeczy w racjonalnej gospodarce wodnej, szczególnie w zapobieganiu powodziom, a także suszom, jest odpowiednie planowanie przestrzenne.

– Dotyczy to w szczególności miast, gdzie w tempie lawinowym powstają nowe osiedla i utwardzone nawierzchnie, które nie mają naturalnej retencji. W wyniku tego 90 proc. opadów spływa w dół cieków – wyjaśnia. Konieczne jest więc zapobieganie tym zjawiskom w postaci budowy zbiorników retencyjnych i powiększaniu powierzchni biologicznie czynnej. W jego ocenie tzw. niebiesko-zielona infrastruktura nie zawsze zapewni skuteczną ochronę przed miejską powodzią i suszą. Dlatego w każdym przypadku konieczne są szczegółowe analizy inżynierskie. A to oznacza, że tymi sprawami muszą zajmować się fachowcy, a nie ekolodzy amatorzy.

EGIPT W POLSCE

Całkowite zasoby wodne Polski to 61,6 km^3. Patrząc na najbardziej spektakularne statystyki, Polska ma jedne z najmniejszych odnawialnych zasobów wody, lokując się na 24. miejscu spośród krajów unijnych – konkretnie na czwartym miejscu od końca. Za nami są tylko Czechy oraz śródziemnomorskie wyspy takie jak Cypr i Malta. Na statystycznego Polaka przypada 1,6 tys. m^3 wody. By lepiej zrozumieć naszą sytuację, wyobraźmy sobie, że na mieszkańca Chorwacji, która przewodzi w wodnym rankingu, przypada 28,8 tys. m^3 wody na osobę rocznie. W Finlandii to – 20 tys. m^3, w Szwecji – 19,3 tys. m^3, ale nawet w Bułgarii czy na Węgrzech są to ilości kilkunastokrotnie przewyższające nasze zasoby. Co ciekawe, nawet w Grecji jest to ponad 6 tys. m^3 na mieszkańca. Jednocześnie tylko w trochę lepszej sytuacji są tak duże, liczne i potężne państwa jak Francja – 3,1 tys. m^3, Wielka Brytania – 2,6 tys. m^3 czy Niemcy – 2,3 tys. m^3.

Te dane dają sporo do myślenia i pokazują, że woda jest dobrem strategicznym, także dla przemysłu. Skromne zasoby wynikają z naszej geografii i kiepskich warunków hydrologicznych. Jak tłumaczy prof. Mariusz Gajda, z tego powodu nasz kraj należy do grupy państw zagrożonych deficytem wody. W Polsce głównym źródłem zaopatrzenia gospodarki narodowej są wody powierzchniowe, które pokrywają 80 proc. potrzeb – głównie produkcyjnych w przemyśle.

– Oczywiście pojawiają się od lat takie spektakularne porównania o Polsce jako „Egipcie Europy" pod względem zasobów wody pitnej. Te statystyki wywołują emocje, ale nie do końca oddają stan faktyczny – mówi Sławomir Mazurek. Podkreśla, że Polska ma większy dostęp do wód gruntowych, powierzchniowych i podziemnych, podczas gdy Egipt cierpi na chroniczny niedobór wody w przeliczeniu na mieszkańca. – Co jednak nie zwalnia polskich władz z realizacji inwestycji w zakresie budowy infrastruktury hydrotechnicznej zatrzymującej wodę, od przydomowych zbiorników, jak zainicjowanym przez prezydenta Andrzeja Dudę programie Moja Woda, po wielofunkcyjne zbiorniki retencyjne i właściwe planowanie przestrzenne, które jest kluczowe w dobie wyzwań ze strony ekstremalnych zjawisk pogodowych – wyjaśnia prezydencki doradca.

Autopromocja

eprasa.pl e8ec1033af

wPolsce 24

Ruszamy w Polskę, żeby spotkać się z naszymi Widzami!

Dołączcie do nas – zróbmy wspólne zdjęcie i porozmawiajmy o polskich sprawach!

Odwiedzimy kilkaset miejscowości.

Sprawdź, gdzie możemy się spotkać.

Szczegóły w telewizji wPolsce24, na facebook.com/telewizjawpolsce i portalu wPolsce24.tv

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej upc	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl e8ec1033af

Po nas choćby psiecko

Nadchodzące wybory zdecydują o tym, czy będziemy suwerenną wspólnotą, czy zaczniemy ostatecznie stawać się bytem administracyjnym stanowiącym tylko część europejskiego państwa

DARIUSZ MATUSZAK

W trakcie debaty w Końskich Rafał Trzaskowski 74 razy w różnych kontekstach wypowiedział słowa: Unia, Europa, europejskie. Padały one z jego ust średnio co 22 sek. Polska, polskie itp. pojawiały się znacznie rzadziej – 29 razy. Ta z pozoru bezsensowna wyliczanka dobrze pokazuje, jaka jest stawka tych wyborów prezydenckich.

Cele obecnej władzy z jej wzorowaną na niemieckiej wehrhafte Demokratie – demokracją walczącą – są oczywiste. Chodzi o domknięcie systemu, tak by w przewidywalnej przyszłości konserwatyści nie doszli do władzy, ba, nawet nie ośmielili się o niej marzyć. Funkcjonować to oni mogą do poziomu wójta Pcimia, ale gabinety ministerialne, zarządy wielkich firm, nie mówiąc o urzędzie premierowskim czy prezydenckim mają być dla nich zamknięte na zawsze. By tak się stało, prawicowych działaczy trzeba powsadzać do więzienia czy zastraszyć, podobnie jak wszystkich, którzy ośmieliliby się w jakikolwiek sposób współpracować z nimi. Trzeba też rozbić struktury nieprawidłowych organizacji, np. pozbawić je podstaw finansowych jak PiS i zaprowadzić cenzurę, by mieć kontrolę nad przekazem.

eprasa.pl e8ec1033af

Fot. Grand Warszawski/Shutterstock.com

Wolności mają polegać na tym, że można być rozwiązłym, nawet walnąć sobie tatuaż na twarzy i wejść do knajpy z psem. W Polsce ma zapanować uśmiechnięta dyktatura z limitowaną demokracją i koncesjonowanymi prawami obywatelskimi.

POLSKA DO LIKWIDACJI

Wyliczanka Trzaskowskiego wskazuje jednak na jeszcze jeden cel. Może zabrzmi to zbyt patetycznie, może się wydać żałośnie górnolotne, ale chodzi też o to, by Polska nie była Polską. 18 maja i 1 czerwca zdecydujemy o tym, czy będziemy suwerenną wspólnotą, czy zaczniemy ostatecznie stawać się bytem administracyjnym stanowiącym tylko część, prowincję europejskiego państwa. Ów europejski twór nie musi być nawet do końca zorganizowany instytucjonalnie. Wystarczy podbój prawny, gospodarczy i kulturowy. Jak w paradoksie Eubulidesa: jeśli komuś zaczniemy wyrywać po jednym włosie, to nie zdołamy określić chwili, w której będzie można powiedzieć, iż stał się łysy. Tak i my nie dostrzeżemy momentu, w którym polskość sprowadzi się tylko do języka, cepeliady i dokumentów tożsamości. Podobnie nie można powiedzieć, że podparyskie Saint-Denis jest miastem francuskim, a Molenbeek belgijską dzielnicą Brukseli.

Polska jako nienormalność, by zacytować Donalda Tuska, jest bytem do likwidacji. Rafał Trzaskowski nie określi tak Rzeczypospolitej, ale będzie szczerze i gorliwie uczestniczył w wymazywaniu polskości, bo powinna być ona zastąpiona czymś lepszym. Nie mamy wątpliwości, że „unijna cywilizacja" z jej kulturą, prawem, instytucjami, zarządzaniem gospodarką, polityką społeczną, rozumieniem wolności i obowiązków obywatelskich jest obiektem jego westchnień i wzorem do naśladowania.

Siermiężna Polska Gomułki budowała tysiąc szkół na tysiąclecie, bo władający nią komuniści ateiści potrafili się zdobyć na to, by uznać, iż przyjęcie chrześcijaństwa w 966 r. było jednym z najważniejszych wydarzeń w naszych dziejach, aktem konstytuującym naszą państwowość i przynależność do zachodniej cywilizacji. Obecna władza nawet nie potrafi godnie uczcić tysięcznej rocznicy koronacji Bolesława Chrobrego, drugiego aktu naszej państwowości, który zdecydował, iż nie weszliśmy w skład Rzeszy Niemieckiej. Dziś historia zatacza koło i szydzi, bo właśnie stajemy się poniekąd jej częścią, bo cały proces scalania Europy w państwo federacyjne przebiega dokładnie tak jak jednoczenie Niemiec przez Prusy Bismarcka.

PSIECI – DZIECI UNII

Kosmopolityczne środowisko Rafała Trzaskowskiego, które odczuwa większą solidarność z europejską klasą panującą niż z własnymi rodakami, będzie przekonywać, iż całkowite zanurzenie się w struktury unijne przyniesie Polakom korzyści. Tymczasem największe zagrożenia – poza tym oczywistym ze strony barbarzyńskiej Rosji – przychodzą do Polski z Europy Zachodniej. Przyjęcie jej dzisiejszej kultury, choćby ideologii LGBT+, woke czy klimatyzmu sprawia, że dosłownie wymieramy jako naród.

To nie my wymyśliliśmy, że dzieci stanowią egzystencjalne zagrożenie dla planety, tylko importowaliśmy tę obłąkańczą ideę. Żyjemy w cywilizacji, w której by wypełnić emocjonalną pustkę, synów i córki mają zastąpić koty czy psy – psieci. Żadne programy demograficzne nic nie zmienią, dopóki nie odrzuci się kultu społecznego samobójstwa, idei, iż celem naszego bytowania jest chwilowa przyjemność tu i teraz. Życie jako uciecha, więc „po nas choćby potop" – mówiła markiza de Pompadour, kochanka Ludwika XV. Możemy to sparafrazować: po nas choćby psieci, bo co może zbudować człowiek, społeczeństwo, które swój świat ma zostawić nie następnym pokoleniom, tylko właśnie psom?

Takie koncepty wydają się odległe od bieżącej kampanii prezydenckiej, ale przecież nie bez powodu uznajemy Rafała Trzaskowskiego za herolda takiej unijnej cywilizacji. Pozbawiony polotu lider nie przeciwstawi się jej, tylko jako prezydent będzie trwał i uroczyście występował, a Polska będzie się starzeć razem z nim.

SABAH AL-CHEJR ZAMIAST BONJOUR

Kolejnym wręcz egzystencjalnym zagrożeniem dla polskości jest szaleństwo imigracyjne. Nie miejmy złudzeń, Rafał Trzaskowski nie zrobi nic, by powstrzymać zalew Polski przybyszami obcymi kulturowo. On chce Polski takiej, jak Zachód Europy, co oznacza całe połacie kraju zmienione w zony, gdzie państwo zostało zastąpione przez klany i gangi, permanentne niepokoje społeczne czy trwanie, jak Francja i Belgia, na skraju wojny domowej. 42 proc. Francuzów uważa, że do niej dojdzie, a 80 proc. obawia się wielkich rozruchów związanych z islamizacją.

Dziś wchodzimy w procesy, które były udziałem Zachodniej Europy dwie, trzy dekady temu i albo teraz je powstrzymamy, albo jak Francja zaczniemy stawać się państwem muzułmańskim, nie tylko religijnie, lecz także kulturowo.

Dziś nad Sekwaną jest więcej praktykujących muzułmanów niż katolików. Wedle raportu Centrum Kontroli Migracji w ciągu trzech ostatnich lat Brytyjczycy wydali na utrzymanie bezrobotnych imigrantów 24 mld funtów.

eprasa.pl e8ec1033af

W Niemczech blisko 80 proc. sprawców zbiorowych gwałtów to imigranci lub osobnicy z rodzin imigranckich. 58 proc. skazanych w Szwecji za gwałty to imigranci. 80 proc. aresztowanych w Barcelonie przestępców to cudzoziemcy. 61 proc. wiedeńczyków twierdzi, że z powodu imigracji ich miasto jest w coraz gorszym stanie.

Dla PO i Trzaskowskiego te tematy nie istnieją, tymczasem to rzeczywistość, którą zafundują nam w imię jakiejś tam europejskiej solidarności.

> Polska jako nienormalność, by zacytować Donalda Tuska, jest bytem do likwidacji. Rafał Trzaskowski nie określi tak Rzeczypospolitej, ale będzie szczerze i gorliwie uczestniczył w wymazywaniu polskości, bo powinna być ona zastąpiona czymś lepszym

SKANSEN W GETCIE

Całkowita integracja z Unią, której chce Trzaskowski, może oznaczać, że przestaniemy się rozwijać, że osiągnęliśmy pułap dobrobytu. Unia Europejska jest dziś realnie biedniejsza niż w 2008 r., a my wraz z nią nakładamy na naszą gospodarkę kolejne pęta szaleństw klimatyzmu. Jeśli scalona z Unią Polska zacznie robić to, co Zachód Europy, jak on zacznie biednieć, za 15 lat będziemy wspominać 2024 r. jako rok największego dobrobytu.

Minęło 21 lat, odkąd wstąpiliśmy do Wspólnoty. Ledwie trzy lata: 2004–2007 były czasem spokoju – bez kryzysów gospodarczych, finansowych, społecznych. Kryzysy przestają być chwilowym odstępstwem od normy, a stają się normą. Tony Murphy, szef Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, uważa, że jeśli nic się nie zmieni, to do 2028 r. Unia zbankrutuje. Pozostaniemy z miliardami pożyczek do spłacenia. Tymi samymi, którymi chwali się dziś rząd Donalda Tuska, w jednej grupie żyrantów z bankrutami jak Francja, Włochy, Hiszpania, Grecja.

Wedle raportu Margrethe Vestager, byłej komisarz ds. cyfryzacji, osiągnięcie celów wyznaczonych w projekcie Europejskiej Dekady Cyfrowej – chodzi m.in. o wdrożenia sztucznej inteligencji – w obecnym tempie zajmie Unii 100 lat. Elon Musk co trzy dni wysyła w kosmos rakietę z satelitami. W 2024 r. UE przeprowadziła trzy starty, z czego dwa udane. W 2025 r. żadnego sukcesu. Wystrzelona w marcu niemiecka Spectrum eksplodowała 40 sek. po starcie. Unia zamienia się nie tylko w imigranckie getto z zonami no go, lecz także w cywilizacyjny skansen.

To wokół tego unijnego klubu nieudaczników kręci się cała kampania Rafała Trzaskowskiego. Nie można zachwalać sukcesów gospodarczych rządu, bo ich nie ma. Trzaskowski sam nie chce być twarzą „wehrhafte Demokratie" – demokracji walczącej, więc do lansu została mu mityczna Europa. Już na swej ubiegłorocznej sponsorowanej przez Niemcy imprezie Campus Polska Przyszłości jak na seansie motywacyjnym dla sprzedawców opowiadał z infantylną gorliwością: „W momencie kiedy Niemcy są słabe, kiedy nie ma żadnego niemieckiego przywództwa, kiedy nie widać ich w polityce europejskiej, wciąż straszą Berlinem (opozycja). To Polska rozdaje karty".

Oczywiście po tym mitycznym przywództwie Polski w Europie nie ma śladu. Nawet prezydencja jest całkowicie zmarnowana szansą. Została tylko maniakalna paplanina propagandowa jak w czasie debaty – co 22 sek. zaklęcia: Unia i Europa. To ku niej, tej rozlazłej, gnuśnej, zepsutej i skorumpowanej ojczyźnie eurokracji, monsieur Bonjour będzie prowadził likwidowaną Polskę.

Fot. Zuzanna Kruschewska

eprasa.pl e8ec1033af

Rewolucja, która dokonuje się na naszych oczach

Rewolucja dronowa dopiero się zaczęła i będzie przyspieszać. Przede wszystkim dlatego, że są to systemy dziesiątki razy tańsze od tradycyjnych, ciężkich i bardzo drogich platform bojowych, które nie sprawdzają się w realiach współczesnego pola walki

MAREK BUDZISZ

Roman Kostenko, szef komisji obrony ukraińskiego parlamentu, powiedział niedawno – a jego słowa przytoczył, nadając im wiarygodności, dziennik „The Financial Times" – że „drony spowodowały lub przyczyniły się" do 80 proc. rosyjskich strat w obecnej fazie wojny na Ukrainie. Jego opinie potwierdzają badania, które opublikowano w jednym z czasopism wojskowych wydawanych w Moskwie. Grupa naukowców stwierdziła, że trzy czwarte „strat osobowych" po rosyjskiej stronie – chodzi zarówno o zabitych, jak i rannych – jest związanych z aktywnością ukraińskiej „armii dronów".

Nawet jeśli uznamy, że te dane są zawyżone w związku z faktem, iż na froncie od kilku miesięcy nie przeprowadza się operacji zaczepnych na większą skalę, co może powodować, iż artyleria nie jest eksploatowana tak intensywnie jak wcześniej, to i tak mamy do czynienia ze znaczącymi zmianami. Jak w styczniu ujawnił gen. Syrski dowodzący ukraińskimi siłami zbrojnymi, może działa milczą dlatego, że 66 proc. rosyjskich strat w sprzęcie jest efektem działania ukraińskiej „armii dronów", przede wszystkich systemów SPV, czyli naprowadzanych na cel przez operatora.

W lutym gen. bryg. Jurij Szczyhol, jeden z koordynatorów operacji powietrznych dalekiego zasięgu wywiadu Ukrainy, powiedział w rozmowie z brytyjskim dziennikiem „The Times", że 20 z 30 rosyjskich baz strategicznych już zostało zaatakowanych i w niemałej części zniszczonych przez ukraińskie drony dalekiego zasięgu, a zdolności Kijowa stale rosną. „W 2022 r. mogliśmy produkować do pięciu dronów dalekiego zasięgu miesięcznie" – przyznał. „Teraz ta liczba przekracza 500 i nadal zwiększamy tempo". Jego zdaniem w efekcie „Rosja straciła możliwość wykorzystania do ataku na Ukrainę lotnisk wojskowych w promieniu 300 km, bo infrastruktura niezbędna do ich pracy, tankowania, naprawy, konserwacji została zniszczona przez nasze uderzenia".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e8ec1033af

DRONOWA POTĘGA

Skuteczność ukraińskich ataków wzrosła po tym, jak zmieniono taktykę walki. Obecnie drony dalekiego zasięgu wystrzeliwuje się z różnych pozycji, co utrudnia rosyjskiej obronie przeciwlotniczej działanie, a dodatkowo uderzenia na cele strategiczne są poprzedzane wysłaniem „dronów wabiących", których pojawienie się zmusza Rosjan do aktywowania obrony przeciwlotniczej, której pozycje są w efekcie ujawnione i niszczone, co zwiększa skuteczność ataków.

W styczniu prezydent Zełenski powiedział publicznie, że w związku z „rewolucją dronową", a także dlatego, że wzrosła produkcja uzbrojenia, zmienia się sytuacja na froncie. Obecnie 33–34 proc. broni wykorzystywanej na froncie pochodzi z firm ukraińskich, kolejne 30 proc. to dostawy Europejczyków, a 40 proc. od koncernów amerykańskich. To wyjaśnia rosnącą asertywność Kijowa, który nie chce się zgodzić na zawieszenie broni na niekorzystnych dla siebie warunkach proponowanych choćby przez Stevena Witkoffa, specjalnego wysłannika Trumpa, który niedawno przez niemal cztery godziny rozmawiał w Petersburgu z Putinem.

Gdyby rozpatrywać wyłącznie systemy bezzałogowe, to Ukraina jest niemal samowystarczalna, bo jak wynika z deklaracji zarówno premiera Szmychala, jak i ministra obrony Umerowa, tamtejsze firmy w 97 proc. pokrywają zapotrzebowanie walczących na drony.

INNA WOJNA

Zdaniem ekspertów z brytyjskiego think tanku strategicznego RUSI upowszechnienie dronów na polu walki zmienia taktykę. Przeciwnik nie atakuje dużymi siłami, bo ma wielkie problemy z ich koncentracją w bezpośredniej bliskości frontu. Większe zgrupowania żołnierzy, nie mówiąc już o sprzęcie, natychmiast zostają wykryte przez setki dronów wiszących w powietrzu i natychmiast są atakowane. W związku z tym Rosjanie rzadko nacierają grupami większymi niż kilka, kilkanaście osób, uderzenia przeprowadzane siłą kompanii są sporadyczne. W efekcie, nawet jeśli Moskalom uda się przełamać ukraińskie linie obrony, to – nie będąc w stanie koncentrować znaczącego potencjału wojskowego w drugim rzucie – nie będą mogli tego wykorzystać, by wedrzeć się daleko na tyły obrońców. W związku z aktywnością dronów rozszerzeniu uległa też strefa walk. O ile na początku wojny miała ona szerokość maksymalnie 5 km, o tyle teraz mówi się o 20 km, a to wpływa też na sposób użycia sprzętu, który został odsunięty od linii frontu, ponieważ może zostać natychmiast wykryty i zniszczony.

Gdyby rozpatrywać wyłącznie systemy bezzałogowe, to Ukraina jest niemal samowystarczalna, bo jak wynika z deklaracji zarówno premiera Szmychala, jak i ministra obrony Umerowa, tamtejsze firmy w 97 proc. pokrywają zapotrzebowanie walczących żołnierzy na drony

Te zmiany łatwo dostrzec, jeśli się śledzi to, o czym piszą zachodnie media. Dziś w przekazach nie dominuje już kwestia dostaw czołgów, transporterów opancerzonych czy nawet amunicji artyleryjskiej, o czym intensywnie dyskutowano jeszcze w 2023 r. Teraz nacisk kładziony jest na systemach walki radioelektronicznej, obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, a wynika to z faktu, że wojna zmieniła oblicze. Zresztą obie strony w przyspieszonym tempie reformują swoje armie. Według Syrskiego niedawno ukraiński wywiad informował o formowaniu przez Rosjan nowego typu wojsk – oddziałów systemów bezzałogowych. Do 2030 r. Moskale planują mieć 210 tys. żołnierzy w 277 jednostkach wojskowych tego typu. W podobną stronę idą też Ukraińcy.

Rewolucja dronowa ma jeszcze większy wpływ na to, jak postrzega się przyszłą wojnę na morzu. Zaangażowany w prace think tanku AEI gen. mjr John Ferrari powiedział niedawno, że „jeśli Ameryka chce utrzymać swą supremację na morzu", to powinna przestać myśleć o gonieniu Chin w budowie nowych okrętów, a postawić na systemy bezzałogowe. W jego opinii jedynie budowa dużej liczby dronów morskich, nawodnych, ale przede wszystkim podwodnych, wspomaganych sztuczną inteligencją, daje Ameryce szansę na nawiązanie rywalizacji z Chinami, które dziś wodują sto raz więcej statków i okrętów niż Stany Zjednoczone. Nie chodzi przy tym o likwidację starych platform bojowych w rodzaju fregat, niszczycieli czy lotniskowców, ale o przesunięcie uwagi na budowę nowych zdolności.

Opinia Ferrariego, mimo że jest on oficerem sił lądowych, a nie marynarki wojennej, została w USA potraktowana poważnie. Być może dlatego, że za oceanem trwa już dyskusja na temat operacyjnych i taktycznych skutków „rewolucji dronowej". Eksperci wywodzący się z tradycyjnych mocarstw morskich – Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii – w wielu raportach i wypowiedziach podkreślają znaczenie przełomu na Morzu Czarnym. Ukraińcy, nie dysponując marynarką wojenną (bo została ona zniszczona w pierwszej fazie wojny) i wykorzystując systemy bezzałogowe w postaci dronów morskich Magura, zmusili do wycofania się silnej rosyjskiej Floty Czarnomorskiej do wschodniej części akwenu. Po zniszczeniu niemal jednej trzeciej rosyjskiego potencjału – bo taką liczbę okrętów udało się Ukraińcom zatopić lub uszkodzić – Kijów był w stanie odblokować korytarz trans-

eprasa.pl e8ec1033af

portowy, co spowodowało, że wolumen wywozu ukraińskiego zboża przez porty czarnomorskie przewyższa obecnie poziom sprzed wojny.

Ukraina, operując dronami morskimi dalekiego zasięgu (nowe generacje systemów Magura mogą atakować nawet na odległość 1,2 tys. km), osiągnęli to, co w strategii morskiej określa się mianem „sea denial". Nie kontrolują Morza Czarnego, ale takiej kontroli nie są też w stanie zagwarantować sobie Rosjanie mimo olbrzymiej przewagi w liczbie i tonażu posiadanych okrętów. Ukrainie to wystarczy, bo nie musi panować na tym akwenie, aby osiągnąć swe główne cele, czyli odblokowanie tras żeglugowych do swoich portów. Jeśli zatem drony morskie wystarczą, aby udaremnić blokadę przeciwnika, to może – a takie dyskusje trwają teraz w środowiskach wojskowych na Zachodzie – aby udaremnić odcięcie od świata Tajwanu, wcale nie jest potrzebna tradycyjna marynarka wojenna?

STARTUJĄC OD ZERA

Dla zachodnich obserwatorów ukraińskie doświadczenia są tak inspirujące, bo Kijów zaczynał swą przygodę z dronami niemal od zera. Jak wynika z opublikowanego w tym miesiącu wspólnego raportu Massachusetts Institute of Technology i Kijowskiej Wyższej Szkoły Ekonomii, 90 proc. firm produkujących drony, które powstały po 2014 r., nie dotrwało do wybuchu wojny. Po rosyjskim ataku wszystko zaczęło się od nowa, a dziś na Ukrainie w tym segmencie działa ponad 500 przedsiębiorstw. Znacznie więcej jest grup badawczych i konstruktorskich. Z danych opublikowanych przez specjalną platformę Brave1, która została uruchomiona przez ukraińskie Ministerstwo ds. Cyfryzacji, aby łatwiej wymieniać się informacjami, pomysłami i kontaktami, w ciągu półtora roku jej działania zarejestrowało się na niej 1,4 tys. zespołów konstrukcyjnych i badawczych, zgłoszono 3,2 tys. projektów i rozdysponowano 400 grantów o wartości 10,5 mln dol.

Startując od zera, w 2024 r. ukraińskie firmy produkujące systemy bezzałogowe dostarczyły walczącym 2,7 mln konstrukcji, a produkcja przyspiesza, bo tylko w pierwszym kwartale tego roku dostawy osiągnęły już wielkość 1,25 mln sztuk. Jak wynika z przywoływanego raportu MIT i Kijowskiej Szkoły Ekonomii, w ub.r. ukraińskie firmy koncentrowały się na zastępowaniu chińskich podzespołów własnymi i dziś w zależności od modeli 40–70 proc. części produkują sami. Zwiększały też własne moce produkcyjne, a także opracowywały nowe typy bezzałogowców.

W czasie wojny na Ukrainie powstał cały przemysł dronowy, którego zdolności wytwórcze przekraczają zapotrzebowanie frontu i w związku z tym producenci coraz silniej naciskają na władze, aby te zniosły zakaz eksportu. Nabywcy są zainteresowani ukraińskimi konstrukcjami, bo są one tanie, sprawdzone w warunkach frontowych, a nie jedynie na poligonach, a ukraińscy konstruktorzy z powodzeniem konkurują jakością dostarczanych przez siebie rozwiązań. Dość powiedzieć, że amerykański The Defence Inovation Unit odpowiadający w Pentagonie za przyswajanie nowatorskich rozwiązań technologicznych właśnie rozstrzygnął pierwszy przetarg na nowe konstrukcje bezzałogowe. W pierwszym etapie do prób poligonowych dopuszczono 165 projektów, do drugiego zakwalifikowano cztery konstrukcje, z których dwie to wspólne amerykańsko-ukraińskie joint ventures. Ostatnio Ukraińcy testowali na froncie drony lądowe zdolne do ewakuowania rannych na dystansie przekraczającym 20 km, a także dostarczające na pierwszą linię amunicję i zaopatrzenie. Opracowali drony światłowodowe, które nie są podatne na zakłócenia sygnału i mogą atakować na głębokość ponad 20 km. Używają również drony matki, które podwożą mniejsze systemy w bezpośrednią bliskość pola walki, zwiększając tym samym zasięg ich oddziaływania.

Zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy mają w swych arsenałach systemy bezzałogowe, które mogą zestrzeliwać drony, a nawet śmigłowce przeciwnika. Produkowane teraz drony morskie mają działka pokładowe, są też wyposażone w wyrzutnie rakietowe, nie muszą zatem uderzać bezpośrednio w cel. Ukraińcy opracowali również drony rakietowe dalekiego zasięgu mające podobne parametry do tradycyjnych rakiet manewrujących, za to dziesięciokrotnie tańsze.

Wyścig technologiczny przyspiesza z każdym miesiącem. Dowództwo amerykańskich marines zastanawia się, czy drony SPV, czyli takie, które są naprowadzane na cel przez operatora, nie zastąpią broni indywidualnej, bo są skuteczniejsze i mają większy zasięg. Powstają też nowe konstrukcje antydronowe. Brytyjczycy zaprezentowali właśnie system RFDEW, który emitując fale radiowe wysokiej częstotliwości, niszczy jednocześnie wiele systemów bezzałogowych przeciwnika. Ukraińcy pokazali system Tryzub – działo laserowe, przeznaczone do zwalczania dronów. Podobne mają już Amerykanie, Brytyjczycy i Izraelczycy. Odpowiedzią na ich działania są systemy światłowodowe.

NIE TYLKO NA FRONCIE

Rewolucja dronowa dopiero się zaczęła i będzie przyspieszać. Przede wszystkim dlatego, że są to systemy dziesiątki razy tańsze od tradycyjnych, ciężkich i bardzo drogich platform bojowych, które nie sprawdzają się w realiach współczesnego pola walki. Amerykańskie abramsy, które trafiły na front na początku ub.r., nie odegrały żadnej roli, a ich większa część została już zniszczona lub uszkodzona. Teraz z Ukrainy napływają informacje o podobnej nieprzydatności niemieckich leopardów. Nie ma zatem sensu wydawać miliardów dolarów na budowę platform bojowych, które są niszczone za pomocą drona wartego kilkaset dolarów.

A drony mają jeszcze jedną przewagę nad czołgiem. O ile abramsów czy leopardów nie zastosujemy w celach pokojowych, o tyle systemy bezzałogowe już tak. W Chinach jedna trzecia pól jest obecnie obsiewana przy użyciu dronów, a najnowsze modele samochodów elektrycznych są zaopatrzone we własne systemy nawigacyjne, w których drony odgrywają kluczową rolę. To zaś oznacza, że państwo, które osiągnie przewagę w rewolucji dronowej, będzie mogło spożytkować swe zdobycze nie tylko na wojnie, lecz także w innych dziedzinach, wyprzedzając w ten sposób rywali.

eprasa.pl e8ec1033af

Patron internetu i millenialsów

Kanonizacja Carla Acutisa to znak, że Kościół dociera ze swoim przesłaniem także do pokolenia wychowanego w erze cyfrowych mediów

27 kwietnia, w Niedzielę Bożego Miłosierdzia, Kościół katolicki kanonizuje Włocha Carla Acutisa, który zostanie pierwszym świętym z pokolenia millenialsów. Młodzieniec zmarł na białaczkę w 2006 r. w wieku zaledwie 15 lat. Jest uważany za patrona internetu.

GRZEGORZ GÓRNY

DUCHOWA PRZEWODNICZKA Z POLSKI

W biografii Acutisa można odnaleźć wątki polskie. Wśród jego przodków był m.in. Jan Perłowski, w okresie międzywojennym dyplomata i poseł RP w Hiszpanii, którego wnuczka Maria Henrietta była babką Carla. W formacji religijnej chłopca dużą rolę odegrała także jego polska niania o imieniu Beata, która opiekowała się nim w dzieciństwie.

On sam urodził się w 1991 r. w Londynie we włoskiej rodzinie, która pozostawała obojętna religijnie. Co prawda jego rodzice byli ochrzczeni, ale nie praktykowali wiary. Matka Antonia Salzano opowiadała, że była w kościele tylko trzy razy w życiu: podczas pierwszej komunii, bierzmowania i ślubu. W Anglii małżonkowie przebywali z powodów zawodowych, ponieważ ojciec chłopca Andrea pracował w banku inwestycyjnym Lazard. Powrócili do Włoch, gdy ich syn miał pięć miesięcy. W ciągu kilku następnych lat wiarę przekazywała mu młoda polska opiekunka, ucząc go pierwszych modlitw i prowadząc do kościoła.

W 1995 r. zmarł ukochany dziadek Carla, który wkrótce potem przyśnił mu się, mówiąc, że znajduje się w czyśćcu i prosi o modlitwę. Poruszony czterolatek zapytał nianię, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Beata podpowiedziała mu więc, jak według nauki Kościoła można wspomagać dusze czyśćcowe.

Chłopca coraz bardziej pociągał świat duchowy. Chłonął wiedzę o wydarzeniach biblijnych i losach świętych. Miał coraz więcej pytań do swoich rodziców, jednak oni najczęściej nie potrafili mu odpowiedzieć. To ich zawstydzało, a zarazem zmuszało do pogłębiania własnej wiedzy religijnej, by w oczach własnego dziecka nie stracić autorytetu przynależnego rodzicom. W ten sposób syn wciągał ich w świat wiary. Z czasem zaczęli mu towarzyszyć w nabożeństwach.

„AUTOSTRADA DO NIEBA"

Carlo był szczególnie zafascynowany obecnością Jezusa w Eucharystii. Nalegał, by jak najwcześniej przystąpić do pierwszej komunii. Uzyskał taką zgodę, gdy miał siedem lat. Od tamtego czasu starał się codziennie uczestniczyć we mszy. Regularnie odmawiał różaniec, czytał Biblię i co tydzień się spowiadał. Zarazem był jednak normalnym chłopakiem – grał z kolegami w piłkę, chodził na zajęcia karate, uczył się gry na saksofonie i kręcił filmy wideo. Okazał się też prawdziwym geniuszem komputerowym – już w wieku dziewięciu lat przestudiował podręcznik informatyki na poziomie uniwersyteckim i nauczył się programowania.

Gdy miał 11 lat, zaczął tworzyć własną stronę internetową poświęconą cudom eucharystycznym uznanym oficjalnie przez Kościół. W ten sposób postanowił oddać swoje umiejętności na służbę temu, co pociągało go najbardziej. Centrum życia odnajdował bowiem w Eucharystii, którą nazywał „swoją autostradą do nieba". Zarazem czuł się zobowiązany, by dzielić się tym skarbem z innymi. Marzył, by wykorzystać internet jako narzędzie ewangelizacji.

eprasa.pl e8ec1033af

Po części mu się to udało. Strona internetowa, którą zaprojektował, jest dostępna w 17 wersjach językowych. Na podstawie zebranych przez niego materiałów stworzono też objazdową wystawę planszową o cudach eucharystycznych, którą eksponowano już w tysiącach miejsc na wszystkich kontynentach (tylko w Stanach Zjednoczonych objechała ona 10 tys. parafii).

Jesienią 2006 r. u Carla zdiagnozowano agresywną formę białaczki. Świadomy, że zostało mu niewiele czasu, zdecydował się ofiarować swoje cierpienia „Bogu, papieżowi Benedyktowi XVI i Kościołowi, by nie trafić do czyśćca, lecz prosto do nieba". Wkrótce potem zmarł. Przed śmiercią prosił, by pochowano go w Asyżu (mieście jego ulubionego świętego), gdzie jego rodzina miała dom letniskowy. Wola Carla została spełniona i ciało chłopca spoczęło na miejscowym cmentarzu, skąd później przeniesiono je do tamtejszej bazyliki Santa Maria Maggiore.

DROGA NA OŁTARZE

W 2013 r. w Mediolanie rozpoczął się proces beatyfikacyjny Acutisa. Na wniosek „adwokata diabła" postanowiono sprawdzić, czy Carlo nie wchodził w internecie na strony erotyczne lub pornograficzne (jak wielu jego rówieśników). Informatycy, stosując techniki kryminalistyczne, drobiazgowo przeanalizowali pamięć jego komputera i nie znaleźli nawet najmniejszego śladu niewłaściwej aktywności.

Ogłoszenie Carla błogosławionym wymagało uznania cudu dokonanego za jego wstawiennictwem. Takim wydarzeniem okazało się niewytłumaczalne z medycznego punktu widzenia uzdrowienie sześcioletniego Matheusa, brazylijskiego chłopca, który cierpiał na wrodzoną anatomiczną anomalię trzustki. Z powodu tej choroby dziecko nie rozwijało się prawidłowo, ponieważ wymiotowało niemal wszystko, co zjadło i wypiło.

12 października 2013 r. (w siódmą rocznicę śmierci Acutisa) w kościele św. Sebastiana w Campo Grande odbyło się publiczne wystawienie relikwii Carla. Matheus dotknął ich, prosząc, by nigdy więcej już nie wymiotował. Jego choroba ustała. Przeprowadzone w kolejnych latach badania kliniczne wykazały, że deformacja trzustki ustąpiła samoczynnie, organ wygląda i pracuje prawidłowo, a wzrost i waga pacjenta pozostają w normie. Komisja Medyczna przy Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych uznała, że uzdrowienie było natychmiastowe, całkowite, trwałe i niewytłumaczalne. Ten cud otworzył drogę do beatyfikacji, która odbyła się w 2020 r. w Rzymie.

Zanim to nastąpiło, 23 stycznia 2019 r. przeprowadzono ekshumację, by dokonać kanonicznego rozpoznania szczątków młodego sługi Bożego. Jakież było zdziwienie naocznych świadków, gdy okazało się, że ciało Acutisa nie uległo rozkładowi, mimo że nie poddano go działaniu żadnych środków balsamujących czy konserwujących.

Drugie nadprzyrodzone wydarzenie potrzebne do kanonizacji nastąpiło w 2022 r., gdy 21-letnia Kostarykanka Valeria Valverde, studiująca wówczas we Florencji, uległa poważnemu wypadkowi rowerowemu i doznała ciężkiego urazu głowy. Lekarze oceniali jej stan jako krytyczny, jednak niespodziewanie wróciła do pełni zdrowia. Stało się to po tym, jak jej matka Liliana modliła się przy grobie błogosławionego Acutisa, prosząc o wstawiennictwo w ocaleniu córki.

ZNAKI Z INNEGO ŚWIATA

Dla wielu znacznie większymi cudami są jednak nawrócenia na katolicyzm, które dokonały się dzięki Carlowi. Jednym z nich jest przypadek Rajesha Mohura, bramina z hinduskiej kasty kapłańskiej, który pracował dla Andrei Acutisa. Gdy widział, jak włoski nastolatek zainspirowany postacią św. Franciszka z Asyżu pomagał w Mediolanie biednym i bezdomnym, przynosząc im jedzenie i odzież, postanowił przyjąć chrzest.

> Pierwszymi, którzy doświadczyli duchowego oddziaływania chłopca, byli jego rodzice. Antonia Salzano mówi, że syn ją uratował, ponieważ była religijną analfabetką, a dzięki niemu mogła zbliżyć się do Boga

Jednak pierwszymi, którzy doświadczyli duchowego oddziaływania chłopca, byli jego rodzice. Antonia Salzano mówi, że syn ją uratował, ponieważ była religijną analfabetką, a dzięki niemu mogła zbliżyć się do Boga. Dziś ma nadzieję, że trafi przynajmniej do czyśćca.

Przed śmiercią matka powiedziała synowi, by poprosił Boga o znak swej obecności. Odpowiedział: „Nie martw się, mamo. Dam ci mnóstwo znaków". Carlo przepowiedział jej wówczas, że zostanie matką więcej niż jednego dziecka, choć ona sama uważała, że jest to niemożliwe. W 2010 r., mając 43 lata, urodziła bliźnięta: Michele i Francescę.

Innymi znakami są tysiące listów od ludzi z całego świata, którzy piszą do niej zafascynowani postawą jej syna. Wielu z nich zna założoną przez niego stronę internetową, która dziś jest administrowana przez stowarzyszenie Przyjaciele Carla Acutisa. W 2014 r. zainicjowało ono nowy projekt – portal poświęcony uznanym przez Kościół objawieniom maryjnym.

Jeśli święci są kulturowym wskaźnikiem relacji między religią a społeczeństwem, to popularność „patrona internetu" wśród millenialsów oznacza, że przekaz Kościoła dociera także do pokolenia wychowanego w erze cyfrowych mediów. To przestrzeń pełna zagrożeń, o czym przypomina ostrzeżenie Acutisa: „Wszyscy rodzą się jako oryginały, ale wielu umiera jako fotokopie".

Jego matka pytana, czy nie czuje straty po przedwczesnej śmierci syna, odpowiada: „Uczyniłam swoją modlitwę Hioba: »Pan dał, Pan wziął, niech będzie błogosławione imię Jego!« Dzieci nie są naszą własnością, zostały nam powierzone. Czuję, że teraz Carlo jest bardziej obecny niż za życia".

eprasa.pl e8ec1033af

Z pierwszej odsłony globalnej batalii celnej Donald Trump wychodzi poobijany i osłabiony

Trump nie wie, co robić dalej

JAN ROKITA

O „tariffs" (cłach) jeszcze nie tak dawno prezydent mówił jako o „najpiękniejszym słowie języka angielskiego". Ta typowo trumpistowska metafora miała symbolizować pewność siebie i świetne przygotowanie nowej republikańskiej ekipy do przeprowadzenia globalnej batalii celnej. Stało się jednak inaczej.

„DZIEŃ WYZWOLENIA" DNIEM PORAŻKI

Skomasowany efekt reakcji rynków (czyli *de facto* giełd i bankierów) oraz kluczowych rządów państw obłożonych cłami, a także coraz głośniejsze pomrukiwania i naciski współpracowników, zmusiły prezydenta do spektakular-

eprasa.pl e8ec1033af

Fot. Molly Riley/Official White House Photo

części – swoich współpracowników. Choćby Elona Muska, który „dzień wyzwolenia", w którym wysokie cła miały zostać nałożone również na Europę, uznał za najlepszy moment do opowiedzenia się za zniesieniem wszelkich ceł i barier w handlu między Ameryką i Europą.

Tymczasem spadki wartości akcji, jakie nastąpiły po „dniu wyzwolenia", objęły nie tylko firmy chińskie czy europejskie, lecz także dotkliwie uderzyły w akcjonariuszy amerykańskich.

> Wielki paradoks nieudanej jak dotąd operacji „dnia wyzwolenia" polega na tym, że co do zasady Trump ma w tej sprawie fundamentalną rację. W zasadzie ekonomia nie ma sztywnych prawideł, ale z pewnością nie znosi wszelkiej nierównowagi

I trudno było nie odnieść wrażenia, iż rząd Trumpa nie był przygotowany na polityczne poradzenie sobie z tym zjawiskiem. A przecież nie trzeba nawet fachowej wiedzy o gospodarce, aby rozumieć, że skoro cła podwyższają koszty także dla amerykańskich firm – zależnych od importu surowców czy elektroniki – to ich akcjonariusze muszą być niezadowoleni i wyprzedawać swoje papiery. Jeśli więc ludzie Trumpa jeszcze od czasu kampanii wyborczej przygotowywali nowy globalny system ceł, powinni doskonale wiedzieć, jak odpowiedzą na takie nieuchronne u początków całej operacji załamanie na giełdach.

Tymczasem sam prezydent, który zaraz po „dniu wyzwolenia" wyjechał grać w golfa, jak i jego czołowi ministrowie gospodarczy sprawiali najpierw wrażenie takie, jakby nie dostrzegali reakcji rynkowych. A kiedy w końcu zostali zmuszeni do ich zauważenia, to nieprzekonująco sugerowali, iż dla rządu są one bez znaczenia. Gdyby jednak naprawdę były bez znaczenia, to amerykańskie cła zapewne obowiązywałyby do dziś.

Na dodatek giełdowe spadki dały nagle paliwo zmasowanej i też przecież łatwej do przewidzenia kampanii nienawidzących Trumpa wielkich mediów z CNN i „New York Timesem" na czele, które od 2 kwietnia z premedytacją wytwarzały atmosferę rynkowej paniki. A także z satysfakcją niemal co parę godzin wyliczały, jaka to część majątku Muska, Zuckerberga, Bezosa i innych potentatów wspierających Trumpa właśnie „wyparowała" na skutek giełdowego zamętu. Tymczasem prezydent robił wrażenie, jakby i na to nie miał żadnej przemyślanej i przygotowanej odpowiedzi.

REAKCJA EUROPY I CHIN

Podobnie rzecz się miała z obcymi rządami, w tym dwoma najważniejszymi z perspektywy operacji celnej: Chin i Europy.

Co prawda w Europie (zresztą jak zawsze na naszym kontynencie) reakcje na amerykański „dzień wyzwolenia" były różne, od wojowniczych, antyamerykańskich nawoływań Emmanuela Macrona po ostrożne i zdroworozsądkowe podejście Giorgii Meloni, która mimo ostrej krytyki Francuzów natychmiast na własną rękę wybrała się do Białego Domu.

W każdym razie w Brukseli w ciągu kilku dni zdecydowano o umiarkowanie twardej odpowiedzi unijnej, lecz za to sprokurowanej dość inteligentnie, tak by uderzyć europejskimi cłami odwetowymi w firmy ważne dla rynku pracy i rozwoju „czerwonych", czyli republikańskich stanów USA. Świetnym przykładem mogą być cła odwetowe na soję produkowaną w Luizjanie, co musiało zaniepokoić kluczowego człowieka Trumpa – spikera Kongresu Michaela Johnsona, który właśnie tam ma okręg wyborczy.

nej rejterady z decyzji, które ogłosił 2 kwietnia w świątecznej atmosferze proklamowanego „dnia wyzwolenia". I choć potem kolejni amerykańscy ministrowie zapewniali, iż cała operacja od początku miała polegać na takim zwodniczym manewrze, chyba mało kto im uwierzył, jeśli obserwował wydarzenia. Zresztą sam prezydent, który zwykle jest bardziej otwarty i szczery od swoich ministrów, nie kryje, że jego decyzje celne sprawiły, iż niektórzy „trochę się zdenerwowali, a nawet przestraszyli".

Można domniemywać, że Trump ma na myśli zarówno giełdy, zagranicznych przywódców, jak i – przynajmniej po

eprasa.pl e8ec1033af

Przypadek chiński jest oczywiście całkiem odrębny z co najmniej dwóch powodów.

Po pierwsze, jak wszyscy rozumieją, tylko Chiny są prawdziwym rywalem ekonomicznym USA, gdyż jedynie Pekin na serio zagraża amerykańskiej hegemonii, a chińskie rzadkie minerały, tanie mikroczipy czy preparaty do produkcji leków są trudne albo wręcz na krótką metę niemożliwe do zastąpienia dla firm amerykańskich. Z nowej analizy na łamach „Foreign Affairs" można się dowiedzieć, że aktualne zdolności produkcyjne Chin są już trzy razy większe niźli USA i przewyższają zsumowane zdolności produkcyjne następnych dziewięciu państw z Indiami, Kanadą, Japonią, Niemcami, Anglią i Francją włącznie. Swoją drogą to zdumiewające, ale w ciągu ostatniego ćwierćwiecza Ameryka stała się liliputem przemysłowym w porównaniu z Chinami.

Po drugie, chińska tyrania jest z natury o wiele bardziej odporna politycznie na skutki wszelkich trudności gospodarczych od amerykańskiej demokracji. W kampanii wyborczej Trump obiecał Amerykanom „nowy złoty wiek" oraz „prosperity, jakiej Ameryka nie znała w swej historii", i tylko dlatego mógł wygrać wybory. Tymczasem Xi Jinping od dobrych paru lat przygotowuje Chińczyków na nieuchronne skutki konfrontacji z wrogą Ameryką, co będzie wymagać ogólnonarodowego patriotycznego poświęcenia. Więc znów – można się było spodziewać, że w Pekinie w reakcji na cła Trumpa pójdą w zaparte.

Tak się też stało, a kaskada wzajemnych akcji i reakcji doprowadziła do przekroczenia (i to znacznego) stuprocentowego poziomu wzajemnych ceł, co na zdrowy rozum oznacza realne wstrzymanie olbrzymiej, sięgającej 700 mld dol. amerykańsko-chińskiej wymiany handlowej.

Niektórzy panikarze (np. polscy znawcy tzw. geopolityki) zapowiadają w związku z tym rychłą wojnę chińsko-amerykańską na Pacyfiku. Pewnie na razie jej nie będzie, a relacje gospodarcze obu krajów, doprowadzone do poziomu absurdu, najprawdopodobniej stopniowo zaczną się normalizować w ramach jakiegoś nowego „odprężenia" między supermocarstwami, tak jak niegdyś w relacjach USA z potęgą sowiecką.

Niemniej fakt, iż zarówno Pekin, jak i nawet nieudolna zazwyczaj Bruksela zdecydowały się na odwet, najwyraźniej był dla Trumpa zaskoczeniem. Teraz (a piszę te słowa tuż przed świętami) prezydent niemal każdego dnia stara się robić dobrą minę do złej gry, tłumacząc, iż dobry Xi wcale nie jest takim łobuzem, na jakiego wygląda, bo właśnie szuka sposobów na dokonanie ustępstw, tylko jeszcze nie wie, jak to zrobić. Ale prawdę mówiąc, na razie to Trump wygląda na kogoś, kto intensywnie myśli o negocjacjach i ustępstwach, ale zarazem za nic na świecie nie chce utracić korzystnej dlań reputacji twardziela. I nie wie, jak to zrobić.

PRAWA EKONOMII A POLITYKA

Polityczny kłopot Trumpa polega na w tym, że celny „dzień wyzwolenia" to nie jedyne świadectwo jego nieskuteczności. Pierwszym i zarazem najbardziej spektakularnym jest – rzecz jasna – wojna na Wschodzie, która (pomijając już slogany o zakończeniu jej w 24 godziny) za Trumpa miała zmierzać ku końcowi. Wszyscy jednak widzą, że dzieje się dokładnie odwrotnie – co najmniej od czasu, gdy Moskale odrzucili plan amerykańskiego prezydenta w sprawie bezwarunkowego zawieszenia broni i wrócili do agresywnej praktyki rujnowania rakietami zamieszkałych centrów miast (jak w Sumach przed świętami).

Jeszcze przed formalnym objęciem urzędu przez Trumpa stawiałem na tych łamach hipotezę, że tylko udaje on, iż wie, jak skończyć wojnę. Dziś nie jest to hipoteza, ale oczywisty fakt.

A skoro w dwóch tak kluczowych kwestiach Trump ujawnił już swoją nieskuteczność, nie może dziwić nerwowa obawa Muska i jego kolegów z big tech o skutki ostrego spięcia celnego z Europą. W Unii istnieje przecież silne „postępowe" lobby wspierane przez zainteresowany materialne show-biznes na rzecz mocnego uderzenia w amerykańskie giganty medialne. Nie tak dawno poważni politycy w Berlinie, Paryżu i Warszawie postulowali nawet o europejską delegalizację platformy X, na której daleko posunięta wolność słowa doprowadza ich do prawdziwego szału.

Całe szczęście, że twardo sprzeciwia się temu Irlandia, w której ulokowane są siedziby europejskich firm córek amerykańskich koncernów dające krajowi duże dochody podatkowe. Na razie postępowa pod każdym względem Irlandia bardziej ceni swoje dochody od swej postępowej ideologii. Ale jeśli Unia jakoś ominie albo przeorganizuje jej interesy, to czy Trump będzie wiedział jak obronić żywotne interesy swoich sojuszników z big tech?

Wielki paradoks nieudanej jak dotąd operacji „dnia wyzwolenia" polega na tym, że co do zasady Trump ma w tej sprawie fundamentalną rację. A pełne złości i szyderstw ataki na niego z tego tytułu, które rozlały się po zachodnich mediach, są w znacznie większym stopniu wynikiem stałej, furiackiej wrogości politycznej wobec niego, jego światopoglądu i kierunku ideowego jego rządu niźli rzetelnej oceny kwestii nierównowagi amerykańskiego handlu.

W zasadzie ekonomia nie ma sztywnych prawideł, ale z pewnością nie znosi wszelkiej nierównowagi. Co bardziej przenikliwi analitycy (jak choćby w Polsce niegdysiejszy reformator systemu bankowego Stefan Kawalec) pisali wiele lat temu, iż system, w którym nadwyżki handlowe strefy euro i Chin idą w setki miliardów dolarów, pewnego dnia musi doprowadzić do kryzysu.

Przecież trudno było sobie wyobrażać, że Stany Zjednoczone zawsze będą się bezczynnie przyglądać, jak do końca znika ich przemysł, a Amerykanie mają już do wyboru tylko pomiędzy towarami europejskimi i azjatyckimi. Obama i Biden zauważyli problem, ale bali się coś z nim zrobić. Trump rozpoczął akcję, która w pierwszej odsłonie musiała prowadzić do kryzysu. Wybuchł on wieczorem 2 kwietnia, w „dniu wyzwolenia".

Rzecz tylko w tym, że w efekcie Trump zaczął sprawiać takie wrażenie, jakby ów kryzys go całkiem zaskoczył, więc trochę się cofa i nie wie, co ma robić dalej. Dokładnie tak samo, jak z zakończeniem wojny na Wschodzie.

eprasa.pl e8ec1033af

Pierwszy król Polski Bolesław Chrobry

Fot. olona.pl

Tysiącletnia przyjaźń

W Wielki Piątek w Polsce była obchodzona 1000. rocznica koronacji Bolesława Chrobrego – milenium powstania chrześcijańskiego Królestwa Polskiego. To wydarzenie w zasadniczy sposób zdeterminowało historyczny rozwój Europy Środkowej, a w tym także przyjaźń polsko-węgierską

Dwa młode państwa w centrum Europy i dwaj wybitni władcy – Bolesław Chrobry i św. Stefan, dążący do zbudowania podwalin niezależnego państwa chrześcijańskiego w obliczu zagrożeń płynących ze wschodu i zachodu – już od zarania mogli się stać wrogami, ponieważ ich wysłannicy niemal jednocześnie przybyli do papieża Sylwestra II, aby uzyskać koronę i papieskie błogosławieństwo ustanowienia ich królestw.

Jednak korona była tylko jedna. Według legendy przed podjęciem decyzji papież oddalił się, by się pomodlić, kiedy we śnie ukazał mu się archanioł Gabriel, na którego polecenie przekazał koronę Węgrom przybyłym wcześniej na audiencję, ale wezwawszy przed swoje oblicze wysłanników obu delegacji, nakazał im, aby przyjęli boskie przykazanie i żyli w pokoju, miłości i braterstwie.

Wówczas połączyły nas już nie tylko wspólne cele, lecz także więzy przyjaźni i pokrewieństwa. Według niektórych teorii druga żona Bolesława Judyta, siostra króla Stefana, obdarzyła polskiego władcę synem o imieniu Bezprym. Jego imię do dziś zachowało się w nazwie naszego miasta Veszprém, którego był żupanem.

Dzięki gnieźnieńskiej koronacji Bolesław z wielkiego księcia stał się królem, co oznaczało także symboliczny moment narodzin suwerennego

eprasa.pl e8ec1033af

państwa polskiego, uwieńczenie trudów włożonych przez niego w ustanowienie chrześcijaństwa i jedności narodowej.

Dzięki wieloletnim wysiłkom władcy już wtedy udało się umocnić wewnętrzną jedność polskiego społeczeństwa, a sukces jego działań dyplomatycznych i militarnych ukazał siłę i niezłomność Polski. Wewnętrzne i zewnętrzne aspekty suwerenności zostały więc wówczas umocnione, jednak dopiero ustanowienie instytucji Kościoła chrześcijańskiego pozwoliło stworzyć specyficzną, polską tożsamość kulturową i polityczną, która określiła nie tylko sposób myślenia Polaków, lecz także ich miejsce w świecie przez następne 1000 lat.

To za jego sprawą 1000 lat temu narodził się naród dumny ze swojej wiary, tożsamości kulturowej i niepodległości, a pamięć o nim pomaga zachować tego wzniosłego ducha do dziś.

TAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Św. Stefan dokładnie znał drogę, którą podążał Bolesław, jako że utworzenie chrześcijańskiego królestwa węgierskiego nałożyło na niego niemal dokładnie takie same brzemię jak na polskich władców. Choć nie rozumieli swych języków, każde wypowiedziane słowo, każda wiadomość i tak docierała do właściwych uszu. W cieniu swojego wielkiego zachodniego sąsiada, Świętego Cesarstwa Rzymskiego, od samego początku byli zdani na wzajemną współpracę, by zachować swoją niezależność.

W ten sposób rozpoczęła się nasza tysiącletnia przyjaźń, mająca korzenie we wspólnej wierze i kulturze chrześcijańskiej, którą w ciągu minionego tysiąclecia nasi wspólni królowie, święci i bojownicy o wolność wznieśli na wyjątkowe szczyty.

Oczywiście wymagało to nie tylko pracy ich samych, lecz także setek tysięcy i milionów Węgrów i Polaków, którzy działali i nadal działają w sprawie naszej wspólnej jedności.

Jak powiedział prezydent Tamás Sulyok podczas oficjalnych obchodów tegorocznego Dnia Przyjaźni Węgiersko-Polskiej: „My, Węgrzy, nie mamy krewnych na świecie, ale zamiast nich mamy Polaków, którzy pomogli nam jako przyjaciele w naszych zmaganiach o wolność, wiarę i suwerenność".

Przy tej samej okazji prezydent Andrzej Duda zwrócił również uwagę na fakt, że porządek świata ulega znacznym zmianom i w przyszłości będziemy musieli wspólnie pokonać wiele wyzwań, do czego niezbędna jest solidarność obu narodów i ich wzajemna przyjaźń.

Niewątpliwie przyjaciele mogą toczyć spory, zdarza się, iż w pewnych kwestiach mamy odmienne zdania, co może pozornie osłabiać więzi. Istotą prawdziwej przyjaźni jest jednak wzajemna akceptacja, do której ponad 1000 lat temu wzywał naszych przodków papież Sylwester II.

> W najszlachetniejszych chwilach naszych dziejów wspieraliśmy się nawzajem, nawet gdy historia porywała nas w przeciwnych kierunkach, a geopolityczne zmagania zmuszały nas do działania w różnych obozach

Rocznica tysiąclecia to także przypomnienie, że naród polski stoi na silnych fundamentach, jest dumny ze swojej historii i przywiązania do niepodległości.

My również jesteśmy dumni z tego, że pomagaliśmy naszym polskim przyjaciołom, kiedy nas potrzebowali. Bez św. Wojciecha, św. Władysława, św. Kingi, św. Jadwigi czy Stefana Batorego historia Polski i Węgier potoczyłaby się zupełnie inaczej.

Dostrzegam w tym również szczególną, niemal losową zbieżność z faktem, że tegoroczna rocznica tysiąclecia przypada dokładnie w Wielki Piątek, ponieważ jedna z decydujących bitew węgierskiej rewolucji i wojny o niepodległość w latach 1848–1849, starcie pod Isaszeg, miała miejsce 6 kwietnia 1849 r., czyli również w Wielki Piątek. Wtedy żołnierze Legionu Polskiego po trwającym przez kilka dni poście pomogli nam zniszczyć wojska cesarskie jednoczące swe siły w walce przeciwko węgierskiej wolności.

Do dziś z wdzięcznością wspominamy nazwiska Józefa Bema, Henryka Dembińskiego i Józefa Wysockiego, którzy stali się symbolami walki o naszą wolność i narodową niepodległość. To właśnie wdzięczny naród węgierski wzniósł pierwszy pomnik Józefa Bema w mieście Marosvásárhely w 1880 r. ufundowany z darów publicznych.

Co więcej, duch polskich bojowników o wolność był dla nas przykładem dziesiątki lat później, nawet w XX w. Przypomnijmy: w 1956 r. to właśnie z pl. Bema wyruszył marsz solidarności węgierskich studentów wspierających polskie społeczeństwo i jego dążenia polityczne. Stał się początkiem węgierskiej rewolucji 1956 r.

CHOCIAŻ BYLIŚMY PO PRZECIWNEJ STRONIE…

W naszej historii wielokrotnie walczyliśmy razem przeciwko wspólnym wrogom i byliśmy osaczani zarówno ze wschodu, jak i z zachodu. W najszlachetniejszych chwilach naszych dziejów wspieraliśmy się nawzajem, nawet gdy historia porywała nas w przeciwnych kierunkach, a geopolityczne zmagania zmuszały nas do działania w różnych obozach. Będący już za nami XX w. być może właśnie w tym ukazał prawdziwą głębię węgiersko-polskiej przyjaźni.

Warto przypomnieć, że nasi żołnierze przelewali krew wraz z polskimi towarzyszami na froncie galicyjskim od 1914 r., od wybuchu I wojny światowej. W ub.r. minęła 110. rocznica bitew pod Krakowem i Limanową, a w br. przypada okrągła rocznica przełomu pod Gorlicami i trzeciego oblężenia Przemyśla. Przyjaźń węgiersko-polską zapisaliśmy krwią i to w czasach, kiedy Polska przez 123 lata – od 1795 r. do 1918 r. – była pod zaborami Prus, Rosji i Austrii.

Również 110 lat temu, w 1915 r., to właśnie węgierskie władze ustawodawcze pod przewodem Towarzystwa Węgiersko-Polskiego oraz Gyuli

eprasa.pl e8ec1033af

Pierwszy król Węgier Stefan I Święty

Fot. Church of Saint Sava, Belgrade

Andrássyego młodszego domagały się od cesarza przywrócenia Polsce niepodległości.

Skutki wyniszczającej i bezsensownej I wojny światowej wystawiły naszą przyjaźń na niezwykłą próbę. Dla naszego kraju najważniejszym celem stała się rewizja traktatów pokojowych zawartych pod Paryżem, podczas gdy dla odrodzonej Polski najważniejsze stało się zachowanie *status quo*. Nasza przyjaźń okazała się jednak silniejsza, czego symbolem był cud nad Wisłą w 1920 r. i uratowanie polskich uchodźców w czasie II wojny światowej, w tym szefa Sztabu Generalnego Kazimierza Sosnkowskiego. Chociaż pozostawaliśmy po przeciwnej stronie, Węgry nie były w stanie wojny z Polską. Co więcej, w 1943 r. nasi żołnierze pomagali bezbronnym polskim cywilom uciekającym przed Ukraińcami na Wołyniu i polskim powstańcom w Warszawie w 1944 r. w walce przeciwko Niemcom.

Co prawda okrutna wojna tocząca się obecnie w naszym sąsiedztwie oraz konflikty wewnątrz Unii Europejskiej i związane z nimi napięcia chwilowo osłabiły nasze kontakty polityczne, ale nie są one w stanie podważyć istniejącego między nami zaufania i przyjaźni.

Istnieją siły i dążenia, które z premedytacją starają się osłabić łączącą nas szczególną przyjaźń. Czynią to w nadziei, że Polacy czy Węgrzy wyrzekną się naszej tysiącletniej więzi w imię chwilowych interesów politycznych. Ale nie na tym opiera się nasza przyjaźń i nigdy nie wynikała ona ze zdrady.

PRZEŁAMAĆ PODZIAŁY

Jednak wszystko to nie może zwalniać nas z próby wzajemnego zrozumienia również w kwestiach spornych.

Obecnie najistotniejszym punktem spośród nich jest postrzeganie wojny rosyjsko-ukraińskiej. My, Węgrzy, musimy przyjąć do wiadomości, że dla polskiej polityki i znacznej części społeczeństwa wydaje się istnieć realne ryzyko, że Rosja, zachęcona ewentualnym sukcesem na Ukrainie, ponownie skieruje się przeciwko Polsce tak jak w minionych stuleciach. Musimy również zaakceptować fakt, że przy odpowiedniej strategii konflikt wojenny może również doprowadzić do dowartościowania geopolitycznej roli Polski, a tym samym pozwolić naszym polskim przyjaciołom zająć należne im miejsce w światowej polityce zgodnie z ich potencjałem gospodarczym.

Nasi polscy przyjaciele muszą z kolei zrozumieć, że chociaż Rosjanie wzięli udział w stłumieniu dwóch naszych głównych walk o niepodległość, Węgry nigdy nie były strategicznie znaczącym terytorium dla wschodniego imperium. Ważne jest również stwierdzenie, że my, Węgrzy, nie możemy na wojnie nic zyskać, a jedynie stracić, szczególnie w przypadku 150–200 tys. Węgrów z Zakarpacia, którzy już przed wybuchem konfliktu zostali zdegradowani do roli pariasów na własnej ziemi.

Lata poprzedzające II wojnę światową obfitowały w znacznie poważniejsze napięcia, a mimo to byliśmy w stanie pracować razem ku wzajemnemu pożytkowi i ponosić nawet największe ofiary.

Biorąc to pod uwagę, musimy, pokonując nasze ideologiczne i polityczne podziały, pracować tak, abyśmy za 100 lat, podczas kolejnych uroczystych obchodów, mogli powitać się jako przyjaciele, obywatele suwerennych narodów z dumą zachowujących swoją narodową i chrześcijańską tożsamość. Zmarły 20 lat temu papież Jan Paweł II w liście do Węgrów z 1991 r. wezwał nas do „budowania takiego społeczeństwa, które opiera się na wartościach pojednania, sprawiedliwości i pokoju". Przesłanie Ojca Świętego do nas, Węgrów, również obecnie wzywa do działania szczególnie przeciwko siłom atakującym wartości chrześcijańskie.

Jako bracia wzywamy naszych polskich przyjaciół, aby dołączyli do nas w tym nieustannym budowaniu opartym na wartościach. Niech Bóg błogosławi tysiącletnią polską państwowość, niech Bóg błogosławi przyjaźń węgiersko-polską!

János Latorcai

Autor jest wiceprzewodniczącym Zgromadzenia Narodowego Węgier

eprasa.pl e8ec1033af

Akcja pod Arsenałem, likwidacja Kutschery czy zniszczenie torów kolejowych wokół Warszawy w ramach akcji „Wieniec" – działania polskiego podziemia z okresu II wojny światowej – są dzisiaj znane i pamiętane. Inaczej jest z niepodległościowymi akcjami Polaków w czasie zaborów. A z nich też powinniśmy być dumni

Zamach na gubernatora Skałona

Fot. Śląska Biblioteka Cyfrowa

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Panna Kozłowska i czterej premierzy w akcji

Na pl. Grzybowskim w Warszawie od rana gromadziły się tłumy ludzi. Na miejscu było widać nie tylko robotników, lecz także studentów oraz młodych inteligentów. Od kilku dni zapowiadano demonstrację, dlatego wokół placu ustawiono liczne rosyjskie siły porządkowe. Zmierzający na plac zgodnie jednak twierdzili, że idą na mszę w znajdującym się tam kościele Wszystkich Świętych. Z każdą chwilą tłum gęstniał i nie reagował na wezwania Rosjan do rozejścia się. W coraz większym napięciu czekano na rozwój wydarzeń. Uzbrojeni w rewolwery członkowie Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, m.in. Stefan Okrzeja, ustawili się przy wejściu do kościoła. Kiedy po skończonym nabożeństwie ludzie zaczęli opuszczać świątynię, ok. godz. 13 siostra Okrzei przemyciła do konspiratorów sztandar PPS.

BITWA NA PLACU

Można było zaczynać. W tym momencie rozwinięto płótno z napisem: „PPS Precz z wojną i caratem! Niech żyje wolny, polski lud!", uformowano pochód, ludzie zaczęli śpiewać „Warszawiankę". Niemal od razu policja zagrodziła drogę manifestującym. Funkcjonariusze zaczęli się przedzierać w stronę sztandaru. Kiedy się wydawało, że szybko osiągną sukces, Polacy odpowiedzieli ogniem. Rosjanie najpierw zamarli, a następnie rzucili się do ucieczki. Byli w szoku, przyzwyczaili się do bezkarnego pacyfikowania wszelkich ulicznych protestów.

Szybko wywiązała się pełna chaosu strzelanina. Członkowie PPS nie mieli szans z dobrze uzbrojonymi żandarmami i wojskiem zaborcy. Rosjanie opanowali sytuację, strzelając do tłumu

eprasa.pl e8ec1033af

i używając kawalerii do pacyfikacji robotników. Bojowcy zdołali się jednak wycofać i obronić sztandar. Warszawa pozostawała niespokojna przez cały dzień. Był 13 listopada 1904 r.

Manifestacja odbiła się głośnym echem, zauważono ją nawet w zachodniej prasie. W kraju zdarzenie wywołało krytykę endeków, krakowskich konserwatystów czy nastawionej rewolucyjnie Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Mimo to demonstracja stała się symbolem walki z caratem.

Była to jedna z pierwszych akcji utworzonej wiosną 1904 r. Organizacji Bojowej PPS, której zadaniem stała się ochrona demonstracji robotniczych organizowanych przez to ugrupowanie. Po wybuchu rewolucji w 1905 r. polskie stronnictwa niepodległościowe wkroczyły w nową fazę walki o wolną Polskę. W związku z tym zadania OB szybko zostały rozszerzone, a konspiratorzy przystąpili do aktywnej walki z zaborcą. Kolejne akcje szybko przyćmiły tę z pl. Grzybowskiego.

BOMBY I BROWNINGI

Latem 1906 r. kobieta o nazwisku Kozłowska wynajęła mieszkanie przy ul. Natolińskiej w Warszawie. Niedługo po jej przenosinach pewien rosyjski oficer spoliczkował mieszkającego w tym budynku niemieckiego wicekonsula w mieście. Ta zniewaga wymagała, by w jego domu pojawił się z przeprosinami generał gubernator warszawski Gieorgij Skałon.

Panna Kozłowska naprawdę nazywała się Wanda Krahelska i należała do Organizacji Bojowej PPS, a za rosyjskiego oficera przebrał się inny członek bojówki – Michał Trzos. Kiedy 18 sierpnia 1906 r. powóz gen. Skałona przejeżdżał pod oknami wynajmowanego mieszkania, Krahelska i towarzysząca jej Zofia Owczarkówna rzuciły trzy bomby. Wybuchła tylko jedna. Jeden z najbardziej znienawidzonych przedstawicieli władzy carskiej w Królestwie Polskim został ranny w głowę, jednak uszedł z życiem. Przerażony nieudanym zamachem nakazał zaprzestać stosowania kary śmierci bez wyroków sądu. Sam niedawno wprowadził tę okrutną praktykę, razem z ustanowieniem w 1905 r. w Kraju Nadwiślańskim stanu wojennego.

Andriej Markgrafski był zastępcą Skałona, dowodził ochraną – tajną policją polityczną – w guberni warszawskiej. Obawiał się zamachu na swoje życie, dlatego cały czas podróżował z obstawą. Każdego dnia pociągiem z Warszawy dojeżdżał do położonego niedaleko Otwocka, gdzie przesiadał się do powozu z żoną i dziećmi. Do swojej rezydencji jechali po piaszczystej drodze w towarzystwie pieszej ochrony. Na tym etapie przemieszczali się dosyć wolno, co okazało się kluczowe. 2 sierpnia 1906 r., a więc nieco ponad dwa tygodnie przed nieudanym zamachem na Skałona, członkowie Organizacji Bojowej PPS przyjechali do Otwocka. Grupą dowodził późniejszy premier Tomasz Arciszewski. Zamachowcy ustawili się w lasku niedaleko restauracji Buczyka i czekali na odpowiedni moment. Do powozu podbiegło kilku bojowców, reszta czekała jako obstawa. Aby oszczędzić rodzinę generała, trzeba było strzelać do niego z bliska. Żandarmi biegnący obok bryczki nie zdążyli zareagować. Zrobiło się zamieszanie. Rosjanie strzelali na oślep, bo skryta w lasku polska obstawa była niewidoczna. W pewnym momencie wydawało się nawet, że zamach się nie udał, bo powóz szybko odjechał w stronę domu Markgrafskich. Dopiero po kilku minutach żandarmi zauważyli na drodze martwego generała. Od przypadkowych kul zginął także jego syn.

Zamachy na przedstawicieli rosyjskich władz były odpowiedzią na wzmagający się terror w Królestwie Polskim. Miały także na celu zastraszenie zaborczej administracji. W latach 1905–1908 carscy oficjele na każdym kroku musieli uważać na swoje życie. Bojowcy PPS nie dawali im wytchnienia i przeprowadzali coraz więcej ataków przy użyciu browningów lub bomb. Spektakularna była tzw. krwawa środa. 15 sierpnia 1906 r. w kilkunastu miastach zabito ponad 70 przedstawicieli władz rosyjskich, głównie policjantów i żandarmów.

FAŁSZYWY TRANSPORT

Rosjanie przetrzymywali więźniów politycznych w owianym złą sławą X Pawilonie Cytadeli warszawskiej oraz na Pawiaku – zakładzie karnym przy ul. Dzielnej. Na początku kwietnia 1906 r. przebywało w nim 10 osadzonych, których już skazano na śmierć lub zamierzano to zrobić w najbliższym czasie. Właśnie wtedy członkowie Organizacji Bojowej PPS opracowali plan jednej ze swoich najśmielszych akcji. Czasu na jej realizację było niewiele, ponieważ egzekucje więźniów mogły być przeprowadzone w każdej chwili. Bojowcy musieli zdobyć rosyjskie mundury, nauczyć się musztry i dokładnie poznać zachowanie wojskowych.

Kilkanaście minut przed północą 23 kwietnia na Pawiak zadzwonił telefon. Dzwoniący przedstawił się jako naczelnik warszawskiej policji płk Piotr Meyer. Rzekomy oberpolicmajster informował, że jeszcze tej nocy przybędzie kapitan żandarmerii baron von Bundberg wraz z sześcioma podwładnymi, aby przetransportować do Cytadeli 10 więźniów. Transport miał się odbyć więzienną karetką, ponieważ wszystkie policyjne środki lokomocji były akurat zajęte.

Po kilkunastu minutach przed bramą zakładu karnego pojawił się Jan Gorzechowski „Jur" w towarzystwie swoich ludzi podający się za von Bundberga. Na wstępie pokazał podrobiony rozkaz przekazania więźniów, a następnie zwymyślał strażnika za zbyt opieszałe otwarcie bramy oraz zastępcę naczelnika za to, że więźniowie nie byli jeszcze gotowi do transportu. Wtedy nastąpił krytyczny moment dla całej akcji. Okazało się bowiem, że następnego dnia jeden z osadzonych ma zostać odstawiony do sądu. „Jur" stanowczo powiedział, że rozkaz, który przywiózł, unieważnia poprzedni, a wspomniany więzień będzie sądzony już w Cytadeli.

Fortel zadziałał. Nikt z załogi Pawiaka nie śmiał już oponować. Gdy tylko transport oddalił się od zakładu karnego, jeden z bojowców niespodziewanie uśpił więziennego woźnicę chloroformem. Pojazd zaparkowano nieopodal ogrodu braci Hoserów na rogu ulic Żytniej i Okopowej. Tam konspiratorzy i więźniowie szybko przebrali się w cywilne ubrania. Ci ostatni otrzymali też fałszywe dokumenty oraz pieniądze. Niemal od razu zostali przetransportowani do Krakowa.

Po kilku godzinach Rosjanie znaleźli więzienną karetkę z nieprzytomnym woźnicą. Na nogi postawiono całą

eprasa.pl e8ec1033af

Warszawę, zbiegowie byli już jednak poza zasięgiem carskich służb. Rano następnego dnia na murach w mieście pojawiła się informacja podpisana przez Centralny Komitet Robotniczy PPS z następującą informacją: „Dziś w nocy wyrwano opryszkom carskim z Pawiaka wszystkich tych więźniów, którym groziła kara śmierci. Było ich dziesięciu. Wszyscy są wolni". Rosjanie zostali ośmieszeni.

POD ROGOWEM I BEZDANAMI

Aby zdobyć środki na działalność partii i bojówki, PPS organizowała akcje ekspropriacyjne. W tym celu najczęściej napadano na wagony pocztowe przewożące pieniądze oraz na kasy powiatowe. Jedną z najlepiej przeprowadzanych była akcja pod Rogowem 6 listopada 1906 r. Brało w niej udział kilkudziesięciu bojowców, głównie łódzkich tkaczy. Grupa pod dowództwem Józefa Mireckiego „Montwiłła" zaatakowała pociąg, udało się jej unieszkodliwić konwój składający się 45 rosyjskich żołnierzy, poza pieniędzmi zdobyto też kilkanaście karabinów. Mówiło się wtedy, że to największe zwycięstwo nad Rosjanami od powstania styczniowego.

Najgłośniejsza akcja „zarobkowa" miała miejsce niecałe dwa lata później. W tamtym czasie rewolucja w Królestwie Polskim już wygasała, a rosyjski reżim kolejnymi aresztowaniami rozbijał struktury lewicy niepodległościowej. Cały czas miały miejsce zamachy na rosyjskich żandarmów, jednak dla Józefa Piłsudskiego stało się oczywiste, że konieczna jest zmiana strategii w działalności niepodległościowej. Do tego potrzeba było dużej ilości pieniędzy.

26 września 1908 r. ok. godz. 23 na stację w Bezdanach przyjechał pociąg z Wilna. Jechała w nim grupa zamachowców z Walerym Sławkiem na czele. Reszta bojowców dotarła na miejsce w pojedynkę lub parami i czekała na stacji. Kiedy pociąg zaczął hamować, przystąpiono do akcji. Nastąpiła krótka wymiana strzałów, jeden żołnierz został zabity, pięciu było rannych. Moment zaskoczenia został wykorzystany w 100 proc. Sławek ze swoimi ludźmi rozbroił eskortę w mgnieniu oka. Do przedziału pocztowego wrzucono dwie bomby. Pasażerów i urzędników kolejowych pilnowano pod rewolwerami, przecięto druty telefoniczne i zablokowano sygnały. Piłsudski, Arciszewski i Prystor weszli do wagonu pocztowego, rozbili dynamitem żelazne skrzynie i załadowali pieniądze w worki. W oddali dał się słyszeć odgłos drugiego pociągu. Czasu było niewiele. Zamachowcy skoczyli na bryczkę i cwałem ruszyli w las. Tam się rozdzielili. Cała akcja trwała 45 min, łupem bojowców padło 200 tys. rubli. W napadzie wzięło udział 17 działaczy PPS. Bojowcy nie ponieśli strat.

NOWE ORGANIZACJE

Akcja pod Bezdanami została okrzyknięta „polskim napadem stulecia" i odbiła się głośnym echem w Europie. Piłsudski, choć ścigany listami gończymi, w środowiskach niepodległościowych zyskał status bohatera. Później wydarzenie otrzymało miano „akcji czterech premierów" ze względu na udział w nim szefów rządów w II RP: Walerego Sławka, Józefa Piłsudskiego, Aleksandra Prystora i Tomasza Arciszewskiego. Dzięki zdobytym pieniądzom możliwy był znaczny rozwój nowej tajnej, ponadpartyjnej organizacji niepodległościowej – Związku Walki Czynnej. Kolejnym krokiem było utworzenie w 1910 r. legalnych organizacji paramilitarnych – Związku Strzeleckiego i Towarzystwa Strzelec, które wykształciły kadry przyszłego odrodzonego wojska polskiego.

Bojowcy PPS stworzyli sprawną strukturę operacyjną, która skutecznie nękała rosyjski aparat represji. Zamachy, odbicia więźniów, sabotaż i śmiałe napady były nie tylko sposobem na zdobycie środków, lecz także demonstracją siły i nieugiętej woli walki o wolność.

W latach 1905–1907 Organizacja Bojowa PPS przeprowadziła ponad 2 tys. akcji zbrojnych. To skala, jakiej wcześniej nie było w naszej historii. Ta działalność stała się fundamentem odzyskania przez Polskę niepodległości kilka lat później. Przez szeregi bojówek PPS przewinęło się ponad 7 tys. ludzi, w większości robotników i rzemieślników. Prawie 300 bojowców zostało straconych po skazaniu przez carskie sądy. Byli wśród nich m.in. wspomniani Stefan Okrzeja i Józef Mirecki „Montwiłł". II Rzeczpospolita pamiętała o bojowcach PPS. Polska Ludowa na różne sposoby próbowała zawłaszczyć ich dziedzictwo. Z kolei III RP kompletnie o nich zapomniała.

eprasa.pl e8ec1033af

Pamela Anderson dołączyła do aktorek, które konfrontują się ze swoim wizerunkiem. Za sprawą filmu „The Last Showgirl" pokazuje, że wciąż może wyglądać jak w „Słonecznym patrolu", a także znakomicie grać. I promować nowy styl życia

Marilyn swoich czasów

Fot. Gutek Film

eprasa.pl e8ec1033af

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Kadr z filmu „The Last Showgirl"

Wtórując Kalinie Jędrusik, mogłaby wyśpiewać życzenie, by ktoś dostrzegł, że poza niewątpliwymi atutami fizycznymi ma też osobowość, inteligencję i talent aktorski. Pamela Anderson doczekała się takiej osoby. Z filmową propozycją wyszła Gia Coppola, reżyserka, która w nieco mniej subtelny sposób niż w Kabarecie Starszych Panów, ale skutecznie, pomogła Pameli Anderson „duszy latarnię spod zmysłów wygarnąć".

KIEDY MIJA CZAS

Wywodząca się z reżyserskiego klanu Gia, wnuczka Francisa Forda i bratanica Sofii Coppoli, ofiarowała seksbombie lat 90. ub.w. rolę życia. Taką, w której mogła się wykazać aktorsko, czerpiąc też z własnych burzliwych doświadczeń. I taką, za którą gwiazda kojarzona z plażowo roznegliżowanym „Słonecznym patrolem" mogła otrzymać pierwszą nominację do Złotego Globu. Na dodatek nie odstając przed kamerami od również obsadzonej w filmie Jamie Lee Curtis.

„The Last Showgirl" opowiada historię dojrzałej kobiety, która chce zejść ze sceny na własnych warunkach. Shelley (Anderson) występuje w rewii w Las Vegas. Pracuje z pasją, nie czuje presji lat do czasu, gdy zapada decyzja o zdjęciu jej spektaklu z afisza. 57-letnia tancerka zewsząd słyszy, że jej czas już minął, ale się z tym nie godzi.

Film Coppoli zderza sceniczne show z prawdziwym życiem i miastem, które „wabi jak fatamorgana, by brutalnie obudzić ze snu". Walcząc o dawne marzenia, Shelley musi „zetrzeć rewiowy makijaż, odpiąć pióra i zmierzyć się z realnością". Także po to, by w świetle dnia spróbować naprawić relacje z dorosłą dziś córką.

SZANSA NA WOLTĘ

Anderson o mały włos nie pojawiłaby się w filmie Coppoli. Jej agent odrzucił propozycję reżyserki, która jednak nie dała się zbyć. Scenariusz trafił bezpośrednio do Pameli, a ta nie miała wątpliwości. To była szansa na wizerunkową woltę, odcięcie się od definiującego ją przez dekady stylu, a także pokazanie, na co ją stać – nie tylko zawodowo. W ten sposób Anderson dołączyła do coraz szerszego grona dawnych, mocno określonych medialnie gwiazd, które nie bały się ryzyka nowych zadań. „Ogrywających" według nowych reguł swoją fizyczność (jak w przypadku Demi Moore czy Nicole Kidman), a także udowodniających, że cielesność (nawet, gdy – traktowana instrumentalnie – przez dekady była podstawą wizerunku) nie jest przeszkodą do wejścia na kolejny zawodowy poziom, stworzenia pogłębionej dramaturgicznie postaci.

Wielkie zmiany w życiu Anderson zaczęły być widoczne trzy lata temu. To wtedy po solidnym szkoleniu taneczno-aktorskim zadebiutowała na Broadwayu. Zachwyciła publiczność i krytyków rolą Roxie w musicalu „Chicago".

KOCHAJĄC SIEBIE

Na teatralnych deskach nadal pokazywała się w gwiazdorskiej odsłonie, poza sceną – także w oficjalnych okolicznościach (m.in. promując film) – coraz częściej pojawiała się niemal bez makijażu, rezygnując ze strojów podkreślających walory nadal znakomitej figury.

Zaczęła też więcej o mówić sobie, a także pisać. Dwa lata temu wydała autobiografię „Love, Pamela" – zupełnie inną od tych, którymi epatowała dwie dekady temu. Teraz postanowiła poszukać przyczyn życiowych wyborów, zawirowań i ekscesów. Przywołała dramatyczne sceny, m.in. z przemocowego rodzinnego domu czy doświadczenia gwałtu u progu bycia nastolatką. Przemoc towarzyszyła jej także w latach największej popularności. Aktorka przyznaje, że długo nie była w stanie stawić jej czoła, przesuwała kolejne granice. Także te obyczajowe, wizerunkowe. Kolejne medialne skandale przykrywały pogłębiające się problemy. Konsekwencją zamiatanych pod dywan traum była depresja.

BO WE MNIE JEST SEKS

„To Marilyn Monroe naszych czasów" – mówi o Anderson Gia Coppola. Przesadza? Trudno powiedzieć. Nie wiadomo, jak odnalazłaby się w latach 90. Norma Jeane Mortenson vel Norma Jeane Baker.

Wiadomo, że w żyłach Marilyn Monroe nie płynęła norweska krew drugiego męża jej matki. Za to pradziadek (urodzonej w Kanadzie) Pameli był Finem. Prawnuczka zawdzięcza mu jasny kolor oczu, świetnie komponujący się z tlenionymi włosami.

Skandynawski typ urody, przez dekady tłumiony ostrym makijażem i figurą seksbomby (z coraz większym biustem i usuwanymi żebrami, by utrzymać talię osy), „odsłonił się" w ostatnich latach. Teraz Anderson (po pozbyciu się implantów) eksponuje naturalność, promuje zdrowy tryb życia, dietę wegetariańską i chwali kontakt z naturą. Próbuje się odbić od wizerunku ratowniczki C.J. Parker ze „Słonecznego patrolu" (1992–1997) – serialu, który dał jej światową rozpoznawalność.

eprasa.pl e8ec1033af

Pamela Anderson w filmie „Słoneczny patrol"

WYŁOWIONA Z TŁUMU

Można powiedzieć, że Pamela trafiła do show-biznesu tuż po przyjściu na świat (1 lipca 1967 r.). Mylnie uznano ją wtedy za pierwsze dziecko urodzone w stulecie powstania Kanady, więc jej zdjęcie pojawiło się w prasie. Przypadek sprawił też, że kamera pokazująca trybuny podczas meczu na stadionie w Vancouver, wyłowiła jej twarz z tłumu. Fotogeniczna 21-latka zwróciła na siebie uwagę i dostała propozycję sesji zdjęciowej promującej... lokalny browar. Następna oferta przyszła od „Playboya". Okładkowe zdjęcie z 1989 r. otworzyło przed Pamelą drogę do kariery modelki. Dzięki wyjazdowi do Los Angeles trafiła też na serialowe plany i dotarła na plażę „Słonecznego patrolu" (do roli C.J. Parker powiększyła biust), a potem (w większości scen wyręczając kaskaderów) zagrała w filmie „Żyleta".

Poza kamerami dostarczała mediom coraz gorętsze informacje. Nagość czy intymność nie były dla niej problemem – stąd kolejne sesje w „Playboyu" i m.in. deklaracje, że „cały wolny czas spędza na... uprawianiu seksu"; „19 kochanków to mało", a „na tremę na scenie najlepsze jest... zrzucenie ubrania".

NIE MA JAK „V.I.P."

W 1995 r. po czterech dniach znajomości postanowiła wyjść za mąż. Tommy Lee był perkusistą grupy Mötley Crüe. Na plaży w Meksyku, zamiast wymienić się obrączkami, nowożeńcy wytatuowali na palcach swoje imiona. Małżeństwo (pierwsze z sześciu) trwało trzy lata. Było burzliwe, generowało skandale (najgłośniejszym było upublicznienie w sieci prywatnej seks kasety). Po kilkukrotnych rozstaniach i zejściach doszło do rozwodu po tym, jak Tommy pobił żonę z młodszym z dzieci na ręku (para doczekała się dwóch synów, Brandona i Dylana).

W kolejnej trudnej sytuacji życiowej Pamela nie załamała rąk, tylko zaczęła działać. Seksowna tleniona blondynka, w której bliscy znajomi widzieli świetnie zorganizowaną, niezwykle inteligentną kobietę, sprawnie poruszała się też w producenckich realiach. Jako samotna matka zrealizowała cztery sezony autorskiego serialu „V.I.P" (1998–2002).

MEANDRY SŁAWY

W 2004 r. przyjęła obywatelstwo amerykańskie (jednocześnie zachowując dotychczasowe kanadyjskie) i napisała pierwszą książkę o sobie. W 2010 r. otwarcie mówiła o swoich długach podatkowych. Za radą przyjaciela fotografa Davida LaChapelle'a, by wyjść z finansowego impasu, podejmowała się przeróżnych działań. Była m.in. asystentką magika w Las Vegas, wzięła udział w indyjskiej edycji programu „Big Brother" i wystąpiła w show „Gwiazdy tańczą na lodzie". Później mówiła, że jest kobietą, która żadnej pracy się nie boi.

W 2013 r. została właścicielką zespołu motorowego Race Alliance. Od lat działa na rzecz praw zwierząt. W najnowszej autobiografii wspomniała... wizytę na Kremlu, gdzie lata temu zaprosił ją Putin. „Szczegółowo omówiliśmy trudną sytuację wielorybów. Gospodarz słuchał jednym uchem, nudziło go to i o wiele bardziej był zainteresowany oprowadzeniem po swoim domu" – napisała.

NA NOWEJ DRODZE

W ostatnim okresie skupiła się na nowej drodze. Po debiucie na Broadwayu i kreacji u Gii Coppoli dostała propozycję zagrania w realizowanym właśnie filmie „Place to Be" Kornéla Mundruczó.

Znalazła też czas na ważny remont. To w przywróconym do świetności domu dzieciństwa (położonym w kanadyjskiej prowincji Kolumbia Brytyjska na wyspie Vancouver) w centralnie usytuowanej kuchni nagrywała program „Przepisy z serca" emitowany na Instagramie. Tam też powstała kulinarna książka „Kocham Cię: Przepisy z serca", pełna zarówno wegetariańskich inspiracji, jak i relacji z prac w przydomowym ogrodzie.

JESTEM TUTAJ

Gdy jesienią ub.r. na festiwalu w Zurichu odbierała nagrodę za „całokształt twórczości oraz wyjątkowy wkład w najnowszą produkcję ze swoim udziałem »The Last Showgirl«", stwierdziła: „Wspaniale jest być częścią kultury popularnej, ale to błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. Ludzie zakochują się w tobie przez coś tak trywialnego, jak kostium kąpielowy. Zajęło mi to dużo czasu, ale jestem dziś tutaj".

Fot. Gutek Film, materiały prasowe

eprasa.pl e8ec1033af

3 MIŁOŚCI

Satanizm, relaks, chrześcijaństwo

ROBERT TEKIELI

„Leżałem już w łóżku i nagle poczułem na sobie wielki ciężar. Czułem, że jestem wciskany coraz niżej, słyszałem głośne warczenie, coś jak krzyk przez zaciśnięte zęby. Ogarnął mnie paniczny lęk, zacząłem odmawiać Zdrowaś Maryjo. Z każdym słowem wypowiadanej modlitwy ucisk malał, warczenie robiło się coraz cichsze, aż całkowicie odpuściło...". Średniowieczne pamiętniki? Nie. To wyimek z historii Roberta: „Mam 42 lata, jestem mężem i ojcem dwóch synów. Już przed przystąpieniem do bierzmowania wiara katolicka i Kościół katolicki były mi obojętne. Do roku 2023 żyłem permanentnie w grzechu ciężkim. Pornografia, samogwałt, alkohol, narkotyki, kradzieże, kłamstwa, muzyka punkowa, metalowa, hardcore i reggae. Palenie marihuany przez blisko 25 lat kilka razy w tygodniu. Rzadko bywałem trzeźwy. Częste imprezy, najważniejszy byłem ja, moja przyjemność. Byłem totalnym egoistą.

Doszedłem do wniosku, że chrześcijaństwo jest najbardziej opresyjną religią; same nakazy i zakazy. Doszedłem do wniosku, że buddyzm to jest to. Myślałem, tam nikt nic ode mnie nie chce, jest wolność.

W 2023 znalazłem filmik na YouTube »Medytuj z Sadhguru Isha Kriya«. Wszystko wytłumaczone, delikatny głos guru z polskim lektorem prowadził i mówił, co robić. Pod koniec guru odmawiał jakąś modlitwę, po prostu relaks.

W kwietniu miała miejsce przełomowa sesja. Byłem w domu sam z dziećmi. Udało mi się osiągnąć duże skupienie, poczułem mrowienie na głowie. Było przyjemne i relaksujące. Nie słyszałem nic poza powtarzaną sentencją w głowie i oddechem. Te 20 minut minęło bardzo szybko. Wydawało mi się, że minęło kilka sekund. Po otwarciu oczu dotarły do mnie odgłosy zabawy moich synów. Jak to chłopcy, bawili się hałaśliwie, bieganie i krzyki. W ułamku sekundy wpadłem w szał. Złapałem starszego syna za ramiona i wydarłem się na niego tak głośno, że ich krzyki to można porównać do szeptu. Ocknąłem się chwilę później i zobaczyłem jego twarz. Był przerażony i sparaliżowany ze strachu.

Wieczorem położyliśmy się spać. Obudziłem się ok. 2 w nocy. Czułem się dziwnie nieswojo, bałem się. W pewnym momencie usłyszałem trzaski drewnianego domu na zewnątrz. Jakby ktoś tam był, nasłuchiwałem. Dom zaczął trzaskać, cały lęk przemienił się paniczny strach. Leżałem jak sparaliżowany. Zacząłem prosić w myślach Pana Boga o pomoc, że nie wiem, co się ze mną dzieje. W pokoju było bardzo ciemno, nie mogłem ruszyć się ze strachu, czułem jakby ktoś w tej ciemności tam z nami był. Strasznie się bałem, byłem przerażony. Próbowałem się modlić. Mogłem zacząć modlitwę Ojcze nasz, ale po kilku słowach koniec, pustka w głowie, to samo Zdrowaś Maryjo. Kilka słów i pustka. Wygrzebałem jakoś telefon spod poduszki, znalazłem te modlitwy w internecie, zacząłem je czytać, nie wiem, ile razy.

Medytacja może być przepiękną formą chrześcijańskiej modlitwy. Ale jak odróżnić techniki relaksacyjne od praktyk transowych czy satanicznych?

Nie wiem, kiedy zasnąłem, obudziłem się rano. Wiem jedno, to nie był sen. Zacząłem szukać, co to było. Po jakimś czasie trafiłem na pana kanał na YouTube. Tam dowiedziałem się, że joga to nie ćwiczenia oddechowe, tylko praktyka religijna. Że pomoc mogę znaleźć w Kościele katolickim".

Potem była opisana na początku tego tekstu akcja z warczeniem, potem oddanie się Jezusowi Chrystusowi przez ręce Maryi, wielka walka duchowa, trzygodzinna spowiedź z całego życia, modlitwa o uwolnienie i wolność. Po latach cierpień.

Katarzyna: „Próbując zasnąć, włączyłam filmik p. Klaudii Pingot, który ma pomagać w zasypianiu. Na tamtym etapie medytowałam z nią wcześniej dosłownie kilka razy, medytacje typowo relaksujące, bez jakichś oczyszczań czakr czy innych energii quantum – takie rzeczy uważałam za wariactwo. W tej opowieści na dobranoc mamy sobie wyobrazić, że jesteśmy na łące, idziemy do rzeczki, przechodzimy przez mostek do zaczarowanego lasu, ona opisuje ten las, później dochodzimy do doliny, na końcu doliny mamy góry, zza nich wychodzi słońce, które na nas świeci – to energia wszechświata. W tym momencie Klaudia zachęca, aby otworzyć serce na tę energię i pomyśleć

eprasa.pl e8ec1033af

intencję. Miałam chwilę wewnętrznego oporu, bo co za jakieś energie, ale jednocześnie druga myśl – no właśnie taka jesteś spięta, dlatego cię wszystko boli – i sobie pomyślałam, że się otwieram, i że chciałabym być zdrowa. Momentalnie poczułam, jakby sznur energii wchodzący w moje ciało po prawej stronie kręgosłupa lędźwiowego. Krążył po obu stronach kręgosłupa, wstępując do góry, rozluźniając spięte mięśnie".

To, co poczuła Katarzyna, stanowi rzeczywiste doświadczenie, fakty, język, którym opisuje swoje doświadczenie – „jakby sznur energii" – to nienaukowa i niereligijna, okultystyczna interpretacja tych faktów.

I dalej: „Uznałam, że są to samolecznicze możliwości organizmu. Dopiero kiedy miałam wrażenie, że coś mnie dotyka, doszło do mnie przerażające podejrzenie, że jednak istnieje coś duchowego, co po mnie krąży, zwłaszcza że pojawiły się niewielkie ruchy mimowolne całego ciała. Nie chcę tu nadmiernie wchodzić w szczegóły, bo dużo by mówić o tym, jak w kolejnych dniach, mimo że już nie medytowałam, pojawiały się nowe objawy: dłonie same zaczęły mi się układać w mudry (wtedy nie wiedziałam nawet czym jest mudra, dowiedziałam się dopiero z Google), później okazało się, że ciało bezwiednie układa się w jogowe asany etc. Na tym etapie ani moja mama, ani inni bliscy nie widzieli problemu. Na YT znajdziemy miliony filmików o tym, jak to są naturalne rzeczy podczas praktyki jogi i medytacji, niegroźne, a wręcz pożądane przebudzenie energetyczne. Niestety sprawa się nasilała, zaczynałam mieć wrażenie, że to nie jest bezosobowa energia, tylko jednak osobowa, świadoma inteligencja. W ramach sprawdzenia, co się dzieje i co to robi, namalowałam też bezwiednie obraz – mówię »namalowałam«, choć ja tylko trzymałam pędzel, ruchy wykonywał ktoś inny. Potem okazało się, że potrafi też komunikować się poprzez pismo automatyczne. Wiedziało wiele o mnie, o nieznanej przeszłości mojej rodziny, które to informacje później potwierdziła mama. Ogólnie podszywało się pod Anioła Stróża, Boga etc. W momencie, kiedy to coś mi zaczęło wydawać rozkazy, których nie chciałam spełnić (chciało ze mnie zrobić bioenergoterapeutkę) pojawił się bardzo silny ból. Wtedy mama stwierdziła, że Bóg nie robi takich rzeczy i zaczęłyśmy się modlić na różańcu, poszłam na spowiedź pierwszą od 10 lat itd. Ten etap »komunikacji« trwał kilka dni, strach pomyśleć, co by było, gdyby do niego nie doszło, bo pewnie nigdy bym nie odkryła, kto za tym wszystkim stoi...". Historia Katarzyny jeszcze trwa, ale jest w niej już dużo więcej wolności niż zniewolenia.

Dziś medytacja kojarzy się z relaksem, zdrowiem, rozwojem osobistym. Często jest polecana jako sposób na stres czy regenerację.

Istnieją medytacje całkowicie bezpieczne. Mają je chrześcijanie, mają buddyści. Chrześcijanie chrześcijańskie, buddyści buddyjskie.

Jak odróżnić bezpieczną medytację chrześcijańską od toksycznych medytacji nazywanych chrześcijańskimi oraz od medytacji takich jak te, które praktykowali Kasia i Robert? Na kanale YouTube @WitChlondowski klarownie pokazuje to franciszkanin o. Wit Chlondowski, doktor teologii dogmatycznej, duszpasterz i wykładowca. Uczy też, jak bezpiecznie medytować. Medytacja może być przepiękną formą chrześcijańskiej modlitwy.

Jak odróżnić techniki relaksacyjne od praktyk transowych czy satanicznych? Czy wszystko, co „działa", faktycznie pochodzi z dobrego źródła? Gdzie przebiega granica między neutralną techniką relaksu a otwarciem na rzeczywistość duchową, której nie rozumiemy – o tym wszystkim będę mówił we wtorek 29 kwietnia w warszawskiej kawiarni Agere Contra przy ul. Chłodnej 2/18 w godz. 18.44–21.44.

By wziąć udział w spotkaniu, trzeba się zapisać na stronie kawiarni, pobierając bezpłatny bilet. Po wykładzie będzie możliwość zadawania pytań, umówienia indywidualnych konsultacji, zdobycia literatury na temat uzależnień cyfrowych, duchowych, psychicznych i fizycznych oraz profilaktyki zniewoleń.

W trakcie spotkania wyjaśnię, czemu u osób medytujących czasami nic się nie dzieje i jest to dobra wiadomość albo nic się nie dzieje i jest to bardzo zła wiadomość.

Będę mówił, skąd dręczenia, rozpadające się relacje, wahania nastroju nieadekwatne do bodźca, przemożny smutek nieuzasadniony sytuacją życiową, depresje niedające się diagnozować ani leczyć farmakologicznie, statystycznie nieprawdopodobna liczba negatywnych wydarzeń w życiu zwana kiedyś pechem. Oraz jak sobie z tym wszystkim poradzić.

To, co jest skuteczne, nie musi być dobre. Sarin działa, wiedzą o tym ofiary sekty Aum – Najwyższa Prawda OM Shōkō Asahary z tokijskiego metra. Skuteczny był również cyklon B stosowany w niemieckich komorach śmierci obozów koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. Fakt, że medytacja działa, to za mało. Czym wtedy oddycha twoja dusza?

eprasa.pl e8ec1033af

Maciej Walaszczyk

Kultura jak katedra

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Europa jest dziełem kultury. To ona wyznacza europejskie granice od Wschodu i wydziela nas z Eurazji. Mocne i uświadamiające, że ciągle musimy tworzyć ją na nowo. Ale czy to jest jeszcze aktualne, gdy dawny porządek upadł, a nowoczesność i generowane przez nią przyspieszenie pozbawiły nas stałych punktów oparcia, odniesienia i harmonii, której ta kultura była stabilizatorem?

Jako cel bolszewizmu, jego propagandy i kulturowej destrukcji Antonii F. Ossendowski wskazywał właśnie doprowadzenie społeczeństw Zachodu do „stanu płynnego". Teoretykiem „płynnej globalizacji" stał się przecież potem były marksistowski filozof Zygmunt Bauman. Globalizacja stała się teatrem kryzysu kultury europejskiej, przewroty kulturalne zniszczyły tę dawną harmonię, kapitalizm wyodrębnił klasę producentów i „menedżerów kultury", a ludzi zepchnął na pozycje jej konsumentów i leniwych podglądaczy. Także polska kultura straciła cechę spontaniczności i syntezy, wzmagając nasze wyobcowanie. Tak było w PRL i niestety tak jest również dziś. Tymczasem to „piękno tworzy wieczność", więc i dzieła mają ratować nas przed przemijaniem. Także jako narodu. Nie da się jednak rekonstruować dawnych form, ale zdaniem ks. Janusza Pasierba sprzeczności między tym, co zniwelowało „stare i dobre", powinny być dobrą glebą do budowy nowej kultury. O tym przekonuje soborowa konstytucja „Gaudium et Spes", optymistycznie twierdząc, że tylko kultura rozwijana wśród napięć stanie się prężną, a tym samym właściwą przestrzenią wolnego rozwoju człowieka. Że według tego przekonania nawet liturgia powinna odrodzić się na nowo. Na razie widać – to ziemia jałowa.

Książka inicjuje serię mającą teoretycznie uzupełnić projekt „Namalować katolicyzm od nowa", służyć pogłębieniu namysłu nad sztuką sakralną, która też ulega zanikowi. Każdy z esejów i tekstów teoretycznych został uzupełniony odpowiednio dobranym wierszem księdza poety. Wspólnie tworzą integralną całość. Ks. Pasierb próbował wyjaśnić sytuację, w której się znaleźliśmy po rewolucjach i narodzinach kultury masowej. Człowiek się bowiem nie zmienił, by ogarnąć siebie i świat, musi działać jako twórca. To nie jest łagodny i „szczęśliwy dzikus", ale istota wręcz skazana na tworzenie kultury. Po to, by zachować swoje człowieczeństwo i tożsamość.

Ks. Janusz Pasierb, „Kult i kultura", Teologia Polityczna 2024

WOJNA I MODLITWA

W ub.r. informowaliśmy o powrocie na scenę Marka Perkovicia „Thompsona", największej gwiazdy chorwackiej popkultury. Dla tych, którzy nie wiedzą, to także były ochotnik w wojnie o niepodległość, który w jej wyniku z rockmana przerodził się w narodowego barda. Dającego od lat porywające i przejmujące w swej dramaturgii koncerty i szczelnie wypełniającego hale sportowe oraz stadiony.

Teraz dostajemy zapis jednego z dwóch koncertów zagranych w listopadzie ub.r., które po czteroletniej przewie odbyły się na stadionie Hrvatski vitezovi w Dugopolju pod Splitem. Płyta zawiera 27 utworów wykonanych wówczas dla ponadczterdziestotysięcznej widowni. „Thompson" wrócił na scenę na prośbę publiczności, a także swojego syna, któremu w ostatnich latach poświęcał czas ze względu na jego chorobę. Stąd dedykowana mu osobista ballada „Sine moj" z podziękowaniem Bogu za to, że zachował go przy życiu. Taki jest zresztą cały ten natchniony i pełen przejmujących pieśni koncert, wciągający słuchacza od pierwszych chwil. Kto nie zna, musi wysłuchać choćby najbardziej znanej z nich: „Bojna Čavoglave" („Batalion Čavoglave") śpiewanej przez kilkadziesiąt tysięcy gardeł, a powstałej właśnie czasie wojny w latach 90. A do tego inne historyczno-patriotyczne manifesty, np. „Anica – Kninska Kraljica", „Bosna", „E, Moj Narode", mój ulubiony „Duh Ratnika" czy ewangeliczne wyznanie wiary „Maranatha", do której słowa napisał bp Ante Ivas.

Płyta nie tylko nie ma słabych momentów, lecz także wiele razy przyszpila słuchacza siłą przesłania i rozmachem rock-popowego spektaklu. Skoro jako Polak rozumiem, o czym śpiewa Perković, nie znając chorwackiego, to nie dziwmy się jego gigantycznej popularności w Chorwacji i emocjom, które wzbudza. Na 5 lipca „Thompson" zapowiedział występ na hipodromie w Zagrzebiu. Nie wiem, jak to będzie wyglądało w praktyce, ale ma to być największy koncert w historii muzyki, na który w ciągu 2 dni sprzedano 500 tys. biletów (!). Liberalne media od lat atakowały „Thompsona" za to, że jątrzy w narodowych ranach, „pielęgnuje neurozy", wskazuje na zdrajców, zwodzicieli i fałszywych proroków oraz wzywa do walki i modlitwy. Jak powiedział mój redakcyjny kolega, Chorwat Goran Andrijanić, tłumacząc to na język ludzi, muzyka Pekovicia stała się po prostu wyrazicielem najgłębszych i najszlachetniejszych emocji Chorwatów. Gdy tysiące z nich śpiewają o miłości do ojczyzny („Iza Devet Sela") i wspominają jej bohaterów („Bijeli Križ"), wiem, że wykrzykują czystą prawdę.

Marko Perković „Thompson", Dugopolje Live 16.08.2024, Coratia Records 2025

eprasa.pl e8ec1033af

Idym na zbój

Ostre metalowe brzmienia, jazgotliwe gitary i pełne pasji teksty śpiewane wyłącznie góralską gwarą. Lub po norwesku. Taki jest nowy De Press

De Press działa i zgodnie z niedawną zapowiedzią mamy nowy album pod zagadkowym tytułem „Harnaś już nie żyje", który właśnie pojawił się w serwisach i sklepach. W pierwszej chwili tytuł przywodzi na myśl odwołanie do góralskiej mitologii, czasów, gdy pod Tatrami (zarówno w Polsce, jak i na Słowacji) zbójnicy prowadzili podjazdową wojnę z „panami". Siejąc strach i biorąc odwet za krzywdy, ciężki los i budując własną legendę. „Pójdźmy, chłopcy, zabijać" – za dukaty, łupy i dziewczyny – śpiewa Andrzej Dziubek. Przypominając, że w górach walczyli buntownicy prowadzeni przez Janosika, który zabierał bogatym i dawał biednym. „W końcu został złapany i stracony. Egzekucja była bardzo bolesna, a hak wbito pod żebro i zawieszono na drewnianej kłodzie" – przypomina znaną powszechnie historię.

Cóż, w życiu zbója spod Tatr liczyły się nie tylko dudki i gorzałka, lecz także życie z fasonem i pięknymi dziewczynami. Sporo jest tutaj też o sprawach damsko-męskich, często z dużą dozą dowcipu i pikanterii. „Będę Cię – albo nie" nie pozostawia wątpliwości, na co czeka zbój po powrocie z Liptowskich Murów do chałupy. Na tej płycie znajdujemy także przearanżowaną piosenkę sprzed lat. Tym razem to przebojowa „Kalina Malina", nagrana 30 lat temu na „Groj skrzypko, groj". Ludowa stylizacja pełna kapitalnych gitar imitujących skrzypce i basy ustąpiła jazgotliwym, ostrym riffom, przenosząc nas z podhalańskiej bacówki wprost do jakiegoś hardcore'owego klubu na wschodnim wybrzeżu USA w latach 80. Pan Andrzej wyjaśnia, że „Kalina Malina", choć w oryginalnej wersji została wykonana w łagodniejszej konwencji pop, to przecież „leci jednak na typowym ciężkim riffie" gitarowym.

Niesamowite jest jednak to, że w swoim kolejnym wcieleniu De Press, choć ostry i metaliczny, wciąż uprawia poletko muzyki góralskiej, która wcale nie jest prostą stylizacją – przeciwnie. Do tego wciąż hołduje głębokim nowofalowym, pełnym zaskakujących dysonansów brzmieniom z czasów Holy Toy, potęgując powagę, a czasem grozę, spraw, o których chce nam powiedzieć. „Harnaś" to muzyka mocna, ale nie przygnębiająca, agresywna, bo wydobywająca z góralskich trzewi złość, wściekłość i żal. „Det Blir lov" robi takie wrażenie, jakby Lemmy Kilmister zmartwychwstał i przyjechał z Motörhead na Orawę zagrać koncert. Teksty obu utworów zaśpiewanych po norwesku (nasz bohater spędził tam ponad 25 lat na emigracji w czasach PRL) traktują o znaczeniu autentycznej wolności i trawiącym współczesne społeczeństwo materializmie. Poza nimi jest jeszcze jeden: „De brente våre gårder" do wiersza norweskiej poetki Inger Hagerup.

Oczywiście nie raz słyszeliśmy taki zadziorny De Press, ale tym razem skala emocji generowanych gitarami i pełnym pasji śpiewem znacznie przekracza to, do czego przywykliśmy. Dziubek przypomina, że jego skłonność do grania na gitarze początkowo nawiązywała właśnie do brzmienia słynnych kapel z lat 60., takich jak Led Zeppelin i Black Sabbath, więc powrót do tego nurtu nie jest dla niego niczym obcym. A w nowym, odmłodzonym norweskim składzie, czuje się znakomicie. „Także mój wokal barwą musi być bardziej dynamiczno-agresywny, po prostu jestem wkurzony na przemoc" – wyjaśnia.

Być może też dlatego, że śpiewa o historii, bolączkach i niełatwym losie polskiego ludu.

Dodaje, że użyta w grafice okładki gotycka czcionka z pełną świadomością niemiecką przywołuje estetykę z czasów Bismarcka i Hitlera, przez co chce nawiązać do dzisiejszej sytuacji politycznej i niemieckiej mentalności, gdzie tak odczuwalną dominację, szczególnie nad krajami Europy Wschodniej, egzekwuje się za pomocą władzy i ekonomii. „Ale przecież »der Herrscher lebt nicht mehr?«" – ironizuje nasz rockowy baca. „Narvik" to oczywiście piękny hołd w konwencji hardrockowego przeboju złożony podhalańczykom walczącym w ramach brytyjskiej interwencji w 1940 r. No i „Reparacje". Co ciekawe, dawno temu Norwegia otrzymała od Niemiec 60 mln marek tytułem odszkodowań, choć przecież wspierała wysiłek wojenny tego kraju. Dlatego De Press upomina się o to świdrującą, gitarową „szczyptą soli w oczy" – tym, co mordowali, grabili, palili i nie zadośćuczynili.

De Press, „Harnaś już nie żyje", Apollon Rec. 2025

eprasa.pl e8ec1033af

POLA czeka na decyzję urzędników

Reaktor badawczy MARIA w NCBJ w Świerku czeka na licencję od Państwowej Agencji Atomistyki, choć wniosek o przedłużenie dokumentacji złożono siedem miesięcy przed upływem obowiązujących zgód

MACIEJ WOŚKO

To historia wielkiego sukcesu polskich fizyków jądrowych, którego efekt i komercyjne wykorzystanie może nam przejść koło nosa. I może się tak stać tylko dlatego, że w odpowiednim momencie zabrakło politycznej determinacji, żeby znaleźć środki na dokończenie wieloletnich badań. Jednak może być też tak, że komuś bardzo zależy, by polski reaktor jądrowy czwartej generacji nigdy nie powstał

Polski reaktor jądrowy POLA ma szansę stać się gamechangerem w energetyce cieplnej w Europie i na świecie. Jednak z niewiadomych powodów brakuje kilku decyzji urzędników rządu Donalda Tuska. Czasu jest niewiele, bo choć naukowcy wciąż nie wyjechali z podwarszawskiego Świerku, nie będą czekać w nieskończoność.

eprasa.pl e8ec1033af

ŚWIERK

O działalności Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Świerku zrobiło się głośno nie za sprawą dokonań zespołu kierowanego przez prof. Mariusza Dąbrowskiego ani dzięki zakończonemu w grudniu ub.r. projektowi pierwszego polskiego reaktora wysokotemperaturowego chłodzonego gazem (ang. High Temperature Gas-cooled Reactor) HTGR-POLA. To przerwa techniczna w jedynym działającym w Polsce reaktorze badawczym MARIA wzbudziła medialne wzmożenie, gdy okazało się, że od sierpnia ub.r. NCBJ czeka na zezwolenie od Państwowej Agencji Atomistyki na dalszą działalność reaktora.

Istotne jest, że oprócz prac badawczych reaktor MARIA pozwala także na produkcję preparatów dla radiofarmakologii. Pacjenci onkologiczni w Polsce zamarli. Media informowały o bałaganie w rządowych agencjach i Ministerstwie Przemysłu. Alarmistyczne diagnozy nieco tonował senator dr Grzegorz Czelej z PiS, przewodniczący senackiego Zespołu ds. Energetyki Jądrowej i OZE.

„Jeżeli przestój reaktora będzie trwał nie dłużej niż do początku maja, to nie będzie rodziło to skutków negatywnych w dostępie do radiofarmaceutyków, ponieważ w kwietniu ta przerwa była spodziewana i miała być wykorzystana na różnego typu prace remontowe. Brak tej zgody w kwietniu wynika ze skomplikowanej materii prawnej, która wymagała analiz w odniesieniu do nowego prawa atomowego" – mówił portalowi wPolityce.pl pod koniec marca. Jednocześnie nieoficjalnie sygnalizował, że zamieszanie wokół MARII może być próbą odciągnięcia uwagi od strategicznych decyzji dotyczących uzyskania niezależności dzięki wynalezieniu w Świerku własnej technologii jądrowej.

Ostatecznie po kilkudniowej wymianie opinii na temat urzędniczej niekompetencji szefowa resortu przemysłu Marzena Czarnecka odwołała z funkcji dyrektora Narodowego Centrum Badań Jądrowych prof. Krzysztofa Kurka. Jak komunikował rzecznik Ministerstwa Przemysłu, z ponownym uruchomieniem reaktora MARIA zmierzy się już nowy dyrektor.

Dlaczego w tym zamieszaniu odwołano akurat szefa NCBJ prof. Kurka, prowadzącego instytut w Świerku od 2015 r., z którym jest związany od niemal 30 lat? Notabene to też instytut, w którym właśnie powstał projekt pierwszego polskiego małego reaktora chłodzonego gazem POLA. Dlaczego stanowisko traci fizyk z ogromnym doświadczeniem i sukcesami, choć NCBJ złożyło wniosek do PAA o licencję na reaktor MARIA siedem miesięcy przed wygaśnięciem dotychczas obowiązujących zezwoleń?

– To jest sparaliżowanie pracy instytutu – mówi wprost senator dr Grzegorz Czelej. – Bezsporny jest fakt, że NCBJ zakończyło projekt reaktora POLA, mamy projekt podstawowy. Mamy technologię, która czeka tylko na dokumentację techniczną. I zamiast medali, odznaczeń i gratulacji dyrektor, który doprowadził do strategicznego sukcesu polskich naukowców, dostaje chaotyczne informacje o braku dalszego finansowania projektu i ostatecznie zostaje zwolniony.

> Polska dołączyła do grona krajów zdolnych skonstruować innowacyjne reaktory mogące zmienić sposób wykorzystania energetyki jądrowej w Unii Europejskiej na lata

Podobne reakcje na zwolnienie szefa NCBJ można usłyszeć od wielu osób, które znają osiągniecia profesora i stawkę, o którą toczy się gra. Prof. Stanisław Mrówczyński, dyrektor Departamentu Badań Podstawowych w Zakładzie Fizyki Wielkich Energii NCBJ, na facebookowym profilu zadaje pytania o rolę dyrektora Departamentu Energii Jądrowej w Ministerstwie Przemysłu dr. Pawła Gajdy. Jak czytamy na stronie resortu, dr Gajda jest też wiceprezesem European Nuclear Society, jednego z najstarszych stowarzyszeń na rzecz badań i rozwoju energetyki jądrowej w Europie. Powinien więc zdawać sobie sprawę z wyjątkowości projektu polskiego reaktora. Jak nieoficjalnie słyszymy od naszych rozmówców, nie jest jednak zwolennikiem projektu POLA, a zamiast do instytutu bliżej mu do komercyjnego Nuclear PL, spółki doradczej i fundacji prowadzącej m.in. portal na temat energetyki jądrowej, w zespołach których zasiadał jeszcze niedawno. Jego zdjęcie zniknęło ze strony nuclear.pl, gdy pojawiły się wątpliwości w sprawie odwołania szefa NCBJ.

ODWOŁANIA I PROTESTY

W tle tego zamieszania, które w ostatnim czasie dziwnym zrządzeniem politycznego losu coraz częściej dotyczy środowiska naukowców, pozostaje otwarte pytanie o finansowanie instytutu w Świerku, dokończenie projektu reaktora POLA i jego wykorzystanie komercyjne.

Jak łatwo doprowadzić do katastrofy w hermetycznym środowisku najlepszych na świecie naukowców, mogliśmy się przekonać w kontekście dokonanych już przez rządy koalicji Donalda Tuska zmian personalnych w kilku innych instytucjach.

Przykład zaskakującego całe środowisko naukowe odwołania założyciela IDEAS NCBR – polskiego centrum badań nad sztuczną inteligencją, prof. Piotra Sankowskiego jest dowodem, że urzędnicza indolencja potrafi przekroczyć wszelkie granice. We wrześniu ub.r. przegrał on organizowany przez radę nadzorczą instytutu konkurs na kolejną kadencję, wzbudzając autentyczne protesty środowiska i naukowców, których pozyskał do prac nad rozwojem AI. Prof. Sankowski ostatecznie wrócił na stanowisko szefa nowego instytutu badawczego IDEAS (Intelligent Algorithms for Digital Economy), który teraz wspólnie nadzorują Ministerstwo Cyfryzacji i Ministerstwo Obrony Narodowej.

W decyzji o odwołaniu szefa Polskiej Agencji Kosmicznej (POLSA) praca i naukowe osiągnięcia prof. Grzegorza Wrochny, notabene byłego dyrektora Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Świerku (2011–2015), też nie miały znaczenia. O jego dymisji zdecydował niepoprawnie odczytany w MON

eprasa.pl e8ec1033af

e-mail na temat zagrożenia związanego z niekontrolowanym wejściem w atmosferę członu rakiety Falcon 9. Szefa agencji, fizyka i uznanego naukowca, po prostu odwołano.

Można zatem przyjąć, że i nad realizowanym w Świerku projektem reaktora POLA pojawiły się niezbadane dotąd naukowo ciemne chmury.

Najwyraźniej czują to naukowcy w Świerku, którzy po odwołaniu dyrektora zwrócili się do premiera Tuska o interwencję. Dotarliśmy do pism przygotowanych przez Radę Naukową i pracowników NCBJ.

„Rada z ubolewaniem przyjęła odwołanie prof. dr. hab. inż. Krzysztofa Kurka ze stanowiska dyrektora NCBJ, które pełnił przez prawie 10 lat, bez podania uzasadnienia tej decyzji. Nie umożliwiono mu przedstawienia wyjaśnień, zwłaszcza wobec niezweryfikowanego szumu medialnego dotyczącego sytuacji NCBJ. Rada Naukowa pozytywnie oceniała coroczne sprawozdania Dyrektora z działalności NCBJ oraz przekazywała opinię do nadzorującego ministerstwa. Rozwój potencjału badawczego NCBJ w minionej dekadzie to w znacznym stopniu zasługa profesora Kurka, któremu składamy tym samym wyrazy wdzięczności" – czytamy w stanowisku Rady Naukowej NCBJ.

„Według naszej wiedzy wszelkie argumenty, które miałyby stanowić podstawę decyzji o odwołaniu Prof. Kurka ze stanowiska Dyrektora Narodowego Centrum Badań Jądrowych, nie zostały należycie zweryfikowane i nie znajdują odzwierciedlenia w rzeczywistości. Stanowczo sprzeciwiamy się tej decyzji" – piszą z kolei do premiera pracownicy NCBJ.

POLA, CZYLI POLISH ATOM

W grudniu 2024 r. w Senacie na posiedzeniu Zespołu ds. Energetyki Jądrowej i OZE, któremu przewodniczy senator Czelej, odbyła się wyjątkowa uroczystość. Zespół badawczy NCBJ przedstawił kompletny projekt pierwszego polskiego reaktora wysokotemperaturowego chłodzonego gazem HTGR-POLA. Obecni na spotkaniu ambasador Francji Étienne de Poncins oraz pierwszy sekretarz i kierownik sekcji ekonomicznej ambasady Japonii Kamio Nobumitsu owacyjnie, brawami na stojąco podziękowali zespołowi ze Świerku i wyrazili gotowość do współpracy z Polską w budowie reaktora. Wcześniej dyrekcji instytutu przekazano zamknięty opis techniczny reaktora w technologii HTGR.

To zwieńczenie trwających od 2016 r. prac w Świerku. Projektu finansowanego zarówno przez polski rząd, dotacje NCBR, wsparcie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (FNP) i Komisji Europejskiej oraz międzynarodowe granty z Euratomu. Projektu opartego na współpracy naukowej z Japońską Agencją Energii Atomowej popartą międzyrządowym porozumieniem.

> Bałagan i niekompetencja urzędników mogą doprowadzić do tego, że w 2035 r., zamiast korzystać z polskiej technologii jądrowej, będziemy kupować reaktory za granicą

W spotkaniu w Senacie udział wzięli m.in. przedstawiciele Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Świerku, ówczesny dyrektor Krzysztof Kurek oraz prof. Mariusz Dąbrowski i dr Józef Sobolewski, który przedstawił wyniki pracy zespołu. Podsumował też dokumentację dotyczącą uznania prac polskich fizyków nad reaktorem czwartej generacji. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (IAEA) uwzględniła już HTGR-POLA w bazie danych Advanced Reactor Information System (ARIS), która zawiera opisy ewolucyjnych i innowacyjnych projektów reaktorów jądrowych. Wcześniej Agencja Energii Jądrowej OECD (NEA OECD) opublikowała projekt HTGR-POLA w swoim raporcie (NEA SMR Dashboard 2024). To potwierdzenie, że na etapie projektowym koncepcja polskiego reaktora HTGR jest bezpieczna, wykonalna i możliwa do wykorzystania.

„Na koniec 2024 r. przekazaliśmy kompletną dokumentację techniczną, to jest ponad 3 tys. stron projektowych reaktora HTGR POLA – powiedział na spotkaniu organizowanym przez Komisję ITER w Parlamencie Europejskim 18 marca dr Józef Sobolewski, były dyrektor Departamentu Energii Jądrowej w Ministerstwie Energii, z doświadczeniem wyniesionym z Instytutu Badań Jądrowych i Instytutu Chemii Jądrowej Maksa Plancka w Moguncji, członek Komitetu Naukowego Euroatomu. – Projekt podstawowy to jest projekt techniczny do poziomu zasadniczych elementów. Projekt HTGR-POLA był jedynym projektem AMR przedstawionym w PE".

Wydaje się, że tym samym Polska dołączyła do grona krajów zdolnych skonstruować innowacyjne reaktory, które mogą zmienić sposób wykorzystania energetyki jądrowej w UE na lata. Ten należący technologicznie do czwartej generacji reaktor chłodzony gazem o temperaturze wyjściowej chłodziwa (hel) na poziomie 750 st. Celsjusza może dostarczać parę procesową (550 st. Celsjusza) dla przemysłu chemicznego i petrochemicznego, ciepło do efektywnej produkcji wodoru, a także produkować energię elektryczną czy ciepło komunalne.

STAĆ NAS NA POLSKI ATOM

„Polskie prace nad rozwojem technologii HTGR spowodowały umieszczenie w raporcie European SMR pre-Partnership technologii HTGR jako najbardziej dojrzałej do komercjalizacji technologii AMR (zaawansowany reaktor modułowy) w Unii. Co ciekawe, także rząd Wielkiej Brytanii uznał technologię HTGR jako najbardziej perspektywiczną technologię AMR i ustanowił finansowany z budżetu program rozwoju tych reaktorów. Jak na razie polski projekt wyprzedza brytyjski o kilka lat" – pisał w październiku 2023 r. dr Sobolewski na portalu Biznes Alert.

Na razie, bo cały świat wyraźnie wraca do energetyki jądrowej. Tyle że dziś największym zainteresowaniem cieszą się małe reaktory modułowe (SMR), któ-

eprasa.pl e8ec1033af

Z dniem 31 marca 2025 r. straciło ważność dotychczasowe zezwolenie prezesa PAA na eksploatację reaktora badawczego MARIA. Zdaniem naukowców to element gry urzędników wokół NCBJ w Świerku

Fot. NCBJ

rych postawienie kosztuje na tyle mało, że stać na to duże przedsiębiorstwa. Polska także zaliczyła krótki epizod związany z projektami budowy SMR, gdy ORLEN i KGHM rozpoczęły przygotowania do inwestycji w „mały atom". Po zmianie rządów oba projekty utknęły jednak w gąszczu audytów i rozliczeń z rządami PiS. Ostatecznie usłyszeliśmy, że sieć małych reaktorów planowana w czasie poprzednich rządów i zarządów to „zbyt ambitne cele".

BRAKUJE DECYZJI I STRATEGII

POLA ma być reaktorem badawczym. Pierwszym tak wydajnym HTGR-em w Europie, na bazie którego powołane w celu komercjalizacji projektu konsorcjum rozpocznie budowę kolejnych. Projekt staje się kluczowym przedsięwzięciem europejskiego sojuszu, bo do współpracy zaproszeni zostali też eksperci z Framatome (Francja).

Na spotkaniu w Senacie dr Sobolewski stwierdził, że zespół w Świerku w ciągu trzech lat może stworzyć szczegółowy projekt techniczny, wykonawczy pierwszego reaktora badawczego. To także trzy lata na przygotowanie dokumentacji wstępnego raportu bezpieczeństwa niezbędnego do uzyskania w rządzie tzw. decyzji zasadniczej o budowie POLI, co pozwoli postawić nowy reaktor po 2030 r. To znacznie szybciej niż uruchomienie pierwszego bloku dużej elektrowni jądrowej w Lubiatowie, planowane (przynajmniej według obecnych deklaracji) na 2036 r. Mogłoby się zatem okazać, że przy dobrze zaplanowanej ścieżce legislacyjnej i dotacyjnej POLA stałaby się pierwszym polskim sprawnym i gotowym do komercyjnego wdrożenia reaktorem jądrowym dysponującym mocą cieplną 30 MW (docelowo nawet 180 MW).

Ktoś powie, że nas nie stać, że to „zbyt ambitne cele"? Trzeba zaznaczyć, że już 10 lat temu, przed przystąpieniem do projektowania, prace poprzedzono wnikliwym badaniem rynku, z którego wynika, że największe polskie i europejskie przedsiębiorstwa są zainteresowane wykorzystaniem tego typu reaktorów. Co więcej, byłyby w stanie same sfinansować budowę własnych reaktorów, jeśli tylko powstanie pierwszy tzw. reaktor badawczy. Eksperci szacują koszt budowy HTGR-POLA w Świerku na ok. 2 mld zł. Ale dziś, żeby projekt nie utknął w szufladzie, koszt pracy nad dokumentacją jest wyceniany (tylko!) na ok. 100 mln zł w najbliższych trzech latach. To po 30 mln. zł rocznie, których już zabrakło w budżecie państwa na 2025 r.

– Dziś instytut w Świerku dostał mniejsze pieniądze niż w zeszłym roku, nie ma dalszego finansowania projektu POLA, nie ma pieniędzy na wynagrodzenia prawie pięćdziesięciu specjalistów i nie ma szefa instytutu – mówi senator Czelej, który na przełomie roku zgłaszał poprawkę do budżetu państwa, szukając finansowania dla NCBJ. Poprawka przepadła.

Na początku kwietnia prof. Mariusz Dąbrowski, koordynator zespołu odpowiedzialnego za opracowanie projektu technicznego HTGR-POLA, zaprezentował przygotowaną dokumentację techniczną oraz perspektywę dalszego finansowania projektowania, licencjonowania i budowy reaktora przed Komisją do Spraw Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych w Sejmie.

„Wdrożenie przeskalowanych do 180 MW cieplnych reaktorów wysokotemperaturowych przyczyni się do obniżenia emisji gazów cieplarnianych oraz zwiększy bezpieczeństwo energetyczne kraju" – czytamy w komunikacie z tego spotkania, które miało przekonać posłów wahających się i niezorientowanych w dziejowej szansie. Czy do przekonanych należą urzędnicy ministerstw odpowiedzialnych za znalezienie finansowania POLI? Dwa resorty mające wpływ na dalsze losy NCBJ to wspomniane Ministerstwo Przemysłu i udzielające dotacji oraz grantów Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Naukowcy, z którymi rozmawiamy, mówią wprost – bez grantów naukowych Świerk nie będzie działał. Fizycy jądrowi, chemicy, inżynierowie, profesorowie o ogromnym doświadczeniu projektowym i imponującym dorobku naukowym rozjadą się do innych ośrodków na całym świecie, jeśli w NCBJ nie będzie możliwości realizacji tak ważnych projektów. Paradoksalnie zatem piłka jest po stronie resortu nauki, bo odwołując prof. Kurka, ministra przemysłu dość jasno określiła już swoje intencje wobec projektów realizowanych w NCBJ.

Wciąż jednak brakuje wspomnianych 30 mln zł na ten rok, by POLA żyła w Świerku. Bałagan i niekompetencja urzędników mogą doprowadzić do tego, że w 2035 r., zamiast korzystać z polskiej technologii jądrowej, będziemy kupować reaktory za granicą. Może wtedy ktoś z resortu nauki przypomni sobie, że przepuściliśmy szansę, którą dali nam polscy naukowcy. Mamy projekt i dokumentację, potrzebny jest ostatni krok. Polski reaktor jądrowy POLA czeka już tylko na decyzję urzędników – jeśli nie Ministerstwa Przemysłu, to może resortu nauki.

eprasa.pl e8ec1033af

PAWEŁ GAIK*

Majówkowe espresso

„Jednodniowe wycieczki są jak espresso w świecie podróży – krótkie intensywne i pobudzające" – pisze Paweł Gaik, podróżnik i twórca instagramowego profilu „Życie po pracy", zapraszając na „Wyprawy niedalekie" odkrywające Kraków i jego okolice.

Z kolei Monika i Seweryn Masalscy, autorzy bloga Mikrowyprawy z Warszawy, proponują (również nieodległe, ale pełne wrażeń) rodzinne wędrówki przez mazowieckie dzikie plaże czy rzeczne meandry.

Co łączy oba przewodniki? Poza wydawcą (Znak Literanova) pasja, doświadczenie podróżnicze oraz sprawdzone i przejrzyście opisane marszruty. A także podział tras na trzy bloki różniące się dostępem czasowym, a jednocześnie w sam raz wpisujące się w dłuższe i krótsze – majowe, czerwcowe, a potem wakacyjne i jesienne – podróżnicze weekendy.

Mamy więc atrakcje znajdujące się w obrębie aglomeracji oraz leżące do jednej i dwóch godzin od miasta. Warszawscy autorzy pokazują czytelnikom m.in. „amazońską dżunglę w stolicy Polski" (czyli warszawskie łęgi ciągnące się wzdłuż wiślanego brzegu), a także „wielkie wydmy niemal jak nad Bałtykiem". Dzielą się radością odkrycia rozciągniętej nad starorzeczem Liwca kładki w Kaliskach (stanowiącej część nowej przyrodniczej ścieżki edukacyjnej zakończonej niespodzianką – tarasem widokowym na skarpie).

Masalscy stawiają na relaks nad wodą. Oferują pięćdziesiąt szlaków. Każdy z nich jest doskonale opisany, dołączono do niego mapkę, a także przydatne informacje, wśród których nie brak rodzicielskich podpowiedzi i komentarzy.

W książce Pawła Gaika, w której wśród 55 miejsc w Krakowie i okolicach odnajdziemy m.in. „rajski ogród ukryty w centrum miasta", Źródło Miłości w dolinie Eliaszówki czy „skandynawskie krajobrazy i polskie Malediwy", poza wskazaniem turystycznych atrakcji (także związanych z wodą) jest więcej obrazowych, dynamicznych opisów. Wykonał je wędrowiec, który w wolny dzień (czasem wystarczy popołudnie) rusza ku przygodzie. Ładuje baterie i bez zobowiązań „flirtuje z podróżowaniem".

„Pamiętam swoją najdłuższą wycieczkę na rowerze do Nowej Huty" – pisze Gaik. „Wyposażony w przewodnik po krakowskich szlakach rowerowych ruszyłem na cały dzień zobaczyć jeszcze raz znane miejsca i odkryć kilka nowych. Kiedy dotarłem na kopiec Wandy, przez wakacyjny upał czułem się jak kawałek masła na gorącej patelni. Spojrzałem na mapę i dostrzegłem miejsce wyglądające jak pojezierze. Tak trafiłem na Przylasek Rusiecki". A dalej jest jeszcze ciekawiej.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autor książki „Wyprawy niedalekie", Monika i Seweryn Masalscy – przewodnik „Nad wodę. Mikrowyprawy z Warszawy".*

Fot. Materiały prasowe

SŁODKO-SŁONY

Orzeźwienie na upały

ANNA MONICKA

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz spróbowałam sałatki z arbuza – pewnie wtedy, kiedy moja sąsiadka prowadziła firmę cateringową i od czasu do czasu zapraszała nas, żebyśmy oceniły jej nowe kulinarne hity. Wcześniej miałam ambiwalentny stosunek do tych owoców. Przejadłam się nimi w Bułgarii, tak że na mniej więcej 20 lat miałam dość.

Ale jednak egzotyczna kompozycja z serem feta i kruszonymi pistacjami podbiła moje serce i podniebienie. Do tego stopnia, że postanowiłam uraczyć nią gości w święta. Uznałam, iż w upał takie lekkie i dobrze nawadniające danie będzie znacznie lepsze niż jakakolwiek, nawet najlepsza, sałatka jarzynowa z majonezem, który jest po prostu za ciężki przy temperaturach znacznie przekraczających 20 st. Celsjusza. Okazało się, że moja rodzina jest gotowa na nowinki. Wszyscy byli zachwyceni.

Arbuzy, i to całkiem smaczne, o tej porze roku można już kupić bez problemu. Przyjeżdżają z Grecji, bo na nasze trzeba poczekać jeszcze jakieś dwa miesiące. Zdobycie dobrej fety także nie jest już problemem, a orzechy pistacjowe są w każdym markecie, podobnie jak limonki. To tak naprawdę wszystkie składniki do sałatki, chociaż na forach internetowych widziałam różne wariacje – a to z czarnymi oliwkami, a to z ogórkiem czy czerwoną cebulą. Smak można wzbogacić, chociaż oczywiście i tak najważniejsze będzie zderzenie owocowej słodyczy ze słonym serem i kwaskowatą nutą cytrusów.

Arbuza kroimy w grube plastry, usuwamy nożem pestki, a potem plastry kroimy na kostki o bokach mniej więcej dwucentymetrowej długości. Wrzucamy do durszlaka, żeby trochę obciekł (sok oczywiście wypijamy). W nieco mniejsze kostki kroimy fetę – powinna być owcza lub owczo-krowia, bo tylko taka ma charakterystyczny smak i zapach. Wybierajcie taką, która pływa w solance. Orzechy, również lekko słone, kroimy nożem lub rozgniatamy w moździerzu. Zmielone w maszynce zamieniają się w tłustą pastę, a powinny być chrupkie. Limonkę szorujemy szczoteczką i myjemy w ciepłej wodzie. Najlepiej kupić ekologiczną, bo przyda się nie tylko sok, lecz także starta skórka, która niesamowicie podkręca smak.

Mieszamy składniki, polewamy odrobiną oliwy, oprószamy świeżo zmielonym pieprzem. Na koniec można posypać pokrojonymi listkami mięty.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Od łasicy do borsuka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Rodzina łasicowate (*Mustelidae*) jest intrygującą grupą drapieżników. W Polsce żyje dziewięć reprezentujących ją gatunków. **Norka europejska** o przepięknie kasztanowo błyszczącym futerku, dobrze pływająca i spędzająca dużo czasu na wodnych łowach, od 100 lat jest uważana za wymarłą. Główną przyczyną jest sprowadzenie norki amerykańskiej – większej, silniejszej i zajmującej tę samą niszę ekologiczną, która wyparła norkę europejską.

Największym, nieco nietypowym polskim łasicowatym jest **borsuk**. Roślinożerny, lubiący również drobne bezkręgowce, w tym dżdżownice, jest powolny i flegmatyczny – w przeciwieństwie do innych gatunków będących istnymi wulkanami energii imponującymi sprawnością.

Najczęściej spotykana jest **kuna domowa**, czyli kamionka. Licznie występuje w miastach. Choć jest widywana rzadko, o jej obecności świadczą wypatroszone ocieplenia dachów, w których robi gniazda, i przegryzione kable w autach. Czasem rankiem na zakurzonych karoseriach można zobaczyć odciski małych łapek – to kuna (lub kot, ale jego tropy są mniejsze).

Kuna leśna, czyli tumak, jest znacznie rzadsza. Unika ludzi, woli lasy. Od kuny domowej różni się żółtawą plamą na piersi (kuna domowa ma plamę białą, rozgałęziającą się na przednie łapy).

W polskiej faunie łasicowatych mamy także dwa gatunki tchórzy: **zwyczajnego** oraz rzadkiego **tchórza stepowego**. Ten drugi gatunek, związany z koloniami susłów, na które poluje, zasiedla tereny na południe i wschód od naszego kraju, w Polsce osiąga granicę zasięgu.

Wydra to gatunek najsilniej związany z wodami, prowadzący ziemnowodny tryb życia. Ostatnio nieco liczniejsza wymaga wód nie tylko zasobnych w ryby, raki i małże (poluje też na ptaki), lecz także odpowiednio przejrzystych – w polowaniu pomagają jej czułe wąsy, ale podczas lokalizowania zdobyczy posługuje się również wzrokiem.

Chyba najciekawszym gatunkiem jest **łasica** zwana łaską. Bywa mylona z większym, znacznie rzadszym **gronostajem**, ponieważ niektóre łasice podobnie jak on na zimę stają się białe za wyjątkiem czarnej końcówki ogona. Malutka, o wydłużonym kształcie kiełbaski, osiąga masę ciała do 250 g, lecz zdarzają się osobniki ważące 30 g. Mimo niewielkich rozmiarów potrafi upolować zwierzę wielkości zająca, a według plotek nawet młodą sarnę. W razie zagrożenia może zaatakować człowieka – i to nie łasica jest wówczas w strachu.

eprasa.pl e8ec1033af

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Nasza tolerancja

Jedną z najważniejszych zapowiedzi wyborczych dr. Karola Nawrockiego jest wypowiedzenie paktu emigracyjnego. Co prawda to kompetencja rządu, ale przyszły prezydent wybrany w powszechnym głosowaniu reprezentuje państwo w stosunkach zewnętrznych, gdyż ratyfikuje i wypowiada umowy międzynarodowe. Ma też prawo zwrócić się do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o stwierdzenie zgodności umowy międzynarodowej z konstytucją. Zakładam, że Europejski Trybunał Sprawiedliwości ani Europejski Trybunał Praw Człowieka czy Komisja Europejska nigdy nie zastąpią naszego TK. Najważniejsze jest to, że nasz kandydat na prezydenta reprezentuje pogląd zgodny z odczuciami polskiego społeczeństwa, które w większości sprzeciwia się nielegalnej emigracji.

Po uszczelnieniu zapory na granicy z Białorusią okazało się, że nielegalni emigranci docierają do nas z Niemiec. Według niemieckich danych do Polski zawrócono już ponad 10 tys. obcych. Zdaniem Niemców są to osoby słabo przydatne w ich gospodarce, a więc źle wykształcone. W większości są wyznania muzułmańskiego i swoje pierwsze kroki kierują w stronę tych współbraci, którzy mają już jakieś zaczepienie w nowym miejscu. Dlatego tak dużo widziano ich w Gdańsku, gdy obchodzili ramadan. Dla nas widok nieco szokujący, ale już typowy dla państw na Zachodzie. Wyznawcy Allaha publicznie praktykują swoją religię, widać to zwłaszcza w okresie ramadanu, gdy tymczasem chrześcijanie przed Wielkanocą, w okresie Wielkiego Postu, skupiają się na modlitwach w kościołach. Na Zachodzie ramadan jest widoczny w sklepach, reklamach, mediach, a w prezentowanych „ramadanowych" treściach widać szczególną troskę o to, aby nie urazić żadnego z nowych przybyszy. W ten sposób muzułmanie czują się jak u siebie, pod jednym wszakże warunkiem – aby chrześcijańskie ceremoniały nie odbywały się w ich sąsiedztwie, bo to uraża ich uczucia religijne. Mamy więc zupełnie inne pojmowanie, czym jest tolerancja, także religijna.

Wzorem dla innych była dawna Polska, która od stuleci szczyciła się tolerancją religijną. Bolesław Pobożny (XIII w.), książę kaliski, nadał tysiącom Żydów takie przywileje, jakich nie mieli nigdzie w Europie. Za czasów króla Władysława Jagiełły i jego stryjecznego brata Witolda bardzo chętnie przyjmowaliśmy Tatarów szukających w naszym kraju schronienia przed prześladowaniami Złotej Ordy i Krymu. Są z nami od XIV w. i pozostają lojalnymi obywatelami Polski, choć nadal wyznają islam. Na Lubelszczyźnie do dziś można spotkać ludzi noszących obco brzmiące nazwiska rozpoczynające się od przedrostka „mac": Mackowscy, Mackińscy itd. To potomkowie dawnych Szkotów, których prześladowali protestanci. Zawitali do nas także prześladowani prawosławni, którzy sprzeciwili się polityce cara Piotra I, gdy podporządkował sobie Cerkiew. We wsi Wojnowo między Rucianem-Nidą a Mikołajkami do dziś stoją dwie małe cerkwie. Wcześniej rozgościli się u nas luteranie, a potem arianie i kalwiniści, przedstawiciele nurtów protestanckich w Kościele. To w Polsce znaleźli godne warunki do wyznawania swojej wiary, przyczyniając się też – jak Andrzej Frycz-Modrzewski – do naprawy Rzeczypospolitej, czy jak Mikołaj Rej do stworzenia nowoczesnego języka polskiego. Nie znaczy to jednak, że stosunki chrześcijan i zwolenników Marcina Lutra czy Jana Kalwina były tylko sielankowe, np. arian oskarżono o sprzyjanie Szwedom i dano im wybór: albo przejście na katolicyzm, albo wygnanie z Polski.

A więc obecność na polskim terytorium wiązała się z oczywistą lojalnością w stosunku do kraju zamieszkania. Dlatego tak trudno nam zrozumieć zachowanie niektórych Polaków, np. posłów obrażających polskich żołnierzy pełniących służbę na granicy z Białorusią. Najdobitniejszym tego przykładem jest film Agnieszki Holland szkalujący Polaków. Kim są ci ludzie? Na pewno nie polskimi patriotami.

Na koniec refleksja po spotkaniu w pewnej szkole z grupą przyszłych maturzystów. Już w prawie każdej polskiej szkole są młodzi z innych państw. Najwięcej Ukraińców, ale można spotkać jeszcze nielicznych młodych muzułmanów. Jak ich traktować, aby utrzymać przyjacielskie stosunki, aby ich nie urazić, a zarazem nie pozwolić na to, aby swoim postępowaniem wymuszali na nas tylko wygodne z ich punktu widzenia reakcje pod pretekstem, że są mniejszością? Chodzi tu o tak źle przez nas postrzeganą „roszczeniowość". Prof. Jan Majchrowski też dostrzega ten problem i prognozuje, że czeka nas wielkie zadanie wychowania tych mniejszości w duchu tradycyjnej polskiej tolerancji. A prawdziwa tolerancja nigdy nie powinna się przemieniać w akceptację, jeśli nasza narodowa kultura i tożsamość – prawo, religia, obyczaje, tradycje, zwyczaje – zostaną naruszone. I trzeba dołożyć trudu, aby wychowywać młodych emigrantów na takich polskich obywateli, którzy za oczywistość uznają fakt naszych słusznych praw we własnym państwie władanym przez Polaków od ponad tysiąca lat.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Ukraiński generał i polska dzicz

Andrzej Rafał Potocki

Dziś ciekawe refleksje Hryhorija Omelczenki z okazji piętnastolecia tragedii smoleńskiej. Omelczenko jest generałem lejtnantem Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i doktorem prawa, był deputowanym Rady Najwyższej pięciu kadencji. Ma tytuł Bohatera Ukrainy. Jako analityk wywiadu w przeszłości wykazał się wiedzą wręcz profetyczną (jak na zachodnie standardy), która dla wielu Polaków znających historię Moskwy i polityki Kremla (podobnie zresztą jak dla części Ukraińców) jest po prostu zdroworozsądkowym przewidywaniem. W kwietniu 2008 r. na spotkaniu Komitetu Politycznego Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy Omelczenko ostrzegał, że w ciągu pół roku dojdzie do konfliktu zbrojnego między Moskwą a Gruzją, który rozpęta Kreml w celu ogłoszenia niepodległości Osetii Południowej i Abchazji (były częścią Gruzji) i utworzenia tam swoich baz wojskowych (co nastąpiło w sierpniu 2008 r.). Rok później przestrzegał świat, że Federacja Moskiewska rozpocznie agresję militarną przeciwko Ukrainie i zaanektuje Krym: „Za pięć lat aneksja Krymu przez Rosję stanie się rzeczywistością, taką samą jak aneksja Abchazji i Osetii Południowej w Gruzji" – mówił. I tym razem miał rację, ale nikt go specjalnie nie słuchał.

W przededniu katastrofy smoleńskiej, 9 kwietnia 2010 r., gen. Omelczenko wyraził kategoryczną opinię, że samolot z Lechem Kaczyńskim na pokładzie nie będzie mógł wylądować na lotnisku w Smoleńsku. Pisze o tym w swojej książce „Samolot dla prezydenta". „Requiem w Katyniu zostanie przerwane, nie odbędzie się. Nie może się odbyć w żadnej pogodzie i warunkach. Samolot Kaczyńskiego poleci wszędzie: do Moskwy, Mińska, do diabła z kuliczkami. Wymyślą wszystko, żeby nie mógł wylądować w Smoleńsku. W razie potrzeby stworzą mgłę... Albo dojdzie do przypadkowego uszkodzenia pasa startowego, zawiedzie sprzęt sterujący samolotem, a przed podejściem do lądowania dowódca samolotu usłyszy, że nie może go przyjąć... Wojsko ma dziś w swoim arsenale takie technologie, że specjaliści potrafią rozproszyć nie tylko chmury deszczowe i burzowe, ale w razie potrzeby stworzą mgłę »mlekiem«, nie wspominając o innych technicznych »sztuczkach« i efektach specjalnych, które mogą zostać wykorzystane do zakłócenia zaplanowanych przez Polaków wydarzeń... Requiem zaplanowane na jutro rano z udziałem i przemówieniem Kaczyńskiego w Katyniu się nie odbędzie. W ten sposób Kreml pokaże, kto tu rządzi, a Kaczyński jest niepożądanym gościem w Rosji" – podsumowywał Omelczenko. „Kiedy następnego dnia doszło do tragedii – kontynuuje swoja myśl generał – zrozumiałem już (jako śledczy i oficer kontrwywiadu), że służby specjalne Kremla na polecenie kierownictwa Putina–Miedwiediewa przeprowadziły specjalną operację mającą na celu zniszczenie samolotu".

Co według Omelczenki było głównym powodem zamachu smoleńskiego? „Jako członek delegacji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy brałem udział w wydarzeniach w Gdańsku poświęconych 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Słuchając z zapartym tchem emocjonalnego przemówienia Kaczyńskiego, zobaczyłem, jak twarz Putina wykrzywiła się ze złości i nienawiści pod wpływem gorzkich, ale prawdziwych słów polskiego prezydenta. Jeden z litewskich deputowanych Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, który był w pobliżu, powiedział: »Putin nigdy mu tego nie wybaczy...«. Jego słowa okazały się prorocze". W opinii generała także treść przemówienia, które Lech Kaczyński miał wygłosić w Katyniu, wywołało wściekłość na Kremlu. „Rosyjskie kierownictwo – Miedwiediew–Putin – wiedziało z wyprzedzeniem o treści przemówienia Kaczyńskiego (a także o scenariuszu jego wizyty w Katyniu) od agentów rosyjskich służb specjalnych w Warszawie. Miedwiediew, a zwłaszcza Putin, nie mogli pozwolić Lechowi Kaczyńskiemu na wygłoszenie takiego przemówienia. Ci ostatni musieli już wcześniej wysłuchać gorzkiej, ale historycznej prawdy od Kaczyńskiego o tragedii katyńskiej, o ataku Niemiec i Związku Radzieckiego na Polskę bez wypowiedzenia wojny, w obecności dziesiątków tysięcy Polaków i wielu delegacji państw świata pod przewodnictwem ich przywódców 1 września 2009 r. podczas wydarzeń w Gdańsku".

Sam Omelczenko co roku 10 kwietnia udaje się do monastyru św. Michała Archanioła o Złotych Kopułach. Zapala 96 świec. Pięć lat temu przekazał listę nazwisk zmarłych duchownym i poprosił o odprawienie nabożeństwa za spokój dusz prezydenta Polski Lecha Kaczyńskiego, jego żony Marii, wojskowych, polityków i księży, którzy znajdowali się na pokładzie samolotu. Zapala też dużą świecę, aby uczcić spokój dusz prawie 22 tys. polskich jeńców wojennych zamordowanych w 1940 r. przez stalinowski reżim. A u nas? Rządząca ekipa dalej brnie w kłamstwa o zbrodni Putina, posiłkując się ryczącą dziczą spod znaku Silnych Razem, urządzając obrzydliwy cyrk na pl. Piłsudskiego w każdą miesięcznicę tragedii smoleńskiej.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e8ec1033af

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Zmartwychwstanie

Aleksander Nalaskowski

Jeśli się dobrze zastanowić, okaże się, że żyjemy w świecie powszechnie niezrozumiałym. Otaczają nas przedmioty, których działania nie rozumiemy, co nie oznacza, że są bezużyteczne czy niepotrzebne. Jeżdżę autem z automatyczną skrzynią biegów, korzystam z internetu i komputera. Używam kart płatniczych i telefonu komórkowego, w kuchni mam płytę indukcyjną, telewizor uruchamiam pilotem i nie rozumiem niczego z wyżej wymienionych urządzeń, nie wiem, jak działają i nawet mnie to nie interesuje. Mają działać i tyle. Zaakceptowałem ich tajemnicę i nawet nie próbuję jej rozwikłać. Przy jakiejś okazji miałem możliwość zajrzenia do środka komputera, bo z jakiegoś powodu był pozbawiony zewnętrznej obudowy. Jednak w żaden sposób nie dało mi to jasności, jak to urządzenie „myśli". Podobnie przecież jest z ludzkim mózgiem.

Świat natury to jedna wielka tajemnica. Nie wiemy, dlaczego liście są zielone, a nie np. niebieskie. Znamy prawa przyrody i potrafimy je wykorzystywać, siejąc zboże, stawiając młyny wodne, zaprzęgając do pracy wiatr, ale nie wiemy, kto te prawa stworzył, dlaczego właśnie te, a nie inne. Cała medycyna polega na konfrontacji praw. Tak powstała penicylina, tak wykorzystywano chininę, tak działają środki znieczulające i usypiające.

Wszędzie tam są związki chemiczne, które nauczyliśmy się stosować. Ale przecież ich nie wymyśliliśmy! Nie jesteśmy w stanie zmienić praw natury, ale możemy je odkrywać, a odkrywszy – stosować. Tak działa rakieta kosmiczna, pokonując siłą silników grawitację, tak działa broń, miotając pocisk detonacją prochu, tak wreszcie działa dorożka, której bezwładność i ciężar koń pokonuje siłą mięśni. Wykorzystujemy zatem istniejące prawa, ale nie jesteśmy w stanie ich zmienić, unieważnić czy uchylić. Mierzymy się z nimi bezustannie.

Istnieje jednak wyjątek dany bardzo nielicznym. Pozwala on sprzeciwić się prawom natury i pokonać je. Tym wyjątkiem jest cud. Tylko za sprawą cudu można chodzić po wodzie, wskrzeszać umarłych, przywracać wzrok ślepym, uzdrawiać nieuleczalnie chorych, mnożyć chleb na pustkowiu, zamieniać wodę w wino czy wreszcie – najważniejszy cud – zmartwychwstać, pokonując bezlitosną śmierć. Gdyby nie cud, człowiek by tonął na głębinie, zmarli pozostaliby martwi, ślepi ślepymi, a Ukrzyżowany nigdy by nie wyszedł z grobu. Wszystkie powyższe przypadki polegały na uchylaniu, powstrzymaniu działania praw natury. Tę moc miał Jezus, miewali ją też niektórzy święci.

Czas Wielkanocy to zawsze czas świętowania i przeżywania największego z cudów. To celebracja unieważnienia praw okrutnej śmierci. To także czas nadziei i wiary, że mamy więcej niż jedno życie, że warto żyć godnie i z miłością. Banał? Pewnie tak, ale aktualny. Na wszystkich cmentarzach świata spoczywają bowiem ci, którzy oczekują zmartwychwstania.

W 1918 r. zmartwychwstała Polska. Po ponad 120 latach niebytu powstało suwerenne państwo polskie. To nie był przypadek, owo odrodzenie można śmiało uznać za polityczny i społeczny cud. Polacy zakasali rękawy i zabrali się do roboty. Tak dynamicznego rozwoju nie rejestrowaliśmy dotąd w naszej historii. A przemysł, kulturę, oświatę, sądy i w ogóle całą administrację trzeba było budować niemal od zera. Nie uniknęliśmy błędów, ale sukcesów II Rzeczpospolitej nie da się zbyć milczeniem. Tak jak nie da się zbyć i zapomnieć wielkiego lania, które w 1920 r. sprawiliśmy bolszewii. Nie na darmo nazwano je Cudem nad Wisłą. A jego skutki były doniosłe dla całej Europy. Tej samej, która dzisiaj wyje do lewicowo-liberalnych ideologii. Tej samej, która za wszelką cenę chce wypchnąć zmartwychwstanie poza margines światopoglądowy.

Jak nigdy trzeba nam elit, które wyjaśnią to, co niezrozumiałe i przygotują grunt pod kolejne zmartwychwstanie naszej Polski

Jak wspomniałem na początku, żyjemy w świecie powszechnie niezrozumiałym i owo zakochanie w lewactwie – od tęczowego przez czerwony do zielonego – jest niezrozumiałe, a wręcz niepojęte. Niepojęta jest też postawa wielu artystów, ludzi z definicji wrażliwych, wobec zaprowadzanej dyktatury. Wielu z nich po prostu milczy i to milczenie też jest niepojęte. Należy pytać, jakie prawa tym rządzą. Ale pytać próżno, bo telewizyjni fachowcy od wszystkiego, profesorskie „autorytety" nie mają nic do powiedzenia. Koryfeusze nauk społecznych potrafią wyłącznie krytykować albo chwalić. Chyba nie stać ich na poważniejsze i obiektywne analizy. Wiele się mówi o sojuszu tronu z ołtarzem, a tymczasem trzeba by się przyjrzeć sojuszowi władzy z nauką, i to bez oglądania się na taką czy inną opcję polityczną. Jak nigdy trzeba nam elit, które wyjaśnią to, co niezrozumiałe, opowiedzą o mechanizmach społecznych i przygotują grunt pod kolejne zmartwychwstanie naszej Polski.

eprasa.pl e8ec1033af

Michał Korsun prezentuje: „Hołd Tuski", czyli spotkanie Donalda Tuska z Olafem Schulzem

Wycinki z przeszłości

Wiosną 1988 r. tygodnik „Motor" relacjonował dramatyczne poszukiwania wszelkich towarów, w tym części samochodowych.

„Gdy zobaczymy napis »pieczywo«, wcale już to nie oznacza, że w środku będą bułki, natomiast w salonie z częściami do FSO 125p możemy często dostać akcesoria, ale do pojazdów innych marek.

I tak poszukiwałem płynu Borygo do układu chłodzenia. Traf zrządził, że w okresie przedświątecznym wystąpiły kłopoty z kupnem tego artykułu. Nawet w większości stacji benzynowych, gdzie prowadzili sprzedaż luzem, zapasy się wyczerpały.

Przypadkiem zajrzałem do sklepu specjalistycznego z częściami do PS 126p, by zapytać, czy nie dostali pasków klinowych. Pasków nie było, natomiast półki uginały się pod ciężarem litrowych butelek z borygiem.

Jeden z klientów sklepu, w którym kupiłem borygo, poinformował mnie, że widział paski klinowe, tyle że w... mięsnym znajdującym się w centrum stolicy. Gdy tam dojechałem, po paskach nie było śladu, natomiast ze zdumieniem zobaczyłem cewki zapłonowe obok kiełbasy zwyczajnej, a uszczelki pod pokrywę zaworów przy mące i cukrze".

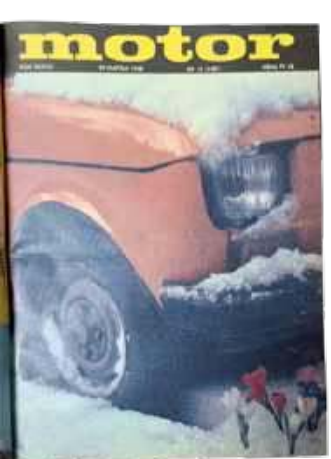

Ale jak taka zdobycz smakowała! Choć za tym aspektem dawnych lat, piekłem kolejek, zakupów i wiecznych braków nikt chyba nie tęskni.

(mk)

Z WOLEJA

Władysław Komar, czyli raz a dobrze!

Ryszard Czarnecki

Gdyby był Amerykaninem – rodakiem tych, którym spuścił lanie na igrzyskach olimpijskich w Monachium – powstałoby o nim parę hollywoodzkich produkcji. Sportowiec – złoty medalista IO, artysta, aktor, dusza towarzystwa, playboy i Sarmata birbant. Pochodził ze szlacheckiego rodu z majątkami na północno-wschodnich kresach RP. Urodził się w Kownie, przedwojennej stolicy Litwy, gdzie żyła liczna, bardzo dobrze zorganizowana polska mniejszość – do połowy lat 30. ub.w. nasi rodacy stanowili większość w radzie tego miasta (zmieniło się to dopiero wtedy, gdy litewski rząd przeforsował prawo, wedle którego połowę radnych wybierali mieszkańcy Kowna, a połowę mianował rząd!). Mały Władek przeżył traumatyczne chwile. Jego ojca, oficera AK, Litwini żywcem zakopali w rodowym majątku Rogówek. Późniejszy mistrz olimpijski miał wtedy zaledwie cztery lata.

Sportowe geny odziedziczył po wspomnianym już ojcu płotkarzu i mamie, rekordzistce Polski w pchnięciu kulą. Ta dyscyplina była jego przeznaczeniem, ale pierwszą miłością okazał się boks. Trafił na ring już w 15. roku życia i stoczył aż 76 walk, z czego przegrał jedynie 12. Można przewrotnie powiedzieć, że „Mazurek Dąbrowskiego" dla Komara podczas igrzysk na niemieckiej ziemi (wtedy zawsze smakuje szczególnie!) pośrednio zawdzięczamy... włoskiemu pięściarzowi o nazwisku Masteghin, który ciężko znokautował naszego bohatera podczas meczu reprezentacji młodzieżowych Polski i Italii.

Po boksie było rugby, a potem Władysław Komar zakochał się w lekkoatletyce. Z wzajemnością. Siedem razy był medalistą mistrzostw Europy w hali i na stadionie, zdobył trzy medale srebrne i cztery brązowe. To paradoks, ale nigdy nie będąc mistrzem Starego Kontynentu, został mistrzem olimpijskim. Był wówczas w świetnej formie, a także użył wręcz kresowego, godnego Zagłoby fortelu: przed konkursem olimpijskim odbył trening przed konkurentami i rzucał na nim lżejszą kulą. Rywale przyszli, zobaczyli ślady po rzutach Komara w okolicach 22 m i chyba uznali, że nie ma szans wygrać z mocarnym Polakiem. Komar miał tyko jedną świetną próbę (na sześć). Resztę zepsuł, ale w pierwszym rzucie uzyskał 21,18 m. Ostatecznie o centymetr wygrał przed jednym Amerykaninem i 4 centymetry przed drugim. Na podium ten olbrzym o gołębim sercu rozpłakał się. Potem wyznał, że pomyślał o ojcu zamordowanym 28 lat wcześniej.

Lubił się bawić. Mawiał, że „litr to nie jest jeszcze ilość dla prawdziwego mężczyzny". W tym miesiącu upłynęła 85. rocznica urodzin chłopaka z Kresów, mistrza z Monachium, Władka Komara.

eprasa.pl e8ec1033af

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

W parku przeciw algorytmom

Czy jest lepsza pora niż wiosna, by znów uprawiać sporty plenerowe?

Dziś rzadko się zdarza, żeby w jakimś tygodniku nie było tekstu poświęconego technologiom cyfrowym, a zwłaszcza sztucznej inteligencji. Na jej temat rozprawia się w ramach chyba wszystkich baniek informacyjnych. Trudno się dziwić, bo – czy zdajemy sobie z tego sprawę, czy nie – już dziś, przy dopiero raczkującej AI, życie nas wszystkich coraz częściej podlega wpływom jej algorytmów.

NIE ROZUMIEMY, ALE MAMY SIĘ CIESZYĆ

W wywiadzie dla „Newsweeka" (17 marca 2025 r.) o algorytmach opowiada ekonomista prof. Marek Kowalkiewicz, kierownik katedry gospodarki cyfrowej na jednej z australijskich uczelni.

Z jednej strony porównuje algorytmy do przepisów z książki kucharskiej, czyli zbioru „instrukcji, które należy wykonać", ale z drugiej – co nie jest spójne z pierwszym – podkreśla, że w przypadku algorytmów w systemach AI „nie jesteśmy już w stanie zobrazować sobie, jak te algorytmy działają".

Chociaż w rozmowie nie bark przykładów zgubnego dla ludzi wpływu algorytmów, to technoentuzjazm, któremu profesor ulega, rozmywa wszystkie te zagrożenia. Lekceważy to, że algorytmy już „przejrzały nas na wylot", gdyż „dzięki wielu algorytmom jesteśmy zdrowsi, żyjemy dłużej, nasze samochody powodują mniej wypadków" a „świat pod wieloma względami jest lepszy".

Prof. Kowalkiewicz radzi, by się pogodzić z utratą kontroli nad tym, jak działa algorytm, „ale też musimy się przed tym zabezpieczyć. Słowem, [...] musimy stworzyć struktury, które pozwolą na utrzymanie ich w ryzach".

Jego uwadze umyka jednak kwestia: jak mielibyśmy to zrobić, skoro działanie wielu algorytmów nie jest dla nas przejrzyste? To nie jest jedyna niespójność w wywodzie tego uczonego, ale cóż – technoentuzjazm... Nic zatem dziwnego, że w naszej książce „AI Eksploracja" najobszerniejszy rozdział poświęciliśmy zagrożeniom ze strony tej technoideologii.

Dopamina w naszych mózgach szaleje tak, że właściwie nie wiadomo, na czym naprawdę warto się skupić

NADMIAR BODŹCÓW

Z pozytywnym nastawieniem do cyfrowych technologii kontrastuje rozmowa ze szwedzkim psychiatrą Andersem Hansenem („Polityka", 9 kwietnia 2025 r.).

Dziennikarka przywołuje dane WHO o zdrowiu dzisiejszych nastolatków (co siódmy doświadcza zaburzeń zdrowia psychicznego) i pyta, czy zawsze było tak źle. Hansen: „Współcześni nastolatkowie czują się gorzej niż 20, 30 czy 40 lat temu. Widzimy np., że w ostatnich dekadach rośnie liczba samookaleczeń. Notujemy więcej przyjęć do szpitali z tego powodu".

Z wywiadu jasno wynika, że winne są przyniesione przez technologie cyfrowe warunki życia: „Nasze mózgi pozostały praktycznie niezmienione przez ostatnie tysiąclecia. I na tym polega problem. Nadal boimy się tego samego, co nasi przodkowie [...] Tylko że teraz realnym niebezpieczeństwem jest np. pisanie wiadomości podczas jazdy samochodem. A jednak nie odczuwamy przed tym naturalnej fobii. [...] Bo to nowe zagrożenie".

Hansen tłumaczy, że nasze mózgi są przyzwyczajone do obserwacji otoczenia i skupiania się na wielu bodźcach. Ale nie na tylu, co teraz! Nasza naturalna skłonność do obserwowania otoczenia dziś jest „wykorzystywana przez media społecznościowe, przez korporacje, które chcą wiecznie przyciągać naszą uwagę" – akcentuje psychiatra. Dopamina w naszych mózgach szaleje tak, że właściwie nie wiadomo, na czym naprawdę warto się skupić.

UŻYĆ CIAŁA, BY POSKROMIĆ UMYSŁ

Szwedzki specjalista radzi: „Pierwszy krok to wiedza. Świadomość, że takie mechanizmy [manipulacji uwagą] istnieją i są bardzo silne. Drugi krok to przechytrzenie mózgu. Świadome ograniczenie ekspozycji na takie sygnały".

Psychiatra podkreśla, że technologie wykorzystują „nawet najbardziej podstawowe mechanizmy neurofizjologiczne" i przechytrzenie własnego mózgu wymaga wyrafinowanej gry ze stresem. Na szczęście zbawienny może okazać się ruch – nie tylko kciuka, lecz także całego ciała. Mózg można poskromić „za pomocą regularnej aktywności fizycznej".

Ale żeby młodych zabrać do parku, najpierw trzeba znaleźć sposób uchronienia ich przed wirem cyfrowych uzależnień.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl e8ec1033af

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

JEŻELI BĘDZIECIE MOI, ZWYCIĘŻYCIE

Książka ważna dla wszystkich wierzących, którzy z niepokojem patrzą na świat bez Boga, pełen dramatycznych wydarzeń i szturmu sił ciemności na Kościół. Czy nastały czasy ostateczne?
Czy powiedzie się zbawczy plan Maryi?
Czy ludzie otworzą serca przed Bogiem?

304 STRONY | OBJAWIENIA MATKI BOŻEJ Z MEDJUGORJE I FATIMY

50 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Jeżeli będziecie moi, zwyciężycie”** otrzymasz **GRATIS**, **zamawiając roczną prenumeratę** tygodnika SIECI za **375 zł**.

Zyskujesz nie tylko książkę w prezencie – dodatkowo oszczędzasz aż 282,90 zł (w porównaniu z ceną detaliczną), a każdy numer tygodnika trafia wygodnie wprost do Twojej skrzynki.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Jeśli nie korzystasz z internetu, po prostu dokonaj wpłaty za prenumeratę na konto 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl e8ec1033af

wPolsce 24

WESPRZYJ patriotyczne media

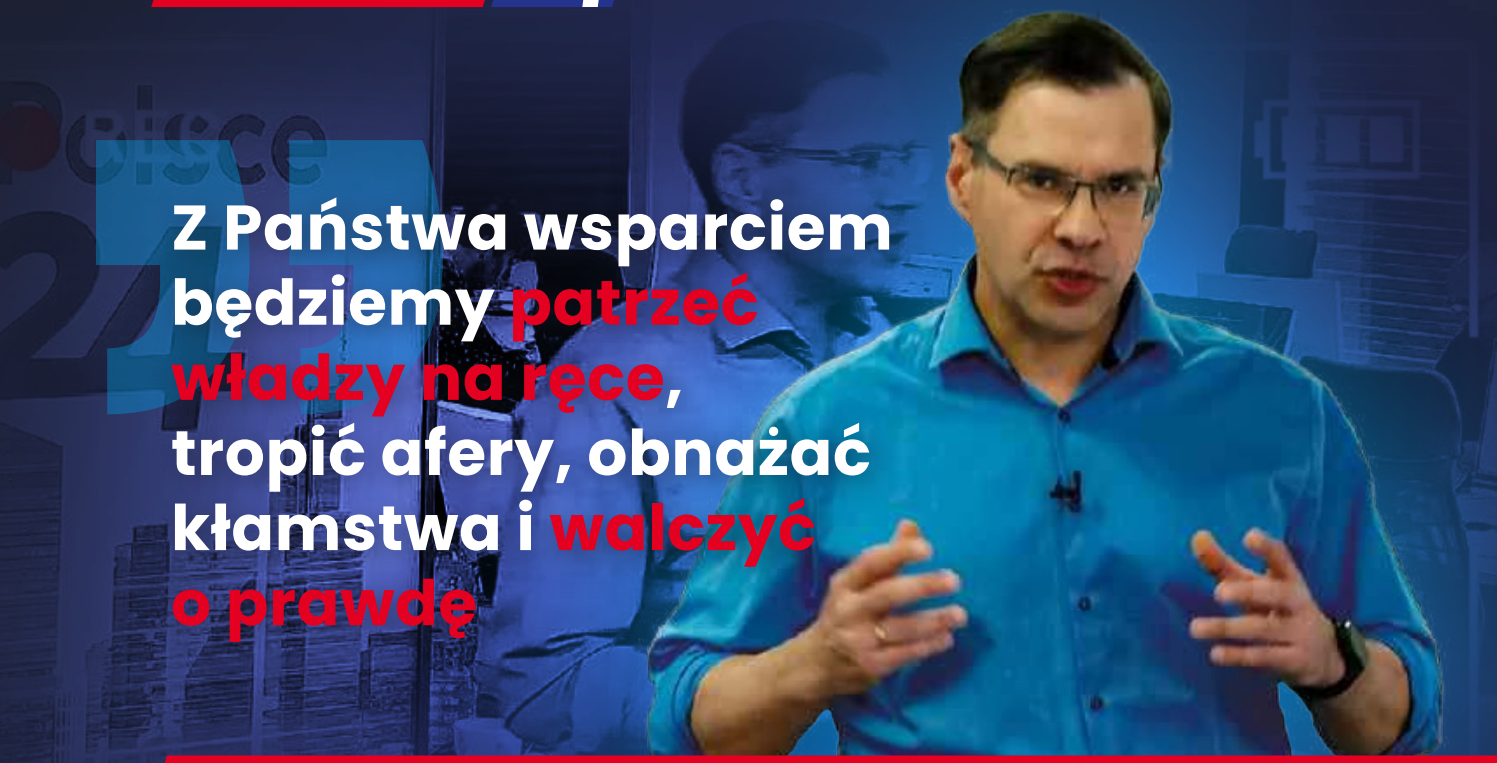

Zbieramy na dziennikarstwo śledcze FUNDAMENT WOLNYCH MEDIÓW

NUMER KONTA:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

TYTUŁ WPŁATY: **DAROWIZNA**

wesprzyj.wpolsce24.tv

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej upc	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl e8ec1033af